

A woman is seen from behind, wearing a wide-brimmed straw hat with a large white fabric flower and a white dress with a small floral pattern. She is looking out over a vast, flat landscape under a clear blue sky. The overall mood is serene and contemplative.

Dorota  
Schrammek

# Horyzonty uczucí



Dorota  
Schrammek

# Horyzonty uczuc

SZARA GODZINA



# ***Przyjaciółom w Pobierowie***

# Prolog

Dopiero po przekroczeniu progu mieszkania zrozumiała sens słów kuzynki. Aż jej się zrobiło gorąco! Potem zbladła, serce jej zakołatało, musiała przysiąc z wrażenia na kuchennym krześle. Wróciła pamięcią do sceny sprzed kilku minut.

– Ja nie mam rżęsistka! – Monika uśmiechnęła się triumfująco.

Iwona spojrzała zaskoczona. Robert jej więc powiedział! Prosiła męża, aby zachował tę informację dla siebie. Choć w małżeństwie powinno to być chyba oczywiste. Dlaczego w takim razie go poprosiła? Czyżby po prawie dziesięciu wspólnych latach musiała domagać się zachowania dyskrecji?

Monika była z nimi od zawsze. Najpierw jako przyzwoitka na randkach, potem jako drużna na ślubie i wreszcie chrzestna Zosi, ich ośmioletniej córki. Spędzali wspólnie święta, obchodzili urodziny i imieniny. Iwona nie miała przed Moniką tajemnic, kuzynka była ich jedyną powierniczką. Jak siostra, której żadna z nich nie miała. To Monice zwierzyła się, gdy w kieszeni męża znalazła opakowanie po prezerwatywie. Potem było więcej takich znalezisk. Kuzynce wypłakiwała się w rękaw, gdy Robert podczas służbowego wyjazdu zaliczył swoją asystentkę, o czym doniósł Iwonie usłużny, aczkolwiek anonimowy współpracownik.

Monika cierpliwie wysłuchiwała wszystkiego i studziła emocje.

– Nie możesz go zostawić, choćby ze względu na Zosię – tłumaczyła. – Poza tym to dobry facet, tylko trochę zagubiony. Zdrada, dopóki jest fizyczna, nie ma żadnej wagi. To tylko samcza chuć!

Iwona przyjmowała te słowa za dobrą monetę, lecz dzisiaj nabrały one innego, szyderczego znaczenia.

– Skąd wiesz o rżęsistku? – spytała zaskoczona, po dłuższej chwili milczenia. – Robert miał ci nic nie mówić.

Monika tylko się uśmiechała. Po chwili obróciła się na pięcie i pobiegła do swojego mieszkania. Stukot czerwonych szpilek na chodniku rozbrzmiewał w głowie Iwony. Od lat mieszkały w jednej kamienicy. Iwona na trzecim piętrze, kuzynka na parterze. Nie było dnia, żeby się nie widziały i nie zamieniły dwóch zdań. Żyły w symbiozie. Jak wielkiej, dotarło do Iwony, gdy przekroczyła próg mieszkania.

„Ja nie mam rżęsistka!” – rozbrzmiewało jej w głowie. Coś w tym zdaniu było nie tak... Gdyby stwierdziła: „Współczuję ci, paskudna przypadłość. Robert musiał cię tym zarazić”, byłoby to zrozumiałe. Ale Monika tak nie powiedziała. I skąd, do cholery, miałyby mieć rżęsistka, skoro od dwóch lat, odkąd rozwiodła się z mężem, jest sama? Nie wspominała, że się z kimś spotyka. Bo przecież rżęsistkiem nie można się zarazić podczas zakupów w sklepie czy podając rękę. Do tego trzeba seksu. Naturalnie z kimś, kto ma to cholerstwo! A na razie złapali go Iwona i Robert!

To wtedy ją oświeciło. Jakby dostała w twarz! Przypomniała sobie spojrzenie Moniki i niewypowiedziane słowa, ukryte za cynicznym uśmiechem: „Ja rżęsistka nie mam, choć też sypiam z Robertem. To ty miałaś pecha!”.

Nawet nie potrafiła płakać. Miała wrażenie, że ogląda tanią brazylijską telenowelę, w której każdy sypia z każdym i ogłasza, że tym razem to na pewno miłość jego życia.

Iwona wpatrywała się w kuchenny zegar, wiszący nad drzwiami. 15:00, 15:30, 16:00...

Zaraz usłyszy pospieszne kroki Roberta, przekręcanie klucza w zamku, szuranie butami. I wreszcie ten sam tekst co każdego dnia.

– Kochanie, wróciłem! Co na obiad?

Rzeczywiście, po chwili usłyszała Roberta. Stał w drzwiach ze swoim zwyczajnym uśmiechem kochającego męża i ojca. Zawsze podchodziła do niego, całowała w policzek i rozkładając talerze, wypytywała o pracę. Tym razem było inaczej.

– Coś się stało? – stanął zaskoczony.

Nie musiała odpowiadać. Wystarczyło spojrzeć na jej minę. Nie było na niej bólu, tylko ogromny zawód i rozczarowanie.

– Jak długo to trwa? – spytała cicho.

Spuścił głowę. Naturalnie wiedział, o co pyta. Sam zastanawiał się, dlaczego ciągle milczał. Ciekawe, kto doniósł Iwonie? Nieważne, sam powinien ją poinformować. „Kochanie, muszę ci coś powiedzieć” – zbyt banalnie. „Iwonko, nastąpiły pewne zmiany” – równie idiotycznie. Żona nie ułatwiała sprawy, patrząc na niego wzrokiem pełnym pogardy i ogromnego żalu. Nie, chyba nie ma ochoty nic jej dzisiaj tłumaczyć. Sam musi po wszystkim ochłonąć i pomyśleć co dalej.

– Spakuję się – rzucił, wychodząc z kuchni.

Kwadrans później wyszedł z mieszkania. Zerknęła przez okno. Nie opuścił budynku, więc na pewno zatrzymał się na parterze, u Moniki. Jej kuzynki i do momentu rozmowy sprzed kilku godzin najwierniejszej przyjaciółki. Strach pomyśleć, że codziennie będzie musiała przechodzić obok jej mieszkania. A sąsiedzi? Przecież nie da się zachować w tajemnicy, że Robert mieszka trzy piętra niżej. I co z Zosią? Córeczka ma tylko osiem lat. „Kochanie, tatuś zamieszka teraz u cioci Moniki. Będzie spał w jej łóżeczku, przynosił ciepłe bułeczki prosto z piekarni i mył plecki. Tak, zupełnie jak kiedyś mamusi! Nie denerwuj się, córeczko! To normalne, że czasem w rodzinie następują drobne rotacje. I raz tatuś jest w łóżku mamusi, raz w łóżku cioci...”.

Na samą myśl aż się wzdrygnęła! Dobrze, że Zosi nie ma w domu. Ale już za trzy dni wróci z zielonej szkoły w Karpaczu. Co zrobić, aby oszczędzić dziecku przykrości? I przygotować na nową sytuację?

Wtedy przypomniała sobie o telefonie cioci Matyldy. Dzwoniła przed tygodniem. Wtedy jej odmówiła, bo miała w planach coś innego. Lipiec chciała spędzić w słonecznej Francji, razem z Robertem i Zosią. Planowali przejechać kraj kamperem wzdłuż i wszerz. Ale w świetle nowych okoliczności te plany biorą w łeb. Ciekawe, czy propozycja ciotki jest nadal aktualna...

## S

Pobierowo było piękne o każdej porze roku, przynajmniej dla Matyldy. Zamieszkała tutaj ponad dziesięć lat temu, po śmierci męża. Co chwilę odkrywała w tej niewielkiej miejscowości coś nowego, zarówno dobrego, jak i złego. Tym razem nowością stała się... budowa. Tuż obok jej pensjonaciku. Głośna, nieoczekiwana, zaludniona prostymi – by nie rzec: prostackimi – robotnikami. Głównie Kazikami i Jędrkami. Chociaż zdarzało się, że zamiast imienia padało przekleństwo.

Popularny kurort poza sezonem zamieniał się w senną wieś, z tysiącem mieszkańców. Ciężko uwierzyć, ale po 15 sierpnia miejscowość nagle pustoszała. Wakacje jeszcze się nie kończyły, ale większość wypoczywających to były rodziny z dziećmi, które po Matce Boskiej Zielnej wracały do domów i przygotowywały się do nowego roku szkolnego. Z dnia na dzień zamierał ruch na ulicach, zmniejszały się kolejki za lodami, wyludniała plaża, zwijały stragany. Mimo dekady spędzonej nad Bałtykiem Matylda nadal nie mogła pojąć tego fenomenu. Ludzie wyjeżdżali, gdy woda wreszcie robiła się przyjemnie ciepła, a piasek nadal grzał. Jakby nie można było kupić wyprawki szkolnej wcześniej, przed wyjazdem na urlop. Przecież przyjemniej jest wyjeżdżać bez balastu. Zawsze była bardzo przeczna. Andrzej uznawał to jednak za wadę.

– Przestań ganiać za tym dzieckiem! Nic się nie stanie, jeśli trochę poobija kolana! – wołał za żoną, ściągającą ich jedynaka z największej ślizgawki na placu zabaw. Piotruś miał wtedy cztery lata. I poważną wadę serca. Ujawniła się w pierwszym roku życia. Lekarze zalecali ostrożność, czego Andrzej nie mógł do końca pojąć.

– Kiedyś nie było tak rozwiniętej medycyny i nikt nie wiedział, że jest chory. Nie możesz się nad nim roztkliwiać! To ma być facet! Prawdziwy mężczyzna! A ty patrzysz tylko, czy się nie spoci, wycierasz mu nos i nie pozwalasz ganiać dłużej niż pięć minut. Będą się z niego śmiali.

Śmiali się tylko troszeczkę i przez pierwszą klasę. W drugiej Piotruś przeszedł operację. Po pół roku wrócił do szkoły. Matylda nie mogła początkowo przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Była szczęśliwa, że dzięki specjalistom syn jest prawie zdrowy, ale z drugiej strony... Nigdy nie przyznałaby tego głośno, ale chciała nadal sprawować taką opiekę nad synem, jak dotychczas. Opowiadała więc o wymagowanych zaleceniach lekarzy i nadal miała Piotra tylko dla siebie. I to takiego, jakiego chciała. Chłopiec patrzył tęsknym wzrokiem na bawiących się kolegów, ale cierpliwie siedział i słuchał wieczorem książki czytanej przez matkę.

Andrzej nie zwracał już na to uwagi. Właściwie w całym małżeństwie z Matyldą interesował się czymkolwiek wyłącznie wtedy, gdy był trzeźwy. Rzadko mu się to jednak zdarzało. Choć żona tłumaczyła, że jego alkoholowy problem zaczął się po zdiagnozowaniu choroby Piotra, prawda była inna. Mężczyzna pił już wcześniej. Niedużo, jedno piwo dziennie. Gdy Piotruś miał pięć lat, a uwaga Matyldy była skupiona wyłącznie na synu, Andrzej przerzucił się na mocniejsze trunki. Spożywał je tylko w zaciszu swojego warsztatu. Gdy czuł, że ma dość, chwiejnym krokiem szedł do swojego łóżka. Od lat mieli osobne sypialnie. Gdy urodził się Piotruś, Matylda przeniosła się ze spaniem do pokoju syna, na dobre opuszczając małżeńskie łóżko.

Po raz pierwszy zwróciła na Andrzeja uwagę, gdy naprawiał urwane koło od jej roweru.



Pracowała wtedy jako urzędniczka w magistracie. Na dwóch kółkach dojeżdżała do ogromnego budynku przy Armii Krajowej w Szczecinie. Uwielbiała poruszać się po mieście rowerem, który jednak nie wytrzymał konfrontacji z ukrytą pod jesiennymi liśćmi dziurą w chodniku. Wjechała w nią z impetem. Przednie koło nie nadawało się do dalszej jazdy. Matylda miała dwa wyjścia: albo się rozplakać, pójść pieszo i spóźnić do pracy, albo skorzystać z mieszczącego się po drugiej stronie ulicy warsztatu samochodowego. Wybrała drugą możliwość. Młody właściciel naprawiał rower znacznie dłużej, niż to było konieczne, a potem zaprosił Matyldę do kina.

Rok później przysięgała Andrzejowi miłość i wierność. Wierności dotrzymała. Gorzej z miłością. Całkowicie przelała ją na Piotrusia, który pojawił się na świecie po kilku miesiącach, chorowity, słaby i delikatny. To on zawładnął całym światem Matyldy. Gdy wrócił do zdrowia, wydawało się, że na uratowanie małżeństwa jest już za późno.

Piotrek miał prawie dwadzieścia lat, kiedy jego ojca zabrał rak. Szybko otrząsnął się z szoku. Studiował we Wrocławiu, rzadko bywał w domu. Miał wrażenie, że ojciec uważa go za niepełnowartościowe dziecko. Co to za syn, który nie chce przejąć interesu po ojcu i nie ma smykałki do motoryzacji? Do tego mdli go od zapachu smaru i paliwa. Słabeusz taki, wiecznie choruje. Po latach role się odwróciły. Piotr zaczął zauważać więcej: puste butelki po wódce w śmietniku, tłumaczenia, dlaczego ojciec śpi w warsztacie, a nie w domu, ukrywane zasikane spodnie i pobrudzone wymiocinami bluzy. Pewnego poranka, gdy wstał do szkoły, znalazł ojca kompletnie zalanego, śpiącego na ławce przed domem. Andrzej nie dał rady dojść do warsztatu. Z nosa ciekły mu smarki, z ust ślina, a plama z przodu spodni nie pozostawiała wątpliwości, że nie zdążył do toalety. Była to dla Piotra przełomowa chwila. Przestał widzieć w Andrzeju ojca, a zaczął dostrzegać pijaka.

Chłopaka mocno dziwiło, że matka załamała się śmiercią męża. Nigdy nie widział bliskości pomiędzy rodzicami. Ojciec był alkoholikiem, chorował na własne życzenie. Gdy zmarł, matka codziennie chodziła na jego grób, zapalając znicze i zmieniając kwiaty. Samotność tak dała się jej we znaki, że zaczęła osaczać syna. Oczekiwała codziennego telefonu, cotygodniowych wizyt w Szczecinie, wymagała ciągłej uwagi. Cudownym zrządzeniem losu Piotr dowiedział się o istnieniu ponemieckiej willi w Pobierowie. A może zobaczył ogłoszenie na tablicy miejskiej? Nie pamiętał. Ważne, że matka, będąca na wcześniejszej emeryturze i mająca więcej czasu niż do tej pory, zapaliła się do pomysłu. Wszystkie pieniądze zainwestowała w remont budynku i od dziesięciu lat mieszkała nad Bałtykiem. Nigdy nie żałowała swojego wyboru. Cieszyła się zaufaniem mieszkańców, którzy powierzyli jej sprawowanie funkcji sołtysa. Przynajmniej wszystko na to wskazywało...

## S

– Pani sołtys! Pani sołtys!

Matylda podniosła głowę. Zbierała poziomki, które posadziła na skarpie przy domu. Wybrała nasłonecznione miejsce, żeby dojrzewające owoce były soczyste i słodkie. Z całego niewielkiego poletka zebrała ich zaledwie miseczkę, ale miała ogromną satysfakcję, bo sama je wyhodowała. W tym sezonie zaczekała, aż poziomki staną się niemal burgundowe. Bardzo łatwo odrywały się od krzaczków, choć w pełnym słońcu ciężko je było wypatrzeć. Tak jak inne leśne owoce, uwielbiały chować się przed intensywnym światłem.

– Pani sołtys! Ile mam wołać?

– Do skutku – mruknęła pod nosem. Nie miała ochoty odrywać się od poziomek. Pachniały tak pięknie. Jednak niecierpliwy natręt przy płocie nie zamierzał rezygnować. Podniosła się z ziemi, otrzepała kolana i podeszła do furtki.

– Słucham? Biuro sołtysa jest czynne we wtorki i czwartki, od dziewiątej do jedenastej.

Popatrzyła groźnie na stojącego po drugiej stronie płotu mężczyznę. Nie przejął się.

– Pani sołtys, ja w takiej sprawie... Mam czworo dzieci na utrzymaniu, sam jestem kaleką. Widzi pani, że chodzę o kulach. – Zrobił szybki ruch głową w stronę dwóch białych kul, opartych o płot. – Ludzie, których odwiedzam, wspomagają mnie zazwyczaj jakimś banknotem. Nawet ksiądz. I ta nielubiana kobieta we wsi. Zastanawiam się, czy nie mogłaby pani...

Przerwał na chwilę, bo wokół trzymanej przez Matyldę miseczki zaczęło krążyć kilka pszczoł zwabionych słodkim zapachem owoców. Jedna z nich poleciała w stronę mężczyzny, który żwawo odskoczył w bok i zaczął wymachiwać ramionami, aby odgonić owada. Na ratunek pszczołce przyleciały dwie jej krewne. Kaleka biegał w kółko, skakał, a Matylda obserwowała jego gimnastykę z ogromnym zainteresowaniem. Nie byłaby sobą, gdyby nie powiedziała, co myśli.

– Jak na niepełnosprawnego jest pan pełen werwy. Ale wspomogę pana... Tylko może nie banknotem.

– Pani sołtys, ja właśnie w tej sprawie – zziębnięty mężczyzna wrócił do niej. – Strasznie się męczę, chodząc tak od domu do domu. Pobierowo w ostatnich latach ogromnie się rozbudowało. I jak mam w pełnym słońcu łączyć po wsi i prosić o pieniądze, to, sama pani rozumie, odechciewa mi się.

Matylda patrzyła na niego z coraz większym zaciekawieniem.

– Pomyślałem więc, że zapytam w sklepie o miejscowego sołtysa. Wskazano mi panią. Skoro zatem lud powierzył pani tę funkcję, to powinna być mu pani przychylna.

– Chyba nie rozumiem... – Matylda nie nadążała za pokrętnym tokiem rozumowania mężczyzny.

– Już wyjaśniam. Jest pani życzliwa dla swoich wyborców, prawda?

– Naturalnie.

Twarz mężczyzny pojaśniała z zadowolenia.

– Dlatego wpadłem na doskonały pomysł! Jest pani sołtysem, odwiedza mieszkańców w mniej lub bardziej banalnych sprawach, przyjmuje interesantów... Zapewne rozlicza pani także wpłaty podatku od nieruchomości. To wszystko dobrze się składa. Przy każdej okazji

mogłaby pani przeprowadzić dla mnie zbiórkę! Postawiłaby tę puszkę...

Mężczyzna zaczął szukać czegoś w przepastnym plecaku leżącym do tej pory przy jego nogach. Po chwili wyciągnął z niego puszkę, oklejoną jego zdjęciem i napisem: „Zbiórka na rzecz niepełnosprawnego Marka Trznadla! Uprasza się o wpłaty papierowe”.

– Specjalnie powiększyłem otworek, aby banknoty się nie gnioły – tłumaczył, wręczając zdumionej Matyldzie nietypową skarbonkę. – Proszę ją ustawić w widocznym miejscu i zabierać ze sobą za każdym razem, gdy będzie pani szła z wizytą. Po pieniądze zjawię się, powiedzmy, pod koniec tego miesiąca.

Sołtyska gwałtownym ruchem oddała mu puszkę.

– Niech pan to zabiera – powiedziała. – Nie jestem od przeprowadzania zbiórek.

– Jest pani sołtysem, więc musi mi pomóc.

– Taaak? – W Matyldzie aż się zagotowało. – Poproszę o dokumenty potwierdzające pana niepełnosprawność.

– Te kule to najlepszy dowód! – odparował mężczyzna. – Podważa pani ciężką chorobę ojca czwórki dzieci?

Matylda nieco się zawahała.

– Nie, nie podważam. Ale uważam, że zebranie to najłatwiejsze wyjście. Szczególnie w pełni sezonu nad Bałtykiem. Wystarczy przejść Grunwaldzką w tę i z powrotem, aby co chwilę być zaczepianym przez sprzedawców krzyżówek na szczytne cele.

– No, właśnie! Na dzieci to każdy się nabiera.

– Są małe i bezbronne. Same nie zadbają o siebie – powiedziała Matylda dosadnie. – Pan za to może...

– Dlatego przyszedłem do pani! – powiedział triumfująco.

– Pan może zadbać o siebie – dokończyła. – Ile kilometrów pokonuje pan dziennie? Zapewne sporo. W takim razie mam propozycję. Nie trzeba będzie nigdzie chodzić. Wystarczy siedzieć i kasować pieniądze. W publicznej toalecie, przy głównym zejściu na plażę, nie mamy jeszcze szaletowego. Od jutra może pan objąć tę posadę.

– Słucham?

– Mam powtórzyć? Pana zadaniem będzie kasowanie pieniędzy. Po dwa złote od głowy. Właściwie od innej części ciała, ale nie będziemy wnikać w szczegóły. Od czasu do czasu przetrze pan toaletę i umywalkę płynem odkażającym. Wieczorem podjedzie pracownik urzędu i odbierze utarg. Raz w tygodniu zostawi panu papier toaletowy i...

– Czyś ty, kobieto, oszalała? Babcią klozetową mam być? – Marek Trznadel patrzył na sołtyskę, jakby postradała rozum.

– Nie babcią klozetową, a szaletowym. Wydawało mi się, że szuka pan możliwości zarobku. Wspominał o kalectwie i czwórce dzieci... – Matylda powoli traciła cierpliwość. Z poziomu robiła się mało apetyczna breja, której nie pomoże nawet swojska śmietana. Miała ją od rana przygotowaną w lodówce. Specjalnie wyszła z domu przed siódmą, aby przynieść nabiał od pobliskiego gospodarza.

– Kobieto, mam swój honor! Jak możesz oczekiwać, że zostanę szaletowym? Boże, widzisz i nie grzmisz! Jak mógłbym dzieciom w oczy spojrzeć? Co robi ich ojciec? Toalety pilnuje. Głupia jesteś i tyle.

Odszedł wzburzony, mrużąc coś pod nosem. Szedł całkiem normalnie, nie utykając.

Ze zdenerwowania kompletnie zapomniał o kulach. Matylda patrzyła za odchodzącym mężczyzną i zastanawiała się, czy go nie zawołać. Wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie potrzebował kul. Szkoda, że zmarnowała na niego tyle czasu. Mogła dalej zbierać poziomki, a potem zjeść je ze śmietaną. Może jeszcze zdąży. Chyba jednak nie, właśnie rozdzwonił się telefon.

**S**

– Policzymy ślimaki również tam? – Antoś wskazał ręką przeciwną stronę drogi. Chodnik ciągnął się wzdłuż pobocza, a na nim aż roiło się od ciemnych kuleczek. Chyba wszystkie wyszły na spacer po wczorajszym deszczu. Wędrowały radośnie w tę i z powrotem. Część porozjeżdżali rowerzyści zmierzający do Puszczy Bukowej. Antoś nie lubił widoku poniszczonych muszelek. Kochał całe ślimaczki. A nade wszystko uwielbiał je liczyć i robił to każdego dnia. Tego ranka było ich wyjątkowo dużo. Wieczorem przeszła nad Szczecinem potężna burza, w nocy także lało.

– Nie możemy dłużej spacerować – westchnął Ryszard. – Spóźnimy się do przedszkola. W zerówce trzeba być punktualnym, pamiętasz?

– Pamiętam. Nie lubię zerówki – burknął Antoś. Jeszcze trochę i nauka się skończy. Potem przyjdą wakacje, a od września rozpocznie się szkoła. Sama myśl o niej była przykra dla chłopca. Oznaczała rozłąkę z Ryszardem, na którą nie miał najmniejszej ochoty.

Mężczyzna wyczuł jego smutek.

– Wiesz, że przed nami jeszcze kilka tygodni wakacji? Pojedziemy do pensjonatu w Pobierowie. Codziennie będziemy chodzić na plażę, bawić się piłką, robić zamki z piasku...

– Lody też będą? – Antoś zapalił się do pomysłu. – Mama nie pozwala mi na nie zbyt często.

– Mamy tam nie będzie – przypomniał Ryszard. – Dlatego lody będą każdego dnia. Po zjedzeniu dokładnie wyszorujesz zęby.

– Będziemy spać w jednym łóżku?

– Jak zawsze – mężczyzna obrócił się niespokojnie. Nikt za nimi nie szedł, nie było zatem obawy, że zostaną podsłuchani. – Antosiu, wiesz co? Chciałbym, abyś nad morzem też zwracał się do mnie „dziadku”. Jak wtedy, gdy w pobliżu są twoi koledzy albo ich rodzice.

– Dobrze. Jak wrócimy, znowu będziesz dla mnie Rysiem?

– Jasne, że tak! Ale teraz jestem dziadkiem. Pamiętaj o tym.

Antoś złapał mężczyznę za rękę.

– Kocham cię – powiedział.

– Ja ciebie też.

Chłopiec wszedł do przebieralni. Zmienił buty, powiesił kurteczkę. W pewnym momencie złapał się za spodnie na wysokości siusiaka.

– Znowu cię boli? – spytał z troską Ryszard.

Antoś szybciotko zaprzeczył.

– Nic a nic.

– Przyjdę po ciebie po południu. Zrobimy naleśniki na kolację.

– Mniam! – Malec oblizał usta.

Miał zamiar pobiec do sali, gdy Ryszard przywołał go gestem ręki.

– Pamiętaj, nikomu nie mów, co robiliśmy wczoraj wieczorem – wyszeptał chłopcu do ucha.  
– To jest wyłącznie nasza tajemnica.

Zoja spojrzała na zegarek. 10:55. Od rana miały urwanie głowy z klientami. Był dziesiąty dzień miesiąca, czas wypłaty emerytur. Wiele starszych osób odwiedzało dzisiaj ich aptekę i zaopatrywało się w produkty na kolejne tygodnie. Niektórzy zostawiali tutaj połowę swojej emerytury... Zoi żal było patrzeć na staruszków, dokładnie oglądających każdą wydawaną złotówkę. Rozumiała ich. Sama nigdy nie miała więcej niż niezbędne minimum. Takie, aby nie czuć się biedakiem, a jednocześnie nie pozwalające pójść krok naprzód.

– Uła, dasz sobie radę przez pięć minut? Muszę zadzwonić – rzuciła do koleżanki.

Tamta popatrzyła na nią i wzruszyła ramionami.

– Nawet gdybym nie dała, to i tak wymkniesz się z komórką – odparła.

Zoja spuściła wzrok. Koleżanka miała rację. Cokolwiek by się działo, ona i tak pójdzie zadzwonić.

Tadeusz odebrał dopiero po siódmym sygnale. Był zaspany, a w jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Kochanie, wstawaj! – rzuciła do słuchawki, siląc się na radosny ton. – Jest jedenasta. Mam nadzieję, że zaraz po śniadaniu usiądziesz do pisania.

– Uhm – mruknął coś w odpowiedzi, nie do końca przytomny. Wyrwała go z najgłębszego snu.

– Pamiętaj, dzisiaj pośredniak jest otwarty krócej, tylko do piętnastej – dodała zbyt szybko.

To obudziło go całkowicie.

– Prosiłem, abys mnie nie popędzała – rzucił rozzłoszczony.

Nie lubiła tego tonu. Pożałowała, że wtrąciła o jedno zdanie za dużo. Pod tym względem poznała Tadeusza doskonale. Musiał do pewnych rzeczy dojrzeć i najlepiej wpaść w odpowiedni nastrój. Wtedy działał. Inaczej odkładał zadanie w nieskończoność. Tak jak tę wizytę w pośredniaku. Namawiała go bezskutecznie od kilku tygodni.

– Kochanie, ja tylko tak... – zaczęła przestraszona. Złość ukochanego miała to do siebie, że potrafiła trwać całymi dniami. – Jak poczujesz się na siłach, to pójdziesz.

Usłyszała, że mu się odbiło, a potem czknął. Dawał o sobie znać poprzedni wieczór, spędzony w Przyjacielskiej. Tadeusz wrócił z lokalu nad ranem.

– Przygotowałeś jakiś obiad? – rzucił takim tonem, aby słychać było jego niezadowolenie.

– Tak! Masz bigos z młodej kapusty. Stoi w lodówce. Wystarczy go odgrzać. Bułki kupiłam rano, także weź sobie. – Ulubiona potrawa była w stanie poprawić każdy zły nastrój. – Miłego dnia, skarbie. I owocnego. Życzę weny.

Rozłączył się, nim skończyła ostatnie zdanie. Co ta kobieta może wiedzieć o weni? Ma nieskomplikowaną pracę, niewymagającą większego wysiłku, więc niech się cieszy! Co innego on, artysta! Osoba, która musi zapewnić strawę duchową, zagrać na emocjach, poruszyć wnętrza... To nie takie proste. Tu nie wystarczy sama wena. Niezbędny jest również nastrój, samopoczucie, cisza i czyste myśli. Co Zoja może o tym wszystkim wiedzieć?

Poznali się na wernisazu. Uła miała dwa zaproszenia i zabrała Zoję ze sobą. Na otwarciu wystawy najpopularniejszego szczecińskiego satyryka zjawily się tłumy. Koleżanka szybko odnalazła jakichś znajomych. Gdy Zoja została sama przy stoliku z przekąskami, zaczęła żałować, że w ogóle tu przyszła. Nie przepadała za sztukami plastycznymi, kochała poezję. W swojej biblioteczce posiadała kilka zbiorów wierszy, bardzo często do nich wracała. Swego czasu były dla niej jedyną ucieczką od codzienności.

Nałożyła na talerzyk mikroskopijną babeczkę i odeszła, poszukując wolnego miejsca. Znalazła je pod oknem. Nim ugryzła, usłyszała:

– Mogę się przysiąc?

Nie mogła w to uwierzyć, odezwał się do niej sam Tadeusz Kaczorowski! Rozpoznałaby go wszędzie. Na półce w jej sypialni stały wszystkie tomiki jego poezji. Uwielbiała je czytać, ceniąc autora za wyjątkową wrażliwość i subtelność. Poeta od razu rozpoznał zachwyty w oczach Zoi. Po chwili pograżyli się w głębokiej rozmowie. Świat wokół nich przestał istnieć.

Wyszli z wernisażu jako ostatni i nadal dyskutowali o poezji. Ścisłej – o wierszach Tadeusza. Jeszcze nie miał fanki, która znała tyle jego wierszy na pamięć. Sam o niektórych zapomniawszy. Potrafiła je także doskonale zinterpretować.

– Pracujesz w bibliotece? – spytał.

Zmieszkała się.

– Nie. Jestem pomocą farmaceutki w aptece – przyznała cicho.

Niezbyt ambitnie... Z drugiej strony, znała się na jego twórczości jak mało kto. To chyba ważniejsze od wykształcenia. Zainteresowanie Zoi mile łechtało nadwątlone ostatnimi czasami Tadeusza.

– Zadzwoń do mnie – zapisał numer komórki na skrawku papierowej serwetki. – Umówimy się na kolejną dyskusję. Tylko nie telefonuj przed jedenastą. Nie lubię wcześniej wstawać.

Nie pytał, czy Zoja kogoś ma. To było nieistotne. Po błysku w oczach rozpoznawał kobiety szukające uczucia i zainteresowania drugiej osoby. Był pewien, że i Zoja do nich należy.

Kilka dni później spotkali się w miejscu wybranym przez Tadeusza. Klub Przyjacielska – tam spotykała się cała szczecińska bohema. Obojętnie, o której się przyszło – czy to wczesnym przedpołudniem, czy nocą – zawsze znajdowało się wdzięcznych słuchaczy i chętnych do wymiany myśli. Głównie o tym, jaki niedoceniany jest świat artystyczny.

– Dasz piwko na kredyt? – Janusz, dawniej popularny radiowiec, obecnie prowadzący jedną audycję w tygodniu, rozkładał laptopa.

Bardzo chciał zaimponować towarzyszom zaangażowaniem w tworzenie programu, ale nie potrafił zmusić się do uśmiechu. Dowiedział się właśnie, że projekt, do którego się zgłosił, przypadł w udziale młodemu szczyłowi, pracującemu w rozgłośni zaledwie pół roku. „Jest obiecujący” – rzucił prezes, nie patrząc Januszowi w oczy. A on? Przecież oddał rozgłośni wiele lat życia! Firmował ją nazwiskiem! Owszem, po dawnych programach pozostał ślad jedynie w radiowym archiwum. W latach dziewięćdziesiątych nastąpiło wiele zmian, do których Janusz nie potrafił się przyzwyczaić i wielokrotnie dawał publiczny upust swemu niezadowoleniu. Ale żeby spychać go na radiowy margines? Zaproponowano mu prowadzenie tanecznej audycji w sobotnie wieczory, i to w taki sposób, że gdyby nie przyjął oferty, mógłby od razu pożegnać się z rozgłośnią. Siedział zatem cicho, od czasu do czasu rzucając nowe propozycje. Jak się okazywało, ktoś go zawsze ubiegał. Tym razem był to chłopak zaledwie po studiach.

Janusz dostał piwo na kredyt. Do dziesiątego było jeszcze dużo czasu, a dopiero wtedy otrzymał wynagrodzenie. Nie zauważył, że barman nalał do kufla tylko trzy czwarte złocistego napoju, resztę uzupełniając wodą. Nie po raz pierwszy mężczyzna nie dostrzegał takich subtelności.

Obok Janusza rozkładał się Karol, rysownik. Wypijał piwo i brał się do rysowania. Przez jedno popołudnie powstawała nowa grafika. Czasami miał farta i sprzedawał ją od razu – za symboliczne pieniądze – przypadkowemu klientowi Przyjacielskiej. Częściej jednak bywało, że nikt nie był zainteresowany dziełem. Spacerował wtedy Deptakiem Bogusława, namawiając ludzi do kupna. Część z nich brała go za żebraka i nim zdążył otworzyć usta, dostawał złotówkę bądź dwie. Kiedy po raz pierwszy ktoś potraktował go w taki sposób, miał wrażenie, jakby dostał w twarz. Teraz przyjmował wszystko obojętnie. Wszak pieniądze nie śmierdzą.

Do kompletu był jeszcze Tadeusz. On również zabierał laptopa do Przyjacielskiej. Włączał, ustawiał pustą stronę do pisania i czekał, kiedy nadejdzie wena. Nie nadchodziła od dawna, właściwie od ponad pięciu lat. Wtedy po raz ostatni wydał tomik wierszy, który jednak nie wzbudził najmniejszego zainteresowania odbiorców. Ludzie już nie są tak wrażliwi, jak niegdyś. Gdzie te czasy, kiedy był najpopularniejszym poetą w Polsce. Uznany, doceniany, zapraszany wszędzie, gdzie tylko się dało. Jakże świetnie się wtedy czuł. Wstawanie każdego dnia było przyjemnością, nie smutnym obowiązkiem.

Od dawna nie napisał nic, co nadawałoby się do druku. Odrzucało go jedno wydawnictwo za drugim. Na szczęście – jak sam uważał – cierpiał na zwyrodnienie kręgosłupa. Schorzenie dawało mu comiesięczną rentę. Gdyby nie ona, mieszkałby pod mostem. Ale i tak była śmiesznie niska, co wzmagало jego niezadowolenie.

– Jak mam żyć?! – zalił się kolegom w Przyjacielskiej, gdy po opłaceniu wynajętego pokoju zostawało mu trzysta złotych.

Wszyscy kręcili głowami nad swoim losem niedocenianych artystów, przymierających głodem jak przed wiekami.

Tadeusz nigdy nie miał żony. Poważniejszy związek rozpadł się kilka lat temu.

– Jesteś zwykłym leniem! – wykrzyczała mu w twarz Joanna i spakowała walizki.

Nie uważał siebie za nieroba. Opuściła go tylko wena i nie mógł pisać. Codziennie przychodził do Przyjacielskiej, zamawiał piwo – na to zawsze znalazły się jakieś zaskórniaki – rozkładał laptopa i czekał. Czasem przez kilka godzin napisał jedną strofę. Zaczynał ją szlifować, poprawiać, przerabiać, aż wściekły kasował napisane słowa. I tak w kółko.

Zoja zjawiała się w odpowiednim momencie. Tadeusz właśnie dostał wezwanie z ubezpieczalni. Przeczytał je, zirytował się, a potem podarł kartkę. Czy urzędnicy zgłupieli do cna?! Nigdy nie miał o nich najlepszego zdania, ale teraz przegięli. Jakim prawem ci durnie wzywają jego, wielkiego poetę? W dodatku na niewiarygodnie wczesną godzinę, dziewiątą rano. Tadeusz nie lubił wstawać przed jedenastą. Jak większość artystów, prowadził nocny tryb życia. W Przyjacielskiej wielokrotnie przesiadywał do samego zamknięcia, a potem przenosił się z dyskutantami na ławkę na Deptak, aby dokończyć pasjonujące rozmowy.

Utracił rentę. Tydzień po wyznaczonym terminie, na który nie poszedł, dostał oficjalny dokument, że z powodu niestawienia się na wezwanie, wypłata pieniędzy zostaje wstrzymana. Miał siedem dni na odwołanie. Przez chwilę patrzył w kartkę, aby zrobić z nią to samo co z poprzednią. Nie będzie płaszczył się przed ubezpieczalnią! Ma swój honor!

Miesiąc później, gdy trzeba było zapłacić czynsz za pokój, a po pieniądzach ani śladu, poczuł lekki strach, zmieszany z irytacją. Trzeba będzie coś wymyślić... W Przyjacielskiej nie było



problemu. Zawsze znalazł się jakiś łaskawca. A co z jedzeniem? Od dwóch dni nie miał niczego sensownego w żołądku, nie licząc garści orzeszków ziemnych, które zjadł po jakimś kliencie baru.

W ostatniej chwili dowiedział się o tym wernisazu. Wiadomo, że zawsze na takich imprezach jest coś do jedzenia! Nie mylił się. Nie dość, że napełnił pusty żołądek, to jeszcze poznał Zoję. Nie musiał zbytnio o nią zabiegać. Była tak spragniona zainteresowania, że szybko zdobył jej uczucie. A przy okazji całą resztę. Po tygodniu od chwili, gdy się poznali, miał ciepły kąć, dobre jedzenie i dobre widoki na przyszłość. Czego chcieć więcej?

– Nie za szybko zaprosiłaś go do siebie? – spytała Ula, gdy po kilku dniach Zoja opowiedziała o tym koleżance. Wzruszyła wtedy ramionami. Ktoś, kto nie przeżył miłości od pierwszego wejrzenia, nigdy nie zrozumie osoby, która w taki sposób się zakochała.

Z westchnieniem odłożyła telefon i zaczęła zastanawiać się nad przeprowadzoną rozmową. Mieszkali razem od sześciu miesięcy, a nadal nie potrafiła przekonać Tadeusza do tak prozaicznych rzeczy, jak wizyta w urzędzie. Nie chciał mieć nic wspólnego z pracującymi tam ludźmi, z wypełnianiem dokumentów, rozmawianiem. Wielokrotnie proponowała, że pójdzie razem z nim i mu pomoże.

– Będziesz miał przynajmniej ubezpieczenie – argumentowała.

Patrzył na nią wtedy takim wzrokiem, jakby miał zamiar wyjść z jej mieszkania. I nigdy nie wrócić.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że ja, poeta, stanę w kolejce wśród pospolitych nierobów? – spytał pewnego razu.

Przez tych kilka miesięcy wspólnego życia Zoja zauważyła, że Tadeusz musi mieć czas na wszystko. Na przetrwanie informacji, na namysł nad wszystkim. Najgorzej było, gdy bezwiednie poddawał się jej decyzjom.

– Dobrze, zrobimy tak – mówił i wzdychał.

Ta bierność była najgorsza. Robił to, o co poprosiła go Zoja, a potem... zniknął na kilka dni. Pomieszkiwał u znajomego, aż Zoja, zdenerwowana i roztrzęsiona, błagała go przez telefon, by wrócił. Wracał, ale na swoich warunkach. Bez codziennego przypominania, że coś trzeba zrobić. Bez wyrzutów, że nie jest wykonane. Bez pretensji, że wena nadal się nie pojawiła. Za to Zoja ma mu ułatwiać codzienne życie.

Co rozumiał pod słowem „ułatwia”? Wzięcie na siebie całej prozy życia: zakupów, sprzątnięcia, urzędów, troski o pieniądze... Wszak Tadeusz wielkim poetą jest!

## S

Aldona dopiero w mieszkaniu otworzyła kopertę. Wcześniej się bała. Nie wiedziała, co ją podkusiło, aby wybrać się do tego atelier fotograficznego. Jakby pretendowała do miana modelki! Zdjęć jej się zachciało. Po kiego diabła? Komu i co chce udowodnić? Że także ma prawo poczuć się piękna?

Przypomniała sobie majowy poranek przed trzema tygodniami. Wracała z przychodni, gdzie po raz kolejny oddała krew do analizy. Na chodnikach było jeszcze mało ludzi. Większość w pracy, szkole, na uczelni... I dobrze. Przynajmniej nikt nachalnie się w nią nie gapił. Zganiła siebie w duchu. Powinna przyzwycząić się do zainteresowania, jakie wzbudzała jej osoba. A dokładniej – pewna część ciała. Aldona pogodziła się z faktem, że wygląda inaczej niż reszta ludzi, spojrzenia innych nadal ją jednak peszyły. Nie jest kompletna, jak to ktoś delikatnie kiedyś określił. W życiu słyszała jeszcze inne słowo – wybrakowana – ale starała się zapomnieć i czas, i miejsce, kiedy ono padło.

Tego majowego dnia złe wspomnienie wróciło intensywniej niż zwykle. Piękna pogoda sprawiła, że miała ochotę zrzucić z siebie część rzeczy i wystawić ciało na promienie słoneczne. Dawniej lubiła krótkie, przylegające do skóry sukienki. Zatęskniła za czasami, gdy mogła zakładać je bez obaw. To uczucie było przyczyną, że przechodząc obok atelier, zatrzymała się dłużej przed wystawą. Ze zdjęć uśmiechały się radośnie młode pary, dzieci przygotowywane do chrztu, obrazki rodzinnej sielanki. Wszystko takie piękne, idealne, nieskażone wadami. Im dłużej Aldona patrzyła na fotografie, tym mocniej czuła się odmieniec. Właśnie dlatego weszła do środka.

Wiszący nad drzwiami dzwoneczek ogłosił przybycie klienta. Zza parawanu wychynęła głowa młodego chłopaka.

– Zaraz do pani podejść – powiedział i zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

Aldona rozglądała się ciekawie po przytulnym wnętrzu, wypełnionym specyficznym zapachem utrwalaczy. Przemknęło jej przez myśl, że jeszcze kilka miesięcy temu nie miałyby odwagi przekroczyć progu atelier.

– Jestem. – Chłopak uśmiechnął się do niej szeroko. – Co będziemy robić?

Przyjrzał się twarzy Aldony i rozłożył na kontuarze prospekty.

– Ma pani bardzo ładną i wyrazistą twarz – stwierdził. – Proponuję portret, taki zamyślony. Może delikatnie postarzony lub w sepii. Jeszcze bardziej będzie uwidaczniał pani wdzięki.

Mało się nie roześmiała. Wdzięki? Dobrze sobie! Nim rozwinął temat, przerwała mu:

– Czy wykonuje pan także akty?

– Taaak – odparł, nieznacznie przeciągając głoski. Zazwyczaj długo musiał namawiać kobiety, aby zgodziły się na sesje ukazujące nagość. A tu proszę, niespodzianka! – Może przejdziemy do pomieszczenia obok? Tam się pani rozbierze, a ja ocenię, jaką formę aktu zaproponować.

W tym momencie zadzwonił telefon. Nie widział, jak do tej pory skryta częściowo za kontuarem Aldona wchodzi za parawan. Gdy przyszedł po pięciu minutach i spojrzał na rozebraną do bielizny kobietę, nie mógł powstrzymać zduszonego szeptu.

– O, Boże...

Matylda uwielbiała wychodzić na spacer wcześniej rano. Plaża była wtedy prawie pusta, nie licząc niemieckich turystów, lubiących tak samo poranny spokój. Zawsze zastanawiała się, kiedy Polacy zaczną zachowywać się jak zachodni sąsiedzi, kiedy zaczną doceniać naturę oraz jej piękno, wybierać odleglejsze miejsca na plaży, zamiast rozkładać się z całym dobytkiem na przestrzeni dwóch kilometrów, przy samym centrum Pobierowa. Przypomniała sobie o tym, gdy została zaproszona na stanowisko ratowników i spojrzała na plażę z wysokości. Mrowie ludzkich ciał. Człowiek przy człowieku, jak sardynki w puszcze. Żadnej intymności czy swobody.

Matylda codziennie wychodziła z domu przed szóstą. Morze, witając nowy dzień, szumiało leniwie i nastrojało do spokojnych rozmyślań. A miała nad czym się zastanawiać. Wczorajszego popołudnia zadzwoniła Iwona.

- Ciociu, czy twoja propozycja jest aktualna? – głos miała niezwykle cichy.
- Tak – choć Iwona nie mogła tego widzieć, Matylda dodatkowo skinęła głową.
- Mogłabym jednak do ciebie przyjechać?
- Naturalnie! Nawet na całe wakacje, a nie tylko na czas mojego wyjazdu.
- A mogłabym przyjechać... już? – Słowa były ledwo słyszalne.

Matylda zerknęła na kalendarz, wiszący na ścianie. 12 czerwca.

- Przecież trwa rok szkolny! – powiedziała zaskoczona.
- Mam zwolnienie chorobowe do końca czerwca – odparła Iwona po chwili milczenia.
- Czy to coś poważnego?
- Zwyczajne przemęczenie.

Nie zabrzmiało to przekonująco, choć Iwona mocno starała się, aby tak było.

– W takim razie przyjeżdżaj jak najszybciej. – Matylda po chwili o czymś sobie przypomniała: – Zaraz, ale co z Zosią?

– Wezmę ją ze sobą. – Iwona wypowiedziała te słowa tak szybko i z taką zaciętością, że ciotka nie drążyła, jak można załatwić wolne dziecku całe dwa tygodnie przed końcem roku szkolnego.

- Ogromnie się cieszę! Kiedy mogę się was spodziewać?
- Jeśli ci to nie przeszkadza, to jutro.

Cały poranek Matylda rozmyślała o krewnej. Miała nadzieję, że to rzeczywiście problemy ze zdrowiem są powodem jej nagłego przyjazdu, choć brzmiało to idiotycznie.

Spacer i świeże powietrze doskonale oczyszczały umysł. Cofnęła się lata wstecz. W życiu Matyldy był czas, kiedy prawie zerwała wszelkie kontakty z ludźmi. Mąż pił każdego dnia. Nie chciała ryzykować i zabierać go na rodzinne spotkania. Po alkoholu stawał się nieobliczalny. Nie kontrolował swojego zachowania. Po co miała narażać na szwank reputację swoją i Piotra? Z perspektywy czasu patrząc, była to jawna ucieczka. Po śmierci męża starała się odbudować rodzinne relacje, aczkolwiek bez większego powodzenia. Dlatego bez żalu wyprowadziła się ze Szczecina i zamieszkała w Pobierowie. Było jej trochę przykro z powodu syna, który nie miał rodzeństwa, a z kuzynostwem nie widywał się prawie wcale. Iwonę poznał dopiero na jej ślubie. Samo zaproszenie było dla niej i syna ogromnym zaskoczeniem.

Pamięta, jak pojawiła się w ich rodzinie. Taki mały wypłosz, który przedwcześnie stracił matkę i został oddany na wychowanie babce. W jednej kamienicy mieszkały dwa pokolenia,

więc Iwoną od razu zajęto się należycie. To było dziecko, które od początku dało się lubić. Delikatne, wrażliwe, z wiecznie wystraszonymi oczami. Wiele przeżyła, więc w sposobie mówienia i gestach widoczna była wyjątkowa dojrzałość. Matylda słyszała to wszystko od babki Iwony, podczas rzadkich wizyt, na które wpadała bez męża.

– Nadal niewiele mówi, tylko ciągle przemyka jak cień – opowiadała krewna. – Dobrze, że jest Monika. Może ona rozrusza trochę to dziecko.

Monika, córka kuzynki mieszkającej także w tej samej kamienicy. Dziewczyna rezolutna, zadziorna i niezwykle pewna siebie. Piękna, to fakt, ale jednocześnie arogancka. Matylda pamięta, że dokądkolwiek wchodziła, od razu starała się być w centrum uwagi. Jakby świat kręcił się wyłącznie wokół niej. Była całkowitym przeciwieństwem Iwony. Matylda nie mogła pojąć, jak w takim razie obie dziewczynki połączyła przyjaźń, trwająca mimo upływu lat.

Nie potrafiłaby wskazać momentu, kiedy zorientowała się, że ta relacja nie jest normalna. Skromna i delikatna Iwona zawsze była w cieniu Moniki, przebojowej i pełnej energii. To ona zawsze rozstawiała ludzi, jak chciała, na co większość godziła się bez szemrania. Gdy obie poszły do liceum, od początku zauważano intelektualną przepaść między nimi. Iwona uczyła się pilnie i chętnie. Monika ledwo prześlizgiwała się z klasy do klasy, co i tak było ogromną zasługą kuzynki, piszącej za nią wypracowania i odrabiającej zadania domowe. Taki układ odpowiadał widać im obu. Jedna daje, druga korzysta.

Matyldę bardzo zaskoczyło zaproszenie na ślub Iwony. Siedziała z boku podczas uroczystości, przypominając sobie poszczególnych członków rodziny. To wtedy zdumiała ją mina i zachowanie Moniki. Była świadkową na ślubie, a odnosiło się wrażenie, jakby czuła się ważniejsza od panny młodej. Gdy młodzi wypowiadali przysięgę małżeńską, Matylda widziała, jak kuzynka wbija paznokcie w dłoń. Spojrzenie, którym obdarzała wtedy Iwonę, było dalekie od przyjaznego. Na weselu Monika upiła się jako pierwsza. Co chwilę porywała Roberta do tańca, odbierając tę przyjemność innym gościom oraz dopiero co poślubionej żonie. Po godzinie padła kompletnie pijana na krzesło. Matylda nawet nie wie, kto wyprowadził ją z sali.

Iwona wydawała się szczęśliwa i spełniona. Nadal mieszkała w tej samej kamienicy, nad mieszkaniem Moniki. Miała swoją małą rodzinę, realizowała się zawodowo. Z Matyldą dzwoniły do siebie głównie przed Bożym Narodzeniem. Ale w tym roku ciotka potrzebowała pomocy kogoś z rodziny już latem. Musiała wyjechać w połowie lipca, a nie mogła zostawić pensjonatu bez opieki. Turystów nie miała na ten czas zaplanowanych. Bała się jednak złodziei mogących wykorzystać nieobecność właścicielki. Iwona przysłała jej do głowy praktycznie od razu. Była nauczycielką, miała zatem do rozplanowania dwa miesiące wakacji.

– Przykro mi – usłyszała jednak, gdy wyłuszczyła propozycję. – W tym czasie planujemy wspólny wyjazd do Francji. Robert powiedział, że szef bez problemu da mu urlop. Na dniach podpiszemy umowę z firmą wynajmującą kampery... Niestety, ciociu, musisz szukać do pomocy kogoś innego.

Po tonie głosu Matylda słyszała, że wcale nie było jej przykro. I słusznie. Taka wyprawa to przecież spełnienie marzeń! Sama będzie musiała wymyślić coś innego. Nie zdążyła jednak zastanowić się nad kolejną osobą, bo Iwona zadzwoniła wczoraj i poinformowała o zmianie planów. Jej głos w słuchawce był daleki od szczęśliwego.

– Co pani sądzi o paście do zębów Signal? – Brunon miał skłonności do cichego zjawiania

się w najmniej spodziewanej chwili. Wystraszył ją, gdy nagle odezwał się za plecami.

Oboje szli, wystawiając twarze do słońca. Poranne mgły podnosiły się coraz wyżej i zwiastowały kolejny piękny dzień. Oby jak najwięcej takich.

– Co pani sądzi o paście do zębów Signal? – Chłopak był już lekko zniecierpliwiony. Nie lubił, gdy ludzie zwlekali z odpowiedzią. Chciał ją usłyszeć od razu. Najlepiej taką, która nie pociągnie za sobą dalszych pytań.

Matylda musiała się chwilę zastanowić. Brunona nie można było zbyć byle czym.

– Używam innej – odparła. – Ziołowej. Na paradontozę.

Była pewna, że to dla niego zbyt trudne słowo. Rzeczywiście, chłopak już o nic nie zapytał. Gwizdnął na psa i bez pożegnania – jak to miał w zwyczaju – powędrował w stronę drewnianych schodów.

Matylda przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Miał wtedy dziesięć lat. Wszedł do sklepu, zamykając drzwi z takim impetem, że szyby zadrżały.

– Niewychowany – rzuciła odruchowo do kobiety stojącej przed nią w kolejce. Ta nic nie odpowiedziała, zajęta dokładnym wczytywaniem się w etykietę na słoiczku z chrzanem, który zamierzała kupić. Wydawało się, że nie zwraca najmniejszej uwagi na Matyldę. Ta, niezrażona, kontynuowała wywód: – Współcześni rodzice dziwnie wychowują dzieci. Wrzaski i krzyki są na porządku dziennym. Wcale się nie zdziwię, gdy taki młodzieniec zamiast „mamo, tato” będzie mówił im po imieniu. Jak do kolegi! Bezstresowe wychowanie nie prowadzi do niczego dobrego. Proszę, osobnik, o którym mówię, wydziera się właśnie jak do głuchego!

Rzeczywiście, chłopaka było słyhać w całym sklepie.

– Dlaczego nie ma drożdżówki z serem? Przecież ja chcę jeść!

– Proszę posłuchać, jaki rozkapryszony! – Matyldzie nie mieściło się w głowie takie zachowanie w publicznym miejscu. Miała doświadczenie, jeśli chodzi o ukrywanie kompromitujących spraw. – Przełożyłabym gówniarza przez kolano i dała mu w tyłek!

Klientka przy kasie nadal nie reagowała, tylko mocniej pochyliła głowę. Sprzedawczyni wróciła na stanowisko.

– Przepraszam – powiedziała ze skruchą do zaczytanej w nalepce. – Naprawdę nie mam już drożdżówek z serem. Ta nowa praktykantka sprzedała wszystkie. Moja wina, nie uprzedziłam jej o pozostawieniu jednej dla Brunona.

– Nic nie szkodzi. – Kobieta wreszcie podniosła wzrok. – Przekonam go, aby zjadł dzisiaj pączka. Powinnam odzwyczaić go od takiej ilości słodyczy....

– E, tam, zdrowo chłopak wygląda. – Ekspedientka się uśmiechnęła. – Zresztą, niech i on ma w życiu jakąś przyjemność. Szkoda mi go jak nie wiem co.

Kobieta ze słoiczkiem stężała. Matylda widziała, że chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Po chwili w kolejce stanął Brunon.

– Synku, tu jestem – zawołała cicho. Podszedł do matki i przytulił się. Zapłaciła za produkty, zapakowała je do torby, wzięła chłopaka za rękę i wyszli ze sklepu. Było w tych kilku gestach tyle przejmującego uczucia, że Matyldzie zrobiło się przykro z powodu swojego zachowania.

– Co mu dolega? – spytała cicho.

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami.

– Autyzm. Nie wiem dokładnie, co to za choroba, ale przez Brunona niejednego klient uciekł

nam ze sklepu. Dobrze, że jeszcze nie ma sezonu.

Matylda nie słuchała dalej. Błyskawicznie zapłaciła i nie czekając na resztę, wybiegła ze sklepu. Miała nadzieję, że jeszcze ich dogoni. Zmierzali ku zejściu na plażę.

– Proszę poczekać! – zawołała. Oboje odwrócili się równocześnie. Zauważyła, jak bardzo byli do siebie podobni.

– Słucham? – Kobieta nie ukrywała niechęci do intruzki.

– Przepraszam za to, co mówiłam w sklepie. Nie wiedziałam, że...

– Że jestem matką Brunona? Że jest chory? Czy to coś zmienia w pani ocenie? Zaraz się zacznie śpiewka, jaki to pokrzywdzony przez los dzieciak, jak można mu pomóc, cóż za tragedia. Proszę sobie darować. Nasłuchałam się ich w życiu sporo.

– To co mam robić? – Matylda stanęła zdezorientowana. – Może lepiej sobie pójść.

Odwróciła się. Nim uszła kilka kroków, ktoś złapał ją za rękę.

– Idziemy. – Brunon skierował się w stronę drewnianego zejścia, pociągając kobietę za sobą. Bezwiednie szła przy nim. Matka chłopca stała już na plaży. Nie była zaskoczona, widząc, kogo prowadzi jej syn.

– Tam staniemy. – Wskazała ręką fragment zieleni tuż obok wydmy. – Będziemy osłonięci od wiatru.

Wiało wtedy dość mocno. Fale wychodziły aż na pół plaży, szumiąc złowrogo. Cała trójka postawiła kołnierze kurtek, aby zimny podmuch nie przedarł się do środka.

– Masz. – Brunon wyciągnął z trzymanej przez matkę reklamówki dwie bułki. Jedną wręczył Matyldzie. Swoją zaczął rozdrabniać i rzucać daleko, mimo silnego wiatru. Momentalnie nad ich głowami pojawiło się stadko mew. Napuszone pióra sprawiały, że ptaki wyglądały na większe niż w rzeczywistości. Zbierały z piasku fragmenty pieczywa. Niektóre były na tyle sprytnie, że łapały je jeszcze w locie. Najedzone ptaki były cicho. Te, którym nie udało się zdobyć ani kawałka bułki, zaczęły głośno skrzeczeć. Jakby wyrzucały z siebie żal z powodu niesprawiedliwości.

Matylda obserwowała Brunona. Chłopak rozrzucił już wszystkie kawałki pieczywa. Otrzeptał ręce z okruszków, rozłożył ramiona i zaczął naśladować mewy. Biegał dookoła wylewów powstałych przez wnikające w ląd morze i skrzeczał, upodabniając się do ptaków. Po kilku minutach miał policzki zaróżowione od wiatru. Z trudem łapał powietrze. Przytulił się do matki, która zasłaniała go od zimna.

Matylda rozdrobniła bułkę do końca i rozrzuciła mewom. Gdy skrzek rozległ się tuż nad jej głową, zaczęła wydawać podobne odgłosy. Najpierw nieśmiało, potem coraz silniej. Brunon patrzył na nią zafascynowany. Odsunął się od matki i także zaczął skrzeczeć. Po chwili razem z Matyldą biegali i machali rękami, naśladowując lot mew. Kilka minut później oboje z trudem łapali powietrze i uśmiechali się radośnie. Niespodziewanie chłopak przytulił zaróżowioną z wysiłku kobietę. To wtedy poczuła, że właśnie nawiązuje nić jednej z najważniejszych przyjaźni w życiu.

Od kilku dni Robert budził się przed piątą. Czerwcowe słońce świeciło od dawna. Kiedyś zerwałby się z łóżka i energicznie rozpocząłby dzień. Kilkuminutowa gimnastyka, gorący prysznic i od razu człowiek wie, że żyje. Teraz nawet wstać mu się nie chciało.

W mieszkaniu panowała kompletna cisza. Przypomniwał sobie poranki z Iwoną. Zaraz po wejściu do kuchni włączała radio. Lubiła słuchać muzyki, przygotowując śniadanie całej trójce. Jakże brakowało mu tego brzęczącego odbiornika! I budzącej się Zosi, tupiącej bosymi stopami po panelach.

Wyprawdzka to był impuls. Po tamtej wymianie zdań nie mógł patrzeć na pogardę w oczach Iwony. Chciał jak najszybciej się usunąć, schować, by wszystko przemyśleć. Dobrze, że miał gdzie. Ale ostatnio najtrudniej było mu wstać z łóżka. Pościel roztaczała obcą woń, zupełnie inną niż w domu. Iwona uwielbiała konwaliowy płyn do płukania. Cała pachniała tymi kwiatami.

Odrzucił kołdrę. Dość rozmyślań, bo nigdy nie wstanie! Dzisiaj zadzwoni do żony i spróbuje jej wszystko spokojnie wyjaśnić. Na pewno go wysłucha. Swoją drogą, ciekaw był, kto poinformował o wszystkim Iwonę. Miał pretensje do siebie, że nie zrobił tego sam. Odkładał rozmowę z dnia na dzień, aż wreszcie było za późno.

To musiał być jakiś jego dawny współpracownik. Zapewne spotkał Iwonę przypadkowo i od słowa do słowa, powiedział prawdę.

Dość rozmyślań! Czas działać! Musi biec po bułeczki do piekarni. Kawa już zaparzona, słyszał krzątanie w kuchni. Po chwili doleciał go odgłos uruchamianego prysznica i zadowolone nucenie pod nosem.

## S

Ryszard zerknął na spakowane walizki. Chyba wszystko mają. Rzeczy Antosia były zapakowane do dużej torby. Dziecko potrzebowało ich znacznie więcej niż dorosły. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak przed laty pakował synów na obozy żeglarskie. To był dopiero wyczyn! Jak przekonać ośmiolatków, że nie mogą wziąć ze sobą żadnych zabawek, piłek, żołnierzyków, bo w walizkach musi być miejsce na ubranie na zmianę? Adrian i Krystian początkowo byli źli na niego i nie odzywali się całą drogę na Mazury. Po dwóch tygodniach okazało się, że takie tematy jak ubrania czy zabawki są kompletnie nieważne i zapomniane.

Ryszard zawsze przywiązywał ogromną wagę do fizycznego rozwoju synów. Mieli po trzy lata, gdy tak szybko śmigali na rowerach, że ludzie ze zdziwienia odwracali za nimi głowy. Krystyna była niezadowolona.

– Zgłupiałeś chyba! – mówiła, gdy w maju zabierał bliźniaków, aby brodzili w zimnej rzece. Chciał w ten sposób ich zahartować. – To małe dzieci!

– Mają wyrosnąć na prawdziwych mężczyzn czy na chuchra łamiące się przy większym wietrze? Pamiętaj, sport jest najlepszym treningiem charakteru.

Powtarzał jej to do znudzenia, aż odpuściła. Wychowanie fizyczne odgrywało ogromną rolę w życiu Ryszarda. Był „panem od fikołków” – tak jej się przedstawił podczas pierwszego spotkania. I takiego go pokochała. Wychowywał synów twardą ręką. Mieli być mężczyźni, odpowiedzialni, sprawni fizycznie. I tacy byli. Adrian pokochał żeglarstwo. Wydawało się, że Krystian również. Obaj chodzili na treningi trzy razy w tygodniu, przez wiele lat. W liceum jednak drogi braci zaczęły się rozchodzić. Adrian pozostał przy pływaniu. Krystian natomiast pokochał motocykle. Miłością nagłą, ogromną i wydawało się, że odwzajemnioną. Ryszard lubił obserwować syna – choć nie bez pewnego strachu – jak rozpędzał się na starym lotnisku i mknął. Pędził, jakby gonił życie. Krystyna tylko raz pozwoliła zabrać się na takie widowisko.

– Jezus, Maria... – wyszeptała pobladła, patrząc na pędzącego dwukołową maszyną Krystiana. Nigdy więcej z nimi nie pojechała. Ryszard nie miał o to żadnych pretensji. Wiedział, że żona truchleje ze strachu o synów, jak to kobieta. Śmiał się z niej wtedy. Rok później przestał uśmiechać się na dobre.

## S



– O, nie, to znowu ona – pani Asia, urzędniczka pocztowa, zwróciła się do przełożonej. Kierowniczką akurat przyniosła niedostarczone do adresatów listy polecane. Szybko zerknęła przez okno na osobę, na widok której pracownica nagle pobladła.

– Może tym razem nie będzie tak źle – powiedziała cicho, niespokojnie patrząc na dość długą kolejkę czekających. Byli to głównie turyści. Niedobrze.

– Proszę spojrzeć na jej minę. – Urzędniczka wyglądała, jakby miała ochotę uciec. Rozejrzała się, ale nie było jeszcze jej zamienniczki. – Pani Mariolu, zostanie pani ze mną?

Kierowniczką przeszła do stanowiska obok. Ściągnęła informację, że czynne jest wyłącznie sąsiednie okienko, i przygotowała się do przyjęcia klientów. Nim podszedł pierwszy z nich, siwowłosa siedemdziesięciolatka szybko wepchnęła się bez kolejki. Jej wygląd sugerował, że raczej biegła na pocztę, niż szła. Zaciśnięte w kreskę usta nie miały ochoty wykrzywiać się w uśmiechu. Chciały rzucać gromy!

– Obowiązuje kolejka – spokojnym tonem powiedziała naczelniczka poczty.

Kobieta przed okienkiem tylko wzruszyła ramionami.

– Skargę przysłałam złożyć! Dwa dni temu byłam tutaj, wypisywałam blankiet przekazu i zostawiłam czerwony długopis!

– Jest pani pewna, że tutaj? – spytała kierowniczką.

– Jak coś mówię, to mówię! – rzuciła siwowłosa zimnym tonem. – Byłam tutaj, zostawiłam długopis, a wczoraj już go nie było.

– W Pobierowie jest wielu turystów. Może ktoś zabrał go przez przypadek. Następnym razem proszę pilnować swoich rzeczy. Za pozostawienie ich na stoliku urząd nie odpowiada.

Kobieta przed okienkiem aż się zapowietrzyła.

– Nie? A powinien! To urząd. Tutaj nic nie powinno, ot tak, ginać!

– Długopis był pani własnością, a swoich rzeczy należy pilnować.

– Czerwony długopis jest łakomym kąskiem dla prowincjonalnej urzędniczki! – Oczy wszystkich w kolejce zwróciły się na coraz głośniejszą petentkę. – Przecież wiadomo, że poczta kradnie! Raz połasi się na długopis, innym razem na emeryturę starszej osoby! Wstyd!

Kobieta zwracała się już bezpośrednio do pani Asi, kulając się ze strachu na swoim stanowisku.

– Proszę przestać rzucać bezpodstawne oskarżenia – naczelniczka traciła cierpliwość. – Może jeszcze raz poszuka pani w domu lub torebce, pani Jagusiakowa.

– Sugeruje pani, że nie pamiętam, co zrobiłam z długopisem? – Wzrok siwowłosej spoczął na naczelniczce. – Cóż za chamstwo! Jeszcze nikt nigdy nie zarzucił mi kłamstwa.

– Ja tego też nie robię – stwierdziła kierowniczką. – Wskazuję tylko inne możliwości. Pamięć jest ulotna. Jak pani widzi, długopisu tu nie ma. Przypominam raz jeszcze, że urząd nie odpowiada za pozostawione na stoliku przedmioty. Teraz proszę się odsunąć, tamuje pani kolejkę. Zrobiła się już spora.

W Jagusiakową jakby piorun strzelił. Z szybkością karabinu maszynowego zaczęła wyrzucać z siebie słowa.

– Wy wszyscy w tej miejscowości jesteście po jednej suce! Jeszcze nie spotkałam tutaj uczciwego mieszkańca. Ani urzędnika. Spodobał się mój długopis, to go sobie wzięłyście. Z tym, że ja umiem upomnieć się o sprawiedliwość, a taka babcia, której wasz listonosz kradnie pół renty, już się nie upomni. Ile przekazów pieniężnych tu poginęło! Już ja swoje

wiem. Jagusiakowa nie jest głupia. Możecie mnie do wykrywacza kłamstw podłączyć, a udowodnię, że ten długopis został skradziony właśnie tutaj. Uważajcie! – zwróciła się do ludzi stojących w kolejce. – Tutejsza poczta kradnie. Proszę mieć się na baczności. Moja noga nigdy więcej tu nie postanie!

Opuściła urząd, cały czas złorzecząc pod nosem. Wszyscy patrzyli zaskoczeni za oddalającą się kobietą. Tylko pani Asia ocierała płynące po policzku łzy.

– Jeszcze nikt mnie tak w życiu nie upokorzył – wyszeptała.

Jagusiakowa szła Grunwaldzką, nie bacząc na ludzi. Rozchodzili się przed nią, jakby wiedzeni instynktem. Skręcała akurat w Orzeszkowej, gdy wypatrzyła ją jadąca rowerem Matylda.

– Pani Jagusiakowa! Pani Jagusiakowa! – Pomachała do niej, ale kobieta nie reagowała. Szła przed siebie, z obłędem w oczach, cały czas wykrzykując inwektywy pod adresem poczty i jej pracownic.

– Pani Jagusiakowa! – spróbowała Matylda raz jeszcze. Po chwili wzruszyła ramionami. Odda jej ten czerwony długopis kiedy indziej. Starsza kobieta zapomniała go zabrać, gdy składała podpis pod podatkiem od nieruchomości, co roku opłacanym u sołtyski. Matylda podała jej własny długopis, ale tamta odparła, że woli używać własnego.

– Przy każdym innym można do woli kombinować – powiedziała.

– Słucham? – Sołtyska spojrzała zaskoczona.

– Może pani napełnić go sympatycznym atramentem, a gdy już pójdę, podpis zniknie – odparła Jagusiakowa z przekonaniem w głosie.

Chwilę zajęło Matyldzie wyobrażenie sobie takiej akcji rodem z Jamesa Bonda.

– Po kiego diabła miałabym wyczyniać takie cudactwa? – spytała z najszczerzym zdumieniem.

– Obie wiemy po co – odparła kobieta z taką pewnością, jakby posiadała największą tajemnicę tego świata. Zostawiła osłupiałą Matyldę i wyszła, zapominając o długopisie.

## S

Zoja wróciła do mieszkania bardzo zmęczona. Tadeusza nie było. Zapewne przesiadywał w Przyjacielskiej. Może to i dobrze, bo miała chwilę dla siebie. Zanim weźmie się do domowych obowiązków, odpocznie trochę na kanapie. Kolejny plus nieobecności Tadeusza: kanapa jest wolna. Przez chwilę próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz czuła się swobodnie. Chyba zanim wprowadził się do niej Kaczorowski. Teraz miała mniejszą swobodę, ale za to była bardziej potrzebna. Szkoda, że Tadeusz dostrzegał to głównie wtedy, gdy wracał do domu pod wpływem alkoholu. „Za głupia jesteś, aby zrozumieć świat artystów!” – wykrzyczał jej kiedyś zirytowany, gdy zwróciła mu uwagę, że może lepiej posiedzieć w domu niż kolejny wieczór spędzić z niespełnionymi kolegami. Przeprosił potem za te słowa. I za inne, padające od czasu do czasu, także...

Nie poleżała spokojnie dłużej niż pięć minut. Rozdzwoniła się jej komórka. Początkowo nie chciała odbierać, jednak gdy po minucie sygnał rozległ się znowu, nacisnęła zielony przycisk.

– Halo?

– Pani Zoja Rodziewicz? Tu Hotel Morski w Pobierowie. Odpowiedziała pani na nasze ogłoszenie w sprawie pracy.

Momentalnie się ożywiła.

– Tak! – odparła mocniejszym tonem.

– Nadal jest pani zainteresowana? Rozpoczęłaby pani pracę za jakiś tydzień.

– Dobrze, pasuje mi – odparła Zoja, przeliczając w głowie daty. – Tylko ja nie mogę popracować dłużej niż miesiąc.

Po drugiej stronie telefonu nastąpiło pełne konsternacji milczenie.

– Przypominam sobie, zastrzegła to pani w mailu. Może znajdę kogoś na sierpień – powiedziała właścicielka hotelu. – Ale teraz nie mam czasu na dalsze poszukiwania. Uprzedzam tylko, że jeżeli w grę wchodzi jedynie miesiąc, to nie może sobie pani pozwolić na ani jeden dzień przerwy. Po prostu będzie pani w pracy od rana do wieczora każdego dnia, łącznie z weekendami. Oczywiście, odpowiednio za nie zapłacę. Odpowiada to pani?

Zoja się zawahała. Nawet podczas soboty i niedzieli nie spotka się z Tadeuszem. Ale może przyjedzie do Pobierowa? Daleko nie ma, godzina jazdy busem. Wiedziała, że on nie lubi takiego środka lokomocji, ale cóż poradzić.

– To jak, zgadza się pani? – ponaglił ją głos w słuchawce.

– Tak, tak – odparła szybko.

– Dwudziestego pierwszego czerwca proszę stawić się w hotelu. Zakwaterujemy panią w pensjonacie obok. U nas nie ma już miejsc, nawet dla pracowników. Pensjonat należy do tutejszej sołtyski. Pierwszego dnia wypełnimy wszelkie dokumenty i podpiszemy umowę. Do zobaczenia w takim razie!

Rozmowa została przerwana, a Zoja została sama ze swoimi myślami.

Czekała na ten urlop z utęsknieniem. Zawsze brała wolny lipiec, a Ula sierpień. Co roku wypoczywała w ten sam sposób – na działce. Wstawała wcześniej rano, pakowała do plecaka potrzebny ekwipunek i jechała przez całe miasto w stronę ogródków. Przez kilka godzin leżała, czytała, pielęła grządki, zbierała warzywa. Pod wieczór robiła zakupy w pobliskim supermarkecie i wracała do mieszkania. Uwielbiała tak spędzać wolny czas. Po co miała wyjeżdżać? A przede wszystkim – z kim? Od kilku lat była sama. I chyba po pięcioletnich katuszach z Markiem taka ewentualność najbardziej jej odpowiadała. Przy nim jej serce nigdy

nie podskakiwało, za to truchlała ze strachu. W jakim nastroju wróci z pracy? Czy tylko ją zwyzywa? Czy lekko poszturcha? A może tym razem zasłużyła na porządne bicie?

Zoja nigdy nie potrafiła wyczytać nic z twarzy męża. Uśmiechał się – brała to za dobry znak i podchodziła, a wtedy on z całej siły popychał ją na ścianę i bił. Z jakiego powodu? Czasem chodziło o kanapkę z serem zamiast wędliny, którą zapakowała mu na drugie śniadanie. Innym razem znalazł w kieszeni koszuli wypraną chusteczkę higieniczną, której nie usunęła przed wrzuceniem ubrania do pralki. Kiedyś wrócił i uderzył ją, nie mówiąc w ogóle, dlaczego to zrobił. Zoja była pewna, że musiał być jakiś powód. Dbała zatem o mieszkanie, czyszcząc je tak, że z podłogi można było jeść. Lodówka wypełniona była smakołykami Marka. W nocy pozwalała się budzić i była na każde żądanie męża. Po wszystkim płakała w poduszkę, zagłuszana donośnym chrapaniem, które rozlegało się obok.

Sama nie wiedziała, jak długo by to trwało, gdyby nie wypadek. Mąż był wtedy po służbie. Wracał do domu z nocnej zmiany. Z relacji świadków wynika, że na pasach stało jego auto, a tuż za nim motocyklista. Podobno jakiś młody chłopak. Co chwila przekręcał pokrętko gazu, czekając na zmianę świateł. Zoja wiedziała, jaki jest Marek. Lubił szybko jeździć i czuł ogromną niechęć do właścicieli dwukołowców. Nie wiedziała dlaczego. Irytowali go tym, że szybciej mogli poruszać się w terenie zabudowanym, wyprzedzali, jadąc praktycznie „na ogonie”. Z kroniki policyjnej wynikało, że ruszył jako pierwszy. Motocyklista próbował go wyprzedzić, ale Marek skutecznie zajeżdżał mu drogę. Gdy w końcu zwolnił się sąsiedni pas, motor na niego zjechał. Przez chwilę jechali jeden obok drugiego, dodając gazu. Marek nadal zjeżdżał na lewo, próbując zmusić motocyklistę do pozostania w tyle. Gdy zza zakrętu wyjechała ciężarówka, dla obu było za późno na ratunek...

Zoja pamięta, jak tamtego poranka odwiedziła ją para funkcjonariuszy. Zaczęła histerycznie się śmiać, co policjantka wzięła za objaw szoku i wezwała pogotowie. Zoja dostała zastrzyk na uspokojenie. Dopiero gdy została sama, dotarło do niej z całą mocą, co się wydarzyło. Nie ma już Marka. Nie ma oprawcy. Nie ma dawnego życia.

Na pogrzebie nie uroniła ani jednej łzy. Do pracy poszła następnego dnia po pochówku, choć szefowa oferowała jej tydzień wolnego. Z apteki wychodziła o siedemnastej i wracała do mieszkania. Zaraz po przyjściu, tak jak zawsze, zaczynała je sprzątać. Wszystko było sterylne. Po dwóch tygodniach od śmierci męża zorientowała się, że nadal kupuje jego ulubione kabanosy i piwo. Powyrzucała je do śmietnika. To samo zrobiła z zapasami papierosów, które Marek trzymał na specjalnej półce. Potem dotarła do szaf. Pół nocy robiła porządki, pakując ubrania zmarłego męża do worków. O siódmej rano skończyła. Worki pozносиła do kontenera, rzeczy przygotowane do wyrzucenia położyła przy śmietniku. W mieszkaniu zrobiło się luźniej. Po Marku nie został nawet ślad. Nie zostawiła sobie na pamiątkę ani jednego zdjęcia męża.

## S

Aldona siedziała nad otwartą walizką. Nie bardzo wiedziała, co ma do niej zapakować. Rozłożyła ubrania na łóżku, aby lepiej je widzieć. I tak nie ułatwiało to sprawy. Chyba zwariowała, wybierając niewielkie Pobierowo na miejsce dwutygodniowego wypoczynku. W Sopocie czy Gdańsku na pewno byłoby jej lżej. Uparła się jednak. Miała dość tłumów, gwaru i drogich butików na każdym kroku. Chciała świętego spokoju i kontaktu z naturą. Pobierowo wydawało się idealne. W internecie zachwalano piękną i czystą plażę. Szukała pensjonatu jak najbliżej zejścia nad wodę. Gdziekolwiek zadzwoniła, okazywało się, że wszystko było już zarezerwowane. Prawie straciła nadzieję, wybierając ostatni numer telefonu z listy spisanej według książki telefonicznej. Pensjonat Zachcianek... Cóż za obiecująca nazwa! Tam dostała pokój.

Jak długo nie była nad Bałtykiem? Chyba z pięć lat. Nie miała całkowitej pewności. Rachubę czasu traciła wraz z kolejnymi operacjami. Było ich za dużo, a o tej ostatniej chciała jak najszybciej zapomnieć. Nie udało się. Codziennie zerkała na tę część ciała, którą bezpowrotnie straciła. Rozumiała, że to wyłącznie dla jej zdrowia – lecz jej dusza wyła. Nie było dnia, żeby Aldona nie zadawała sobie pytania, dlaczego właśnie ją spotkał ten los? Czy to jakaś kara od Boga?

Po ostatniej operacji przeleżała na oddziale kilka tygodni. Po dwóch dniach przyzwyczała się do szeptów pielęgniarek i ściszym głosem wyrażanego współczucia. Nie bezpośrednio, gdyż to byłoby zbyt proste. Aldonę dobiegały urywki rozmów zza drzwi, z dyżurki lub po dopiero co zakończonym obchodzie.

– Taka ładna, a okaleczona do końca życia...

– Biedna...

– Dla niej wszystko się skończyło...

Leżała i nic nie mówiła. Cóż mogła dodać? Godzinami wpatrywała się w sufit, odprawiając gestem ręki każdego, kto chciał jej pomóc.

Gdy ordynator zasugerował, że cierpi na depresję, i zalecił jej konsultację ze szpitalnym psychologiem, odmówiła. Nie miała ochoty na spotkanie z Joanną Przemysk. Co zmieni ta wizyta? Spowoduje, że Aldona odzyska zdrowie i normalny wygląd? Nie! To strata czasu, zarówno pacjentki, jak i specjalistki od chorej duszy.

Pani psycholog była jednak nieustępliwa. Zaczęła od odwiedzin wyłącznie po to, aby powiedzieć „dzień dobry”. Aldona nie raczyła wtedy nawet na nią spojrzeć. Po tygodniu patrzyła, lecz nadal milczała. Minęło kolejnych kilka dni. Zaczęła odpowiadać półdaniami. Z każdym dniem dodawała coraz więcej słów. Nie były przyjemne. Aldona wyrzucała z siebie cały żal, który nagromadził się w niej od ostatniej operacji. Atakowała, patrząc wyzywająco na psycholożkę i odkrywając kołdrę, aby Joanna miała świadomość, o jakiej części ciała – już nieistniejącej – mowa. Lekarka próbowała odpowiadać spokojnie. Im bardziej była spokojna, tym agresywniejsza stawała się pacjentka.

– Rozumiesz mnie, tak? – kpiła z psycholożki. – Doskonale wiesz, jak to jest żyć w niepełnowartościowym ciele? Jak przyjemnie przebierać się i odkrywać, że czegoś ci brakuje? Wysłuchiwać litościwych uwag?

Z czasem jednak ataki stały się słabsze. Aldona zachowywała się jak przekłuty balon. Powoli uchodziło z niego powietrze, aby pozostał nic nieznaczący flak. Joanna Przemysk zorientowała się, że zacierają do celu.

- Zabieram cię dzisiaj na inny oddział – powiedziała podczas kolejnej wizyty.
- Już biegnę – odparła sarkastycznie Aldona. Nakryła się kołdrą i odwróciła plecami do psycholożki. Chyba osiągnęła swój cel, bo Joanna opuściła pokój. Nie na długo. Po chwili wróciła, pchając przed sobą wózek inwalidzki.
- Pojedziemy tym – zakomenderowała i zaraz zwróciła się do wchodzącej pielęgniarki: – Pomoże mi pani ją posadzić?
- Nim Aldona zdążyła zaprotestować, siedziała na jeżdżącym tronie. Joanna okryła ją kocem i popchnęła wózek. Pojechały windą na czwarte piętro. Pacjentka nie była zachwycona samowolą terapeutki.
- Dokąd mnie zabierasz? Nie wyrażałam zgody na wycieczkę.
- Joanna jeszcze przez chwilę pchała wózek, aż zatrzymały się przed drzwiami. Aldona nie zauważyła na nich żadnego napisu.
- Gdzie jesteście? – spytała.
- To hospicjum przyszpitalne – odparła psycholożka. Z zadowoleniem odnotowała strach malujący się na twarzy pacjentki.
- Nie chcę tam wjeżdżać! – Aldona automatycznie ściszyła głos. Wokół było słychać regularne brzęczenie aparatury.
- Obiecałam Idze, że dzisiaj przyjdę z gościem. – Joanna wepchnęła wózek przez otwarte drzwi z numerem dwa.
- Na łóżku, jedynym w pomieszczeniu, leżała może dziesięcioletnia dziewczynka. W oczy od razu rzucały się jej wychudzone policzki, kości przebijające przez ciało i niesamowicie blada skóra. Mała nie miała włosów. Z powodu zmienionego chorobą wyglądu ciężko było na pierwszy rzut oka ocenić jej wiek.
- Co jej jest? – spytała Aldona.
- Ostra białaczka – odparła Joanna. – Ma przed sobą może kilka tygodni życia.
- Kobieta na wózku aż zadrżała. Przecież dziewczynka dopiero wchodziła w życie, nawet nie zdążyła odkryć jego uroków. Nie będzie płakać z powodu pierwszej miesiączki, zawiedzionej miłości, nie poczuje smaku pierwszego pocałunku.
- Mamusia? – dobiegł z łóżka słaby głos. Dziecko z trudem otworzyło powieki. Na podniesienie ręki zabrakło jej już sił. Nim Joanna zdążyła odpowiedzieć, mała zapadła w kolejny chorobowy sen.
- Niewiele już kojarzy – powiedziała psycholożka, podpychając wózek do łóżka. – Jej mama nie ma możliwości ciągłego przesiadywania tutaj. Poza Igą ma jeszcze dwójkę dzieci.
- Pogodziła się z chorobą? – spytała Aldona.
- Kto? Ona? – Joanna wskazała na dziewczynkę. – Nawet nie dano jej szansy. Choroba została wykryta bardzo późno i postępowała w zastraszająco szybkim tempie. Od wielu tygodni jest na silnych lekach, całkowicie tłumiących jej świadomość.
- Mówisz to tak spokojnie...
- Choroba Igi jest nieodwracalna. Dla niej oraz jej rodziny byłoby najlepiej, aby dziewczynka jak najmniej cierpiała.
- Jak reaguje jej matka? – Aldona nie mogła sobie wyobrazić, że rodzicielka jest tak samo pragmatyczna jak Joanna.
- Przeszła silną depresję – odparła psycholożka. – Załamała się na wieść o białaczce.

Pamiętam, jak na początku szukała różnych znachorów i niekonwencjonalnych metod leczenia.

– To normalne. Też bym tak zrobiła, gdyby chodziło o życie mojego dziecka – powiedziała Aldona z wyrzutem.

– To dlaczego tylko leżysz w łóżku? Dlaczego nie chcesz współpracować z fizjoterapeutą? Dlaczego od dwóch tygodni nie myjesz włosów? Dlaczego obrażasz swoją matkę, gdy przychodzi do ciebie w odwiedziny? – z Joanny wylewał się potok słów. – Sama grzebiesz się żywcem! Jakby tylko ciebie dosięgęło nieszczęście! Popatrz na to dziecko!

Psycholożka podsunęła wózek jeszcze bliżej łóżka. Aldoną aż zatrzęsło. Wpatrywała się w twarz Igi, którą coraz bardziej ciągnęła do siebie śmierć. Obecna tutaj, w tym pomieszczeniu. Tylko czyha, aby zabrać dziewczynkę.

– Zabierz mnie stąd – poprosiła.

Dziesięć minut później były znowu na drugim piętrze. Obie milczały. Joanna przez chwilę zastanawiała się, czy nie posunęła się w terapii za daleko. Z doświadczenia wiedziała jednak, że szok jest najlepszym rozwiązaniem.

– Przyślij mi doktora Groma – poprosiła Aldona.

Ordynator odwiedził ją po południu. Długo rozmawiali. Pacjentka zadawała rzeczowe pytania i oczekiwała takich samych odpowiedzi. Usłyszała, że jej szanse na wyzdrowienie wynoszą pięćdziesiąt procent, choć utracona część ciała nigdy nie odrośnie.

– Będziemy monitorować pani organizm – obiecał lekarz. – Raz na kilka tygodni zrobimy kompleksowe badania. Sprawdzimy, czy nowotwór nie powraca, czy węzły chłonne pozostają bez zmian. Na razie jestem dobrej myśli. Teraz niezbędna jest rehabilitacja, aby jak najszybciej wróciła pani do pełnej sprawności.

Pracę nad powrotem do formy rozpoczęła już następnego dnia. Miała nadzieję, że odwiedzi Igę o własnych siłach. Nie zdążyła... Śmierć dziewczynki, zamiast załamać Aldonę, jakby dodała jej sił. Pracowała dwa razy ciężiej podczas rehabilitacji, nadrabiając stracony czas. Na nowo zaczęła się malować, dbać o włosy i paznokcie. Matka była zaskoczona, gdy razem usiadły nad katalogiem, by wybrać model protezy.

– Chcę tę – wskazała.

Akurat nie była refundowana, ale Aldona miała jakieś oszczędności z czasów, gdy dorabiała jako modelka. Resztę sfinansowali rodzice. Choroba córki nadszarpnęła mocno rodzinne oszczędności, ale nie narzekali. Aldona była ich jedynym dzieckiem. Za dobrych czasów nie mogła opędzić się od mężczyzn. Przyciągała nie tylko urodą, lecz głównie inteligencją. Teraz faceci mieli ją jedynie za wybrakowaną namiastkę kobiety. Im bardziej dochodziła do formy, i im lepsze były wyniki, tym bardziej w jej w głowie krystalizował się pewien zamiar. Do jego realizacji potrzebny był jednak mężczyzna. Aldona chciała bowiem zostać matką. Nie wiedziała, czy nowotwór pozwoli jej na normalne założenie rodziny w przyszłości. Nawet gdyby tak się stało, to kto wie, czy znajdzie odpowiedniego partnera? Wcześniej przebierała w mężczyznach, ale sytuacja się zmieniła.

Rozmawiała już o ewentualnym dziecku z doktorem Gromem. Nie widział medycznych przeciwwskazań. Przewidywał jedynie trudności organizacyjne.

– Spokojnie może pani w ciążę zachodzić – stwierdził, patrząc na wyniki ostatnich badań. Były zadowalające. – Jeżeli chce pani, abym przekonał partnera...

– Dam sobie radę – odparła z uśmiechem.

Radość zgasła, gdy zamknęła za sobą drzwi gabinetu. Wszystko pasuje, tylko... nie ma partnera. Aldona miała nadzieję, że nad morzem uda jej się nawiązać niezobowiązującą znajomość. Wcale nie miała ochoty na mężczyznę u boku. Każdy będzie z nią właściwie tylko z litości. Chciała dziecka. Takiego, które będzie dla niej całym światem. A gdy umrze, to ono zostanie dla świata...

**S**



– Masz ochotę na kieliszek nalewki? – spytała Matylda, wychodząc przed dom.

Pięknie cykały świerszcze. Wymarzony wieczór na spędzenie go na świeżym powietrzu. Gwiazdy dopiero wschodziły, choć wybiła dwudziesta druga. Z Grunwaldzkiej dobiegała muzyka, ale spacerowało niewielu ludzi. Wszak do końca roku szkolnego było jeszcze kilka dni.

– Raczej nie – odparła Iwona, spuszczać wzrok. – Ale ty się nie krępuj. Zaraz wrócę. Pójdę tylko sprawdzić, czy Zosia zasnęła.

Dziewczynka była umęczona całym dniem na plaży. Przyjechały poprzedniego wieczoru, zdążyły się rozpakować i od razu położyły spać. A dzisiaj od rana świeciło tak piękne słońce, że Iwona już po śniadaniu zabrała córkę na plażę. Bawiły się piłką, zrobiły ogromny zamek z piasku, wylegiwały na rozleniwiająco ciepłym piasku. Taka strategia matki nauczycielki. Zmęczyć dziecko, zanim zacznie stawiać niewygodne pytania. Na przykład o tatusia...

– Śpi – Iwona wróciła i usiadła na bujanym fotelu. Pamiętała go jeszcze z rzadkich odwiedzin u Matyldy w dzieciństwie.

Ciotka delectowała się kieliszkiem wiśniówki.

– Skosztuj, jest wspaniała – zachęciła raz jeszcze. – To z ubiegłorocznych zbiorów.

Iwona ponownie grzecznie odmówiła. Lekki grymas pojawił się na jej twarzy. Krewna udała, że go nie dostrzega.

– Co robicie jutro? – spytała.

– Pewnie pójdziemy na plażę – odparła Iwona.

– Wiesz, że robisz błąd? – Matylda spojrzała na nią uważnie. – Odkąd przyjechałaś, nic ci się jeszcze nie wymknęło.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. – Młoda kobieta uciekła wzrokiem.

– Iwonko! Przecież doskonale wiem, że uciekasz. Coś z Robertem, prawda? Nie dasz rady ukryć problemów małżeńskich przed Zosią. Ona jest mądrą i uczuciową dziewczynką, szybko wyczuje fałsz.

– No to mnie brakuje tej umiejętności!

Matylda spojrzała na nią uważnie. Nie myliła się.

– Możemy przez kilka wieczorów bawić się w kotka i myszkę – zaczęła. – Ja pociągnę cię za język, tobie trochę się wymknie. I tak do końca pobytu. Wyjedziesz stąd w gorszym stanie, niż przyjechałaś. Wierz mi, rozmowa może zdziałać cuda. Ktoś z boku popatrzy na problem inaczej niż ty. Doradzi coś, zasugeruje.

– Nalej mi wiśniówki – Iwona podsunęła pusty kieliszek.

– Alkohol nie rozwiązał jeszcze żadnego problemu – ciotka nie omieszkała wprowadzić elementu moralizatorskiego.

– Masz rację, jesteś tego przykładem.

– Słucham?! – Matylda niezauważalnie podniosła brwi i głos.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że wujek Andrzej był alkoholikiem. Mówisz, że rozmowa czyni cuda, a sama odsunęłaś się od rodziny, aby tylko nikt nie widział twojego męża pijanego.

– Nieprawda...

– Prawda! Taka podwójna moralność to dulszczyzna. Nie próbuj doradzać mi w sprawach, o których nie masz pojęcia.

Iwona wypila kieliszek duszkiem. Potem wstala i weszla do domu. Oslopiala ciotka siedziala chwile bez ruchu. Tak moze reagowac tylko mocno zraniona kobieta. Zapewne jutro przyjdzie z przeprosinami, ale dzisiaj przeplacze cala noc. Szkoda, aby tracila czas na hodowanie w sobie zalu.

Nie zastanawiajac sie, Matylda ruszyla do domu. Iwona juz pewnie w pokoju. Nie! Z lazienki na parterze dobiegl odglas torsji.

– Dobrze sie czujesz? – ciotka zapukala do drzwi.

Nie padla zadna odpowiedz, wiec pchnela je i weszla do srodka. Krewniaczka kucala nad toaleta, oprzozniajac zawartość zoladka. Po chwili torsje ustały. Iwona spusciala wode, wytarla usta papierem toaletowym i zalzawionymi oczami spojrzala na ciotke. Miała strasznie bladą twarz.

– Jak dlugo to trwa? – spytala Matylda, bacznie sie jej przygladajac.

– Widzialas przeciez. Moze z piec minut.

– Wiesz, o co pytam.

Dluzsza chwile mierzily sie wzrokiem, probujac odczytac swoje mysli. Iwona skapitulowala.

– To drugi miesiac...

Twarz krewniaczki rozjasnila sie w usmiechu.

– Gratuluję! Moze teraz bedzie chlopiec, mielibyście cudowną parke! Urodzi sie jakoś na poczatku przyszlego roku, prawda? To wspaniala wiadomosc! Nawet nie wiesz, jak zalowalam, ze Piotrus nie ma rodzenstwa. Byloby mu w zyciu razniej. I jego ucieszy wiadomosc, przyjezdza juz za kilka dni, z... zona. – Tu Matylda zajaknela sie, jakby swiadomosc bycia tesciowa ogromnie jej ciazyła. Po chwili jednak kontynuowala: – Męczyźni, na pozor tacy gruboskorni, ogromnie cieszą sie na wieść, ze zostaja ojcami. W koncu to sprawdzian ich męskosci. Robert na pewno tez sie cieszy, prawda?

Iwona odwrócila glowe, aby ciotka nie zobaczyla jej łez.

– Kochanie, daj mu czas. Oswoi sie z wiadomoscia o potomku i nim sie obejrzysz, bedzie rozmawial z twoim brzuchem i skrecal lózczo. Faceci juz tacy są. Potrzebują czasu, aby przetrawic taką informacje. Kobiety są zupełnie inne.

– Robert nic nie wie – wyszeptala Iwona. Nadszedl moment, ze dluzej nie da rady utrzymac tajemnicy. – Najlepiej bedzie, jezeli tak zostanie.

– Co ty mówisz?! Jak to sobie wyobrazasz? – Matylda nie posiadala sie ze zdumienia. – Przecie jesteście razem, mieszkacie pod jednym dachem. Nie dasz rady ukryc ciazy.

– Nic nie bede ukrywac. Przed wyjazdem napisalam wniosek o rozwod.

– Zlozylas go?

– Jeszcze nie.

– Przemyslalas to? Hormony ci buzują i pewnie kazda ostrzejsza wymiane zdań bierzesz teraz do siebie. Z jakiego niby powodu rozwod? Nie wyobrazam sobie, aby Robert mógł muchę skrzywdzić, a co dopiero...

– Zdradzil mnie – wtracila szybko Iwona.

Ciotkę zamurowalo.

– To powazny zarzut. Jesteś pewna? – rzekla po chwili.

– Jestem.

- Sam ci powiedział? – Chyba nie takiego Roberta pamiętała Matylda.
- Nie. Powiedziała mi o tym Monika. To z nią poszedł do łóżka. – Nim Iwona skończyła mówić, zakryła twarz dłonią i ponownie pochyliła się nad toaletą.

## S

Monika spojrzała na wjeżdżający na parking samochód. Z okna swojego mieszkania miała doskonały widok. Zawsze wiedziała, kto i kiedy wraca. Lubiła obserwować, szczególnie kuzynkę i jej rodzinę. Tak naprawdę jednak zawsze wyglądała Roberta. Odkąd tylko pojawił się w życiu Iwony, a tym samym i w jej, istnienie Moniki kręciło się wokół tego mężczyzny. Od początku zastanawiało ją, co taki facet widział w szarej pedagogicznej myszy. Ani urody toto nie miało, ani wdzięku. Co innego ona, Monika! Była świadoma swojej kobiecości i walorów ciała. Robert spodobał się jej w tej samej chwili, w której zostali sobie przedstawieni. Mężczyzna z krwi i kości. Przystojny, umięśniony, elegancki, mimo młodego wieku zajmujący kierownicze stanowisko w firmie inwestycyjnej. Nie wydawał się jednak kompletnie zainteresowany żadną inną kobietą poza Iwoną. Monika miała nadzieję, że to zauroczenie będzie chwilowe. Cóż kuzynka mogła mu zaproponować? Opowieści o pracy wśród malutkich dzieci? Streszczenia przeczytanych książek? Właściwie nic więcej. Nauczycielki są najnudniejszymi żonami na świecie!

Monika zaczęła interesować się wojennym kinem, ulubionym Roberta, aby tylko przed nim zabłysnąć. Iwona nie przepadała za krwawymi, brutalnymi filmami. Kochała romanse z dobrymi zakończeniami. Gdy na ekrany weszła najnowsza produkcja dotycząca bitwy stulecia, to Monika została zaproszona przez Roberta do kina Helios. Ile wzbudziło to w niej nadziei! Z trudem powstrzymywała się od ogłoszenia swojej radości całemu światu.

– Jesteś pewien, że Iwona nie będzie miała nic przeciwko temu? – spytała, udając wielce zafasowaną.

– Sama zaproponowała, abym cię zaprosił. Nie przepada za takimi filmami.

Głupia ta Iwona... Jeszcze wpycha Roberta prosto w moje ręce! Taka strasznie naiwna, ufająca całemu światu. Nawet po tym, co zgotował jej los.

Pamiętała, jak pierwszy raz pojawiła się w ich mieszkaniu.

– To twoja kuzynka – babcia przedstawiła wążle chuchro, z włosami koloru siana i oczami wypłosza. Monika wzruszyła wtedy ramionami i poszła do swojego pokoju, zamykając drzwi, aby ta miernota nie weszła. Zjawiła się nie wiadomo skąd ani w jakim celu! Po chwili ciekawość wzięła górę. Uchyliła na nowo drzwi i w ten sposób weszła w posiadanie informacji, których znać nie powinna.

– Iwonka ogląda telewizję, możemy rozmawiać – z kuchni doleciał przyciszony głos babci.

– Wiedziałam, że Monika tak zareaguje – powiedziała mama, wzdychając. – Ogromnie mi żal Iwonki... Osiem lat i bez matki.

– Lutka zawsze była nieodpowiedzialna! Szlajała się po Polsce, nie myśląc o przyszłości. Gdy zmarła moja siostra, nie przyjechała nawet na jej pogrzeb! A teraz nawet jej zabrakło i to ja mam zająć się dziewczynką. Przecież jej nie znam. Wiesz, że ona siedzi bez ruchu już drugi dzień i wpatruje się w ścianę? Kiwa się od czasu do czasu w przód i w tył. Pomyślałam, że jak przyprowadzę ją tutaj, to szybko złapie z Moniką wspólny język. Mieszkamy w końcu w jednej kamienicy, niech dziewczynki się spotykają.

– Wiesz, jaka jest Monika... – Mama, tknięta przecuciem, wstała i zamknęła drzwi do kuchni. Znała swoją córkę i podejrzewała, że podsłuchuje.

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Posiedziała jeszcze jakiś czas w pokoju, aby po chwili udać się do salonu. Iwona oglądała telewizję i bezgłośnie się śmiała z przygód Kaczora Donalda. Monika miała ochotę ją wykpić. Kto to widział, aby oglądać taką głupią bajeczkę?

Wzięła pilota i zmieniła kanał na muzyczny. Rozległ się ryk popularnego rockowego zespołu.

– Tego się słucha!

Iwona patrzyła z podziwem, jak dopiero co poznana kuzynka tańczy do głośnej muzyki. W jej oczach było uwielbienie dla Moniki: dla jej kocich ruchów, długich włosów, pełnych ust, stanowczego głosu i muzycznego gustu.

Im dłużej ze sobą przebywały, tym ich więź stawała się silniejsza. Obu im to odpowiadało. Iwona wpatrzona była w kuzynkę jak w obrazek. Imponowała jej przebojowość i pewność siebie, jakiej nabrała Monika wraz z dojrzwaniem. Nie było chłopaka, a potem mężczyzny, który nie zwróciłby uwagi na tę skończoną piękność. Rzadko który dostrzegał Iwonę, stojącą zawsze pół kroku z tyłu.

Jedynym, którego nie otumaniała uroda Moniki, był Robert. Nie pomogło nawet owo wyjście do kina. Po skończonym seansie odprowadził ją do domu, dziękując za mile spędzony czas. To wszystko. Nie było „ochów i achów” nad nabytą przez nią dopiero co filmową wiedzą. Nie było zaproszenia na kawę czy drinka.

Im bardziej rozkwitało uczucie pomiędzy Iwoną a Robertem, tym bardziej Monika chciała go mieć. Cierpiała na ich weselu. To ona powinna być na miejscu panny młodej. To dla niej, a nie dla niepozornej myszy, miała być przeznaczona ta obrączka i przysięga wierności. Trzeba przyznać, że z upływem lat Iwona nabrała kobiecości. Ale do pięt nie dorównywała Monice.

Szansa nadarzyła się, gdy świeżo poślubiony mąż wprowadził się do mieszkania, które Iwona odziedziczyła po nieżyjącej od dwóch lat babce. Para mieszkała na pierwszym piętrze, kuzynka na parterze. Codziennie mogła obserwować wracającego z pracy Roberta. Zawsze starała się wychodzić o tej porze. A to śmieci wyrzucić, a to pobiec do sklepu... Były tylko zamienić kilka słów z wymarzoną mężczyzną i dowiedzieć się, jak minął mu dzień. Przystawał zawsze grzecznie i odpowiadał na pytania, nerwowo zerkając w stronę okien swojego mieszkania. Spieszył do żony, lecz nie chciał wyjść na nieuprzejmego wobec jej kuzynki. Lubił Monikę, ale było jej zbyt dużo w ich życiu. Kiedyś zwierzył się z tego Iwonie.

– Jak możesz tak mówić? Wiesz doskonale, że ona i jej mama bardzo mi pomogły, gdy zostałam sierotą. Praktycznie wychowywałam się z Moniką.

Robert odbierał to inaczej. Odnosił wrażenie, że Iwona jest potrzebna kuzynce jedynie po to, aby blask Moniki był jeszcze jaśniejszy. Nie można było powiedzieć o niej nic złego, bo jego żona zaraz stawała w obronie kuzynki. Dlatego przemilczał fakt, że próbowała go uwieść.

Obie kobiety były ze sobą na tyle blisko, że Iwona zwierzała się tej drugiej także z intymnych szczegółów. A pół roku po narodzinach Zosi nadal się nie kochali. Robert rozumiał strach po długim porodzie i cierpliwie czekał. Podejmował delikatne próby, za każdym razem jednak żona mu odmawiała, przepraszając, że nie jest jeszcze gotowa. Pewnego razu, gdy wracał z pracy, na klatce wyczuł intensywny zapach perfum Moniki. Musiała tędy niedawno przechodzić. Chyba wracała z suszarni na poddaszu, bo na klatce leżał kawałek materiału. Coś, co początkowo mężczyzna wziął za skarpetkę, okazało się koronkowymi stringami. Drobiazg, ale jakże rozpalający wyobraźnię. Z westchnięciem podniósł namiastkę majteczek i zszedł na parter, aby oddać je właścicielce. Monika otworzyła mu w negliżu.

– To ty? Właśnie się przebierałam. – Nie raczyła nawet narzucić szlafroka na odsłonięte części ciała. Robert zbyt długo zawiesił wzrok na jej biuście. Na to tylko czekała. Wciągnęła go do środka i zaczęła całować. I choć początkowo bezwiednie poddawał się pieszczocie, po

chwili przyszło opamiętanie. Odsunął Monikę, choć nie było to proste. Kobieta przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Pójdę już – powiedział tylko.

Nigdy nie powiedział o tym Iwonie. Pewnie by mu nie uwierzyła. Po jakimś czasie kuzynka żony przydybała go, gdy wracał z pracy, i przeprosiła za wszystko, więc uznał sprawę za niebyłą. Wspominała coś o ogromnej samotności, ale Robert machnął ręką, nie chcąc słuchać tych niezręcznych tłumaczeń.

Odetchnął, gdy Monika zaczęła spotykać się z Michałem. Po kilku miesiącach została mężatką. Relacje z kuzynką żony i jej wybrankiem wydawały się bardziej niż poprawne. W związku Roberta i Iwony także wróciła bliskość. Jednak po kilku latach – Zosia miała wtedy pięć lat – Iwona z dnia na dzień popadła jakby w depresję. Nie zauważała męża, nie widziała dziecka, do pracy chodziła mechanicznie. Wszelkie domowe obowiązki wykonywała jak robot. Normalnie kontaktowała się tylko z Moniką, spychając Roberta na dalszy plan. To do kuzynki zwrócił się o pomoc w rozwiązaniu problemu.

– Wiesz, jakie miała trudne dzieciństwo – pocieszała go Monika. – Może coś w niej jeszcze siedzi? Wiedziałeś, że nie jest emocjonalnie zrównoważona.

Nie powiedziała mu o liście, który zawierał informację o romansie Roberta z sekretarką. Iwona znalazła go w skrzynce. Była tak zdenerwowana, że nie zainteresował ją ani brak znaczka, ani stempli pocztowych. Taką ją Monika pamiętała z dzieciństwa: zamykała się w sobie, gdy coś zagrażało jej lub bliskim osobom. Chowała się w skorupie jak żółw. Tak samo było teraz. Wystarczyło drobne kłamstewko, podrzucone przez kuzynkę do skrzynki, aby Iwona straciła pewność siebie. Monika z trudno skrywanym zadowoleniem obserwowała ją, miotającą się chaotycznie po mieszkaniu i przygryzającą do bólu usta. Zupełnie jak kiedyś w dzieciństwie, gdy Monika w złości zarzucała jej bycie rodzinnym podrzutkiem, trzymanym z litości. Przepraszała potem za swoje słowa i znowu wracały między nimi poprawne stosunki.

Miała podwójną radość. Widok skrzywdzonej Iwony był bezcenny, ale jeszcze lepsze było zachowanie Roberta. Zwrócił się do Moniki z prośbą o radę, to jej się zwierzał. Ufał kuzynce żony. O to jej chodziło. Była zadowolona, że jej zamysł się powiódł. Z czasem stosunki małżonków zrobiły się poprawne – naturalnie za pomocą dobrych rad Moniki. Zwyciężyła. Czuła się ogromnie ważna dla szukającego u niej pomocy Roberta. Ciągle porównywała Michała do niego. Nie dorastał Robertowi do pięt. Rozstała się z mężem po roku.

Pomysł z rzęsistką nasunął się, gdy udała się na badania kontrolne do poradni. Iwona wychodziła akurat z gabinetu, zafrasowana i zamyślona. Nie dostrzegając nikogo, marszcząc brwi i myśląc o czymś intensywnie. Kuzynka już miała ją zawołać, gdy tamta wyciągnęła telefon i chowając się za ścianą, zaczęła rozmowę.

– Tak, wyszłam z gabinetu – opowiadała przez telefon. – Ze mną wszystko dobrze, tylko tego rzęsiстка trzeba jeszcze podleczyć. Oboje musimy brać leki. Nie mów Monice o wynikach, nie chcę, żeby wiedziała. To w końcu nasza prywatna sprawa. Tak, zobaczymy się w domu na obiedzie. Będę miała dla ciebie jeszcze małą niespodziankę.

Rozłączyła się i zesłała po schodach. W Monice zawrzało. Jak to? Ona jest ich powierniczką, a tu chcą mieć przed nią jakieś sekrety? Niedobrze to wróży. Jakby chcieli trzymać kuzynkę na dystans. Niedoczekanie!

Czym jest ten rzesistek? Pięć minut później wypytała o to ginekologa. Wróciła do domu i odczekała, aż na parkingu pojawi się Iwona.

– Ja nie mam rzesistka... – zaczęła rozmowę.

Przyniosło to taki efekt, że jeszcze tego samego popołudnia Robert opuszczał mieszkanie z walizką. Monika miała ogromną nadzieję, że zastuka do jej drzwi. Nie zrobił tego. Mocno rozczarowana, chodziła po mieszkaniu w tę i z powrotem. Nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Kilka dni później mężczyzna pojawił się znowu w kamienicy. Tym razem przyszedł od razu do Moniki.

– Nie wiesz, gdzie mogą być Iwona i Zosia? – Kilkudniowy zarost dodawał mu atrakcyjności.

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą.

Rzeczywiście, nie widziała ich obu od początku tygodnia. Wiedziała, że Zosia była na zielonej szkole, ale kiedy z niej wróciła? I dokąd się wybrały? Iwona chyba nie miała żadnych przyjaciół, do których mogłaby się udać.

Odwrócił się i poszedł. Nie zapytał nawet, co słyhać! Patrzyła przez chwilę na oddalającą się, przygarbioną nieco sylwetkę. Musi dać mu czas. Na pewno zrozumie, że to Monika jest jego przeznaczeniem...

## S

Janina Jagusiakowa nie lubiła czerwca. Nie cierpiała lata, gwaru ani zajętych przez sprzedawców chodników. Nie znosiła ludzi, szczególnie różniących się od niej światopoglądem. Dla Janiny najważniejszy był Bóg. Rano, nim wstała z łóżka, odmawiała różaniec. Przy śniadaniu wysłuchiwała modlitw płynących z radia. Potem wizyta na grobie zmarłego męża i kolejne prośby do świętych. O dwunastej Anioł Pański, o piętnastej koronka, aby dzień zakończyć wizytą w kościele i obowiązkową spowiedzią. Jednak nie ze swoich grzechów...

– Księżę proboszczu, zgrzeszyłam. – Janina z głębokim westchnięciem, mającym sygnalizować niezwykle ciężkie przewinienie, z trudem umościła się na klęczniku. Ksiądz Zygmunt westchnął również, ale tak, aby kobieta tego nie usłyszała. – Przez tę prostaczkę Stawicką opuściłam południową modlitwę! I nie mogłam się skupić na koronce!

Jagusiakowa podniosła głos, aby mocniej zaakcentować wzburzenie. Proboszcz milczał. Znał parafiankę na tyle, aby wiedzieć, że zaraz wszystko z siebie wyrzuci.

– Listonosz przywiózł emeryturę, więc stałam przy płocie i wszystko skrupulatnie przeliczałam. Przecież wiadomo, że poczta kradnie! Ale ja nie o tym... Zauważyłam ruch przy parkanie. Niech sobie ksiądz wyobrazi, że znowu to spalone bydlę przedostało się na moją działkę i zostawiło odchody akurat pod moją dumą, świerkiem z liliowymi szyszkami. Tak cudnie obrósł nimi w tym roku, że nie było człowieka, który by nie zatrzymał się przy posesji i nie podziwiał drzewka.

Twarz Jagusiakowej rozświetlił uśmiech zadowolenia, ale po chwili jej usta znów zacisnęły się w wąską kreskę.

– Dochodził stamtąd straszny smród! Przecież nie mogę pozwolić, aby z powodu jakiegoś kota obumarły mi wszystkie krzewy w ogrodzie. Zwierzęce odchody i mocz są bardzo żrące.

Ksiądz zerknął na zegarek. Do mszy pozostało pięć minut. Odchrząknął.

– Koty to też boskie stworzenia... – zaczął, ale do spowiadającej się kobiety sens tych słów nie dotarł. W głowie miała własną rację.

– Jakby trafiły na normalnych właścicieli, zachowywałyby się normalnie! – Jagusiakowa kontynuowała spowiedź. – Wiadomo, jakimi prostakami są moi sąsiedzi! Niby wykształceni, a dokumenty kupili na bazarze! Już ja swoje wiem! Wzięłam na łopatkę te kocie gówna i przerzuciłam przez płot, tam gdzie powinny się znaleźć.

– Ale nie trafiła pani nikogo? – Wystraszony proboszcz nachylił się do Jagusiakowej.

– Z ludzi? Niestety, nikogo. Wszystko spadło na samochód turystów. Akurat wjeżdżali na posesję. Stawicka zaraz zaczęła wrzeszczeć, ale ja przecież nie dam się sprowokować byle... byle...

Tu pani Janina zaczęła szukać odpowiednich inwektyw, ale ksiądz przywołał ją do porządku i zapytał szybko:

– I co było dalej?

– Powiedziałam jej, co myślę o takich żalonych sąsiadach! Przecież wszyscy wiedzą, że to wyzyskiwacze i złodzieje. Wynajmują pokoje na czarno! Przez tę dyskusję spóźniłam się na Anioł Pański. Boże, zgrzeszyłam. – Starsza kobieta pochyliła głowę w pokorze przed imieniem Najwyższego. – Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina...

Gdy oddalała się od konfesjonału, ksiądz Zygmunt zastanawiał się, czy dobrze robi. Rozgrzeszył ją, to prawda, ale jednocześnie nie potępił karygodnego zachowania. Dzisiaj był



szczególnie zmęczony. Znał Jagusiakową. Wiedział, że jest nieobliczalna. Na jej zachowanie skarżyło się wielu parafian. Początkowo próbował tłumaczyć tę kobietę. Po półwieczu małżeństwa została sama. Mąż umierał w ogromnych cierpieniach. Towarzyszyła mu do końca, ucieczki szukając w modlitwie. Z jednej strony, było to godne podziwu, ale z drugiej... Wiara przysłoniła jej cały świat. Jagusiakowa zawsze była trudnym człowiekiem. Niezwykle podejrzliwa, zasadnicza i pozbawiona cieplejszych uczuć. W dodatku bezdzielna. Proboszcz czasami zastanawiał się, czy mając dzieci i wnuki, byłaby inna. Może bardziej wyrozumiała, serdeczniejsza? Chociaż zachowanie pani Janiny było związane raczej z jej trudnym charakterem.

– Oskarżyła mnie o łapówkarstwo – opowiadał przed kilkoma dniami doktor Waldemar, gdy przyjechał zmierzyć proboszczowi ciśnienie. Momentalnie wzrosło. – Przyszła do gabinetu przed ósmą, ale zanim ją zbadałem, zdarzył się nagły wypadek i potrzebna była moja interwencja. Jagusiakowa została przyjęta z opóźnieniem, najwyżej piętnastominutowym. Weszła do gabinetu. Najpierw syknęła, że potrzebuje skierowania do okulisty, a potem urządziła piekło w poczekalni! Rozumiem, że nie zawsze wszystko układa się tak, jak chcemy, ale wystarczy odrobina dobrej woli i wyrozumiałości.

To wtedy ksiądz Zygmunt podzielił się z doktorem podejrzeniami.

– Choroba dwubiegunowa? – zastanowił się lekarz. – Nie przypuszczam. Myślę, że wszystko wynika z samotności. Jej mąż przecież niedawno zmarł. Współczuję, jeśli na co dzień musiał przechodzić to, co teraz my, pobierowianie. Uważam, że jej zachowanie jest związane ze stratą, którą poniosła. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Jagusiakowa musiałaby wybrać się do psychiatry. Wątpię, aby zrobiła to dobrowolnie. Jeżeli potwierdzi się to, co ksiądz podejrzewa, to po fazie manii wnet nastąpi depresja.

– To byłaby któraś z kolei – potwierdził proboszcz. Przypomniał sobie, jak kilka miesięcy temu odwiedzał panią Janinę w domu. Nie wstawiała z łóżka, żywiąc się zapasami ze spiżarki. Dzwoniła tylko po księdza, aby ją wyspowiadał. Żaliła się na ludzi, na samotność i na bezcelowość życia. To on w zasadzie doradził jej zawierzenie spraw Bogu i częstsze modlitwy. Nie sądził, że parafianka wpadnie w istny bogobojny obłęd. Do tego zachowywała się, jakby miała monopol na Stwórcę, jakby to jej wiara i postępowanie było najwłaściwsze. Ksiądz wiedział, że Jagusiakowa modli się w określonych porach dnia i cieszyło go to. Jednak wyłącznie to... W kościele, na niedzielnych mszach, na których z tygodnia na tydzień przybywało ludzi, nie skupiała się w ogóle. Przyglądała się otoczeniu. Ganiła dzieci biegające wokół ołtarza. Beształa nastolatki, które przyszły do świątyni w nieodpowiednim jej zdaniem stroju. Zwracała uwagę starszym kobietom na makijaż, którego nie powinny już nakładać. Bywały niedziele, gdy w ławce siedziała sama. Mieszkańcy Pobierowa nie mieli ochoty przebywać obok kogoś, kto zaraz zwróci im uwagę, choćby chodziło o kompletny drobiazg. Tak, Jagusiakowa chciała uchodzić za świętą, drugą Maryję. Raniła przy tym wielu, z sobą na czele.

„Jak rozwiązać ten problem?” – rozmyślał ksiądz Zygmunt, biegnąc na mszę. Był spóźniony dwie minuty. Jagusiakowa zapewne wypomni mu zaraz po nabożeństwie brak szacunku dla wiernych.

Antoś z ciekawością wyglądał przez szybę osobowego busa. Właśnie wyruszyli spod szczecińskiego dworca. Podróżnych było jeszcze niewielu. Dopiero trzecia dekada czerwca, do tego środek tygodnia. Szczecinianie zazwyczaj w weekendy wybierali się nad morze. I to wszyscy w jednym czasie! Ekspresówka prowadząca na Wybrzeże była zakorkowana. Zwyczajowa godzina podróży przeciągała się wtedy do trzech. Ryszard był bardzo zadowolony, że do Pobierowa mogą wyruszyć w środę.

– Jedzie pan główną, nie przez Dąbie? – upewnił się, nim wsiedli.

– Tak, tamtędy jest szybciej – potwierdził kierowca.

Już sama nazwa tej dzielnicy wywoływała w nim nerwowe bicie serca. Nie jeździł przez Dąbie od lat. Od tamtego pamiętnego momentu... Poprzysiągł sobie, że nigdy nie znajdzie się obok miejsca, w którym... Na samo wspomnienie wzbierała w nim złość, żal i niewyobrażalny smutek. Antoś jakby wyczuł nastrój Ryszarda, bo chwycił go za rękę, aby po chwili przytulić się całym ciepłym ciałkiem. Uwielbiał tego malca! Od pierwszego spotkania zawładnął jego sercem.

Ile to już czasu opiekuje się Antosiem? Pół roku? Ryszard nigdy nie wrócił do pracy w szkole po tamtym zdarzeniu. Nie chciał widzieć litościwych spojrzeń nauczycieli ani współczucia młodzieży. Dla nich to także była ogromna strata.

Pamiętał, że niedługo musiał szukać nowego zajęcia. Gotowanie było jego pasją od zawsze. Zaczepił się jako kucharz i kelner w niewielkiej, kameralnej gospodzie, sto kilometrów od Szczecina. Po kilku latach był tak zżyty z właścicielami, że traktował to miejsce jak swoje. Oddał mu całą duszę, poświęcał każdą chwilę. Praca okazała się doskonałym środkiem na zapomnienie o dawnym, nieudanym życiu.

Ale pewnych wspomnień nie udało mu się wymazać. Po kilku latach zaczęły wracać. Przede wszystkim jako sny. Ryszard budził się nie tylko zlany potem, lecz także z mokrą poduszką pod głową. Mokrą od łez... Doszedł do wniosku, że zbyt długo tkwi w jednym miejscu, że powinien zmienić otoczenie, rzucić się w wir nowej pracy i kolejnych obowiązków. Wtedy i sny ustąpią.

Jeden z gości zostawił szczecińską gazetę. To tam Ryszard znalazł ogłoszenie o naborze kelnerów do Przyjacielskiej. Nie zastanawiał się ani chwili. Wziął dzień wolnego i pojechał na rozmowę. Został przyjęty. Właściciele gospody nie kryli zdziwienia i rozczarowania, gdy oznajmił im, że odchodzi. Zaoferowali mu większe uposażenie, zmniejszyli godziny pracy, ale Ryszardowi nie o to chodziło. Musiał rzucić się w coś nowego, co pochłonie go od rana do wieczora i nie pozwoli na rozmyślania. Przyjacielska znajdowała się w ścisłym centrum Szczecina, daleko od przeszłości. Nie było obawy, że ktokolwiek po tylu latach nieobecności w mieście rozpozna Ryszarda i znowu wykrzywi twarz w udawanym współczuciu. Bo to było najgorsze, co mogło mu się przydarzyć. Wszyscy współczuli, a powinni oskarżać. W końcu był winny...

To był dobry krok. Dnie wypełniły się nowymi obowiązkami. Praca w Przyjacielskiej, zarządzanie się w wynajętej niewielkiej kawalerce przez pierwsze tygodnie skutecznie zagłuszały myśli. Gdy wróciły, szczególnie nocami, Ryszard znalazł sposób na ich przegonienie.

– Jesteś pewien? – Szef popatrzył na niego uważnie. – Nie wiem, czy podołasz...

– Tak, jestem. Chcę mieć wszystkie nocki w Przyjacielskiej.

– Taka praca może być dla ciebie męcząca – zastrzegł właściciel. – Masz pięćdziesiąt pięć lat i może powinienes objąć tylko dzienne zmiany.

– Dam sobie radę. – Coś w głosie Ryszarda sprawiło, że szef przystał na jego propozycję.

Nie żałował, bo pracownik okazał się niezwykle sumienny. Nie było widać po nim zmęczenia czy wyczerpania, nie zawałił ani jednej nocy. Odsypianie w ciągu dnia miało ten plus, że światło dzienne skutecznie przeganiało złe myśli. Obie strony były zadowolone. Ryszard ogromnie chwalił sobie nową pracę. Przyjacielska skupiała ludzi kultury, zarówno tych, których stać było na najdroższe trunki, jak i twórców spędzających wieczór nad jednym kuflem piwa.

– Musimy do niego dolewać trochę wody – tłumaczył mu niecny proceder szef. – Im mniej piją, tym lepiej. Choć muszą mieć wrażenie, że piją dużo.

– Ale to niewłaściwe! – Ryszard powstrzymał się w ostatniej chwili, aby nie nazwać wszystkiego oszustwem.

– Z jednej strony tak, ale z drugiej... Przypomnij sobie wczorajszy wieczór. Kaczorowski i Kopica znowu urządzili awanturę o to, czyj wiersz jest lepszy i który jest większym poetą. Gdyby mniej wypili, mielibyśmy o sześć kufla więcej.

Rzeczywiście, literaci to dość ciekawy gatunek klientów. Na pozór spokojni i wyciszeni, gdy stawali w obronie własnej twórczości, zmieniali się w prawdziwych wojowników. Skakali sobie do oczu, łapali za fraki, rzucali kuflami, przewracali stoły, aby po wszystkim dojść do porozumienia i zgody przypieczętowanej następną kolejką. Ryszard potrzebował kilku wieczorów, aby opanować, jak szybko reagować w takich sytuacjach. Gdy zauważał, że konflikt się zaognia, a głosy artystów podnoszą, zmierzał do stolika i rozsadzał mężczyzn, zanim w ruch poszły pięści.

Po każdym takim wydarzeniu zastanawiał się, dlaczego nie spędzają wieczorów w domowym zaciszu, na kanapie, u boku ukochanej kobiety, otoczeni wnukami czy napisanymi książkami. Widać żaden z nich nie miał rodziny. Chociaż, zaraz... Kaczorowski raz pojawił się w Przyjacielskiej z kobietą. Całkiem ładną, aczkolwiek widać było, że nie jest przyzwyczajona do takich miejsc. Wydawała się onieśmielona, zawstydzona, ale za to wpatrzona w Kaczorowskiego jak w obrazek. Jej uczucie dodawało sił artyście. Siedział wyprostowany, był bardziej szarmancki. Ryszard widział kobietę tylko raz, więcej nie przychodziła.

Potem nadszedł ten poranek po pracy. Była szósta. Ryszard pomył ostatnie kufle i lampki, przejechał ściereczką blat. Wszystko miało być przygotowane pod dziennego zmiennika. Otwierał właśnie drzwi, gdy do baru wkroczyła młoda kobieta z małym chłopcem. Pachniała drogimi perfumami. Kosmetyki użyte do makijażu również nie należały do najtańszych. Ubrania musiała kupować w modnych butikach. Gdyby był młodszy, przyglądałby się jej znacznie dłużej. Teraz jednak jego uwagę przyciągnął trzymany za rękę chłopczyk. Maluch miał tak jasne włoski i intensywne niebieskie oczy, że w sercu Ryszarda znowu napięła się jakaś struna. Zabolalo.

– Mogę zostawić u was ogłoszenie? – spytała kobieta, gdy odzyskała oddech. Widać było, że się spieszyła. – Słyszałam, że macie specjalną tablicę.

– Tak, proszę – Ryszard cofnął się, robiąc przejście. Wskazał ścianę, na której można było umieszczać anonse. Po chwili kartka zawisła na tablicy.

– Mam nadzieję, że będzie odzew. Dziękuję bardzo. Lecimy dalej. Chodź, Antosiu!

Maluch przez chwilę patrzył na mężczyznę, ale posłusznie poszedł za matką. Kolejne łzy spadły po dziecięcych policzkach.

Ryszard podszedł bliżej, aby przeczytać ogłoszenie.

Potrzebna osoba do opieki nad 5-latką! Tylko na niecały rok! Sowite wynagrodzenie, wymagana pełna dyspozycyjność!

Niżej podany był telefon, ale nawet nie zwrócił na niego uwagi. To był impuls. Wybiegł przed bar. Rozejrzał się. Kobieta akurat wsadzała malca do zaparkowanego niedaleko jeepa.

– Proszę poczekać! – krzyknął.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Coś nie tak z ogłoszeniem? – spytała. – Nie mam czasu pisać nowego. Jak najszybciej muszę znaleźć kogoś do opieki nad Antosiem.

– Ja właśnie w tej sprawie. Mogę zająć się chłopcem.

Mama smyka spojrzała na niego zaskoczona. Ryszard również był zdziwiony. Jeszcze nigdy nie podjął decyzji tak szybko. I raczej nieodpowiedzialnie, patrząc na sceptyczną minę kobiety.

– Jest pan pewien, że potrafiłby zająć się moim synkiem? Pytam poważnie, zależy mi na czasie. Poprzednia opiekunka opuściła nas z dnia na dzień. Antoś ma nerczykę i nie nadaje się do przedszkola. Potrzebuję kogoś, kto zajmie się nim przez najbliższe miesiące, zanim nie pójdzie do szkoły.

– Jestem pewien – powiedział wyraźnie Ryszard. Po chwili dodał: – A doświadczenie... Jestem ojcem bliźniaków.

Twarz kobiety momentalnie się rozjaśniła.

– Agata Chmiel – podała mu rękę. – Dobrze panu z oczu patrzy.

– Ryszard Nawrocki – przedstawił się. – Mogę zacząć od jutra.

– A dzisiaj?

Nie zawahał się.

– Choćby zaraz.

Zmęczenie po nocnej zmianie odeszło w zapomnienie, gdy mężczyzna wpatrywał się w twarz Antosia, tak bardzo podobną do twarzyczki malca, którego tulił do siebie wiele lat temu. Nie tylko to pchało go do chłopca. Gdy zobaczył malca tak wcześnie rano, rozspanego, zasmuconego i zapłakanego, zwyczajnie zrobiło mu się żal smyka.

Bez żalu porzucił pracę w Przyjacielskiej. Z dnia na dzień zostawił osłupiałego właściciela, który nijak nie mógł zrozumieć powodów odejścia swego pracownika. Ryszard nie chciał opowiadać o Antosiu. Tak ustalił z Agatą. Oboje stwierdzili, że najlepiej będzie tłumaczyć wszystkim, że jest dziadkiem chłopca. Unikną dzięki temu niezdrowego zainteresowania, szczególnie w obecnych czasach. Stawka, jaką kobieta zaproponowała mu za opiekę, przeszła jego najśmielsze oczekiwania.

– Wymagam jednak dyspozycyjności – zastrzegła Agata. – Pracuję bardzo dużo, moja firma wreszcie zaczęła świetnie prosperować i nie chciałabym tego zaprzepaścić. Istotny jest dla mnie także mój wolny czas. Nie jestem z ojcem Antosia, co nie znaczy, że chcę być singielką do końca życia. Po prostu szukam odpowiedniego mężczyzny. Umawiam się na randki, wychodzę na koncerty, żyję. Kocham Antosia, jest dla mnie wszystkim, ale uważam, że

szczęśliwa mama to szczęśliwe dziecko.

– Gdzie jest teraz jego ojciec? – spytał Ryszard. – Nie będzie miał nic przeciwko temu, że obcy mężczyzna zajmuje się jego synem?

– Buduje mosty na drugiej półkuli. Ma nową rodzinę i raczej nie interesuje go to, co pozostawił w Polsce – kobieta ucięła temat. Po chwili wzięła do ręki jakieś papiery. – To dokumenty dotyczące nerczycy. Zalecenia lekarzy, środki ostrożności. Trzeba bardzo uważać na Antosia. Na lekach zapisałam odpowiednie dawkowanie. Trzeba ściśle przestrzegać godzin podawania sterydów. Pominięcie jednej dawki może wywołać poważne komplikacje.

Ryszard zapamiętywał wszystko, co mówiła. Po kilku dniach miała już do niego pełne zaufanie. Antoś także. Całym sercem pokochał nowego opiekuna, który rzeczywiście mógłby być jego dziadkiem. Mężczyzna kompletnie oddał się nowemu zajęciu. Przebywanie z tym małym, ciekawym świata, inteligentnym i wrażliwym chłopcem, było niezwykłym doświadczeniem. Ryszard odmłodził, ganiając za rozpędzonym na rowerku dzieckiem, licząc ślimaki, zbierając kwiaty dla łące, wyjadając frytki palcami. Przez chwilę miał wrażenie, że czas cofnął się o dwadzieścia lat. I tylko kłuło go w sercu, gdy przypominał sobie, jak potoczyło się życie innego chłopca, także niebieskookiego...

– Słucham? Co pan powiedział? – głos kierowcy wyrwał Ryszarda z zamyślenia.

– Przed chwilą lokalna rozgłośnia podała, że nie przejedziemy autostradą – mężczyzna próbował przekrzyczeć warkot silnika. – Zaraz jest skręt na Dąbie. Musimy jechać tamtędy, bo inaczej nie wydostaniemy się ze Szczecina!

Ryszard z bólem oparł głowę na siedzeniu. Jednak będzie musiał się zmierzyć z przeszłością. I to za kilka minut...

## S

– Dasz radę odebrać tę turystkę? – Matylda zwróciła się do syna.

Skinął głową, że się zgadza. A potem zamyślony jadł dalej śniadanie.

Piotr i Dorota, jego żona, przyjechali do Pobierowa poprzedniego wieczoru. Z Wrocławia mieli spory kawał do pokonania, ale gdyby nie remonty i naprawy nawierzchni, ograniczenia prędkości przy robotnikach i stanie w korkach, byłiby dwie godziny wcześniej. A tak zjawili się dopiero przed północą. Matylda zaproponowała kolację, ale Dorota kategorycznie odmówiła.

– Za późno na jedzenie – stwierdziła. – Od razu pójdziemy do łóżka. Musimy wyspać się po takiej okropnej podróży.

Nawet nie spojrzała na przysmaki przygotowane przez teściową. Po prostu poszła do przeznaczonego dla nich pokoju. Piotr poznosił wszystkie walizki, uściskał matkę i tyle go widziała. Spotkali się dopiero na śniadaniu, po ósmej.

– Dorotka jeszcze śpi? – Matylda krzątała się, doprawiając jajecznicę, ulubiony przysmak syna. Rzucił się na nią tak, jakby wieki nie jadł tej potrawy.

– Nie – powiedział pomiędzy jednym a drugim kęsem. Smakowała wybornie! – Wzięła butelkę wody i jabłko i pobiegła na plażę. Zapewne zrobi pięć kilometrów w każdą stronę, a potem zje owoc na śniadanie.

– Czy ona nie przesadza? – Matylda spojrzała zdumiona na syna.

Dorota w ciągu ostatnich miesięcy przeszła prawdziwą metamorfozę. Nigdy nie interesowała się sportem, a od roku biegała, chodziła na siłownię i ćwiczyła jogę. Niegdyś mięsożerna, teraz interesowały ją jedynie owoce i warzywa. Fakt, zeszczuplała, nabrała sprawności, ale jednocześnie stała się bardzo poważna. Matylda nie miała zbyt dobrego kontaktu z synową. Piotr już od czasów studiów mieszkał we Wrocławiu. Tam pracował, prowadząc atelier fotograficzne i tam też poznał Dorotę. Ale wtedy była zupełnie inna: pucułowata, roześmiana, w jej oczach tliły się iskierki radości, a nadwaga wręcz dodawała jej kobiecości. Z jakim zapałem opowiadała o swoich projektach. Była architektem zieleni. To ona pomogła stworzyć Matyldzie przydomowy ogród, przyciągający teraz uwagę wszystkich ludzi przechodzących obok posesji. Ile rozmów przeprowadziły przez telefon i poprzesyłały sobie maili. Matylda pamięta jeszcze, jak Dorota opowiadała o niespodziance, którą dla niej szykują. Była pewna, że chodzi o tę egzotyczną roślinę, która tak świetnie nadawałaby się do posadzenia pomiędzy poziomkową skarpą a fontanną. Kiedy to się wszystko działo? Z rok temu... Tak, przypomniała sobie, bo to były wakacje, na które nie mogli przyjechać do Pobierowa. Piotr tłumaczył wtedy siebie i żonę. Mają nawet obowiązków, dlatego zamiast dwutygodniowego urlopu nad morzem wolą weekendowo wyjeżdżać niedaleko Wrocławia. Matylda była rozczarowana. Ogromnie cieszyły ją letnie wizyty syna i synowej. To był jedyny czas, który mogli spędzić razem. Nigdy nie ruszała się z Pobierowa na dłużej niż jeden dzień. Nie mogła bowiem zostawić pensjonatu bez opieki.

To od ubiegłego lata Matylda zauważyła w synowej zmiany. Ilekroć do nich dzwoniła, słuchawkę podnosił Piotr. Sam spędzał czas po pracy, bo Dorota biegała na trening lub na jakiś masaż. Potem zapisała się na kurs zdrowego gotowania.

– Ale po co? – Matylda patrzyła na syna wyczekująco. – Aż tak jej zależy na wyglądzie?

Piotr utkwiał wzrok w talerzu.

– Może wam się nie układa? – drążyła matka. – Może ona kogoś sobie znalazła? Boże mój,

przecież wy prawie nie spędzacie razem czasu!

– Bzdury! – Mężczyzna wreszcie odważył się podnieść głowę. – Po prostu zaczęła bardziej dbać o siebie i tyle. Na pewno nikogo nie ma.

W tym momencie do kuchni wpadła zaróżowiona z wysiłku Dorota. Chwyciła butelkę z wodą i nalała pełną szklankę. Wypiła ją jednym haustem. To samo zrobiła z drugą. Dopiero wtedy przemówiła.

– Dzień dobry! – Jeszcze łąpała oddech. – Dwa lata nas tu nie było, a Pobierowo nieźle się rozrosło. Nie wiedziałam, że macie siłownię na powietrzu.

– Tak, od niedawna – przyznała Matylda, przyglądając się uważnie synowej.

– Bardzo dobrze! Ludzie będą mieli gdzie spalić kalorie po obżeraniu się lodami i goframi.

– Mamy jeszcze korty tenisowe – dodała teściowa.

– Piotrek, słyszysz?! Będziemy mogli codziennie chodzić i grać. Tutaj się nie wymigasz. – Dorota pogroziła mężowi palcem. – We Wrocławiu mogłeś wymówić się pracą, ale teraz mamy urlop.

– Może jednak zamiast tego, zwyczajnie spacerowalibyście po plaży – zasugerowała Matylda. – Ścieżki w lasach są także pięknie przygotowane.

– Człowiek, aby być zdrowym, musi aktywnie spędzać czas – przerwała jej synowa.

– Czy wy na coś chorujecie? – zaniepokoiła się Matylda.

Zbyt szybkie spojrzenie Doroty na jej syna nie pozwoliło stuprocentowo uwierzyć w zapewnienie, że oboje czują się fantastycznie i nic im nie dolega.

– Lecę się wyprysznicować, przebrać, a potem gnam na masaż. Gdy wracałam z joggingu, zapytałam w tym hotelu niedaleko, czy nie mogliby mnie przyjąć. Znalazł się termin przed południem! – I tyle ją widzieli.

Matylda długo patrzyła za oddalającą się synową.

– Na pewno nic przede mną nie ukrywacie? – upewniła się. To było niepodobne do Doroty, że nawet nie podeszła do męża i nie skradła mu solidnego całusa. Zawsze tak robiła.

Piotr po raz kolejny zaprzeczył, nie patrząc na matkę.

– Ile osób już masz w pensjonacie? – spytał, wycierając usta w serwetkę.

– Jesteście wy, Iwona z Zosią, wczoraj przyjechał ze Szczecina pan Ryszard ze swoim wnuczkiem. Dzisiaj ma dojechać pani Aldona. Wyobraź sobie, także jest z Wrocławia! Jutro ma dotrzeć pani Zoja ze Szczecina. Ona zostanie przez cały miesiąc. Będzie pracować w hotelu obok, ale tam już nie mają miejsc noclegowych dla pracowników.

– To skromnie w tym roku – stwierdził Piotr.

– Wiesz, że w lipcu jadę na wycieczkę. Pensjonatem zajmie się w tym czasie Iwonka. Nie chciałam jej nadmiernie obciążać, dlatego nie przyjmowałam zbyt wielu turystów.

– Z kim ty właściwie jedziesz? – syn spojrzał na matkę.

– Z innymi sołtysami. – Matylda odwróciła się, aby nie widział rumieńca, który wypełził jej na twarz. Nie lubiła kłamać.

– Dobrze, że Iwonie udało się wziąć wolne – powiedział syn. – Chociaż w zawodzie nauczycielki to raczej trudne, szczególnie przed końcem roku szkolnego. Ale należała jej się zmiana otoczenia. Dzisiaj rano krótko się z nią widziałem. Wydawała się taka blada i zmęczona. Z całą pewnością przyda jej się morskie powietrze. Później wezmę ją i Dorotkę na piwo do tej knajpki na samej plaży. Jest już otwarta?

– Tak, od tygodnia – odparła Matylda. Potem dodała z rozpędu: – Ale Iwonie to raczej sok zaproponuj...

Piotr spojrział zaskoczony. Po chwili jego twarz się rozjaśniła.

– Rodzina się powiększa? To wspaniale!

– Nic takiego nie powiedziałam. I wolałabym, aby to zostało między nami. – Mama przyjrzała się synowi. – Skoro już o dzieciach mowa... Dorotka nie myśli jeszcze o macierzyństwie?

Mężczyzna wzruszył ramionami. I gdyby nie był jej dzieckiem, uznałaby, że potomstwo nie jest ich celem w życiu. Na twarzy Piotra przez sekundę pojawił się jednak ból. Zapadło krępujące milczenie, którego żadne nie miało ochoty przerwać.

– Co z tą turystką, którą mam odebrać z dworca w Wysokiej Kamieńskiej? – Ciszę zakłóciło zbyt głośne wstawianie pustych talerzy do zlewozmywaka.

– Przyjeżdża pociągiem o jedenastej. Przez telefon opowiadała, że nie jest w pełni sprawna. Wiem, że na dworcu może nie czekać żadna taksówka, dlatego zapewniłam ją, że ktoś od nas po nią wyjedzie. – Matylda pomogła sprzątać synowi po śniadaniu. – Nie sądzę, aby wielu niepełnosprawnych turystów przyjechało tym pociągiem. Rozpoznasz ją bez problemu.

Piotr pocałował matkę i poszedł do pokoju po dokumenty. Po pięciu minutach był w drodze.

## S



Kierownik zakończył omawianie zakresu prac i zapytał:

– Da pan sobie radę?

Robert przytaknął. Co mogło być trudnego w wydawaniu towaru zamówionego przez klienta, fakturowaniu go, drukowaniu, odbieraniu należności i załadunku? Nic. I to właśnie był problem.

Jeszcze chwilę porozglądał się po nowym miejscu pracy. Wszystko ograniczone do jednego, starego magazynu. Przełknął ślinę i wsiadł do samochodu, odprowadzany wzrokiem kierownika.

– Widziałaś? – starszy mężczyzna zwrócił się do księgowej, która siedziała zgarbiona przed komputerem. – Nie wiem, czy długo tu popracuje. Jeździ bryką, której nie da się utrzymać za zwykłą wypłatę. Pewnie nie zagrzeje tu miejsca.

– Tak myślisz? – Kobieta podniosła zmęczony wzrok znad dokumentów.

– Nasz magazyn to nie miejsce dla niego. Musi być jednak mocno zdesperowany, skoro przyjął pracę za dwa tysiące. Założę się, że do tej pory zarabiał cztery razy więcej. Wysławia się, jakby był po studiach, choć bardzo starał się nie robić inteligentnego wrażenia.

– A doświadczenie?

– Dał świadectwo ukończenia technikum mechanicznego i zrobienia matury. Wiesz, że do bycia magazynierem nie trzeba więcej. Odniosłem jednak wrażenie, że jego edukacja się na tym nie skończyła. – Kierownik chwilę patrzył w stronę, w którą odjechało auto, i wrócił do swoich zajęć.

Robert miał o czym rozmyślać. Nie tak potoczyły się ostatnie miesiące, a kto wie, czy nawet całe lata. Kiedy zauważył pierwsze oznaki, że dzieje się coś złego? Chyba po piątych urodzinkach Zosi. Pamięta, z jakim zapałem przygotowywali dla niej niespodziankę – nowy rowerek. Krótco przed świętem córki nastrój Iwony zmienił się radykalnie. Fakt, nie było go przez kilka dni w domu, wypadł mu nieoczekiwany wyjazd służbowy, ale to przecież nie powód, żeby się zachowywać, jakby wyrządził jej krzywdę! Próbował dociekać, co jest tego powodem, ale wszystko na nic. Zbywała go półsłówkami. Może to była wina jesieni i lekkiej depresji, jak sugerowała wtedy Monika? Z dnia na dzień Iwona przestała z nim rozmawiać, w dużym małżeńskim łóżku odgradzając się barierą z puchowej kołdry.

Owszem, zataił przed nią problemy w pracy i okrojone o połowę wynagrodzenie. Światowy kryzys dopadł i jego firmę. I tak cud, że jego etat nie został całkowicie zlikwidowany, jak miało to miejsce w przypadku innych kolegów. Pamięta zaskoczenie i niedowierzanie, że właśnie na nich trafiło. Sam chodził podminowany przez kilka dni. Może zdarzyło się, że zbyt obcesowo odpowiadał na pytania Zosi i żony? Ale w przygotowanie urodzin włączył się pełną parą. Nie mógł przewidzieć, że nie będzie go na samej uroczystości. Że przed firmą stanie szansa na wyjście z kryzysu i akurat on musi jechać na negocjacje do trudnego klienta. Nie opowiadał o tym Iwonie. Po kiego grzyba? Zawsze była taka delikatna i wrażliwa, po co miała zajmować się sytuacją w jego pracy? Ale gdy wrócił i został tak chłodno przyjęty – żona patrzyła na niego z bólem i nieufnością – przez chwilę żałował, że z niczym się wcześniej nie zdradził. Ale tylko przez moment... Wspomniał słowa ojca, który powtarzał, że musi zachowywać się po męsku. Nie marudzić, nie opowiadać o problemach – tylko je rozwiązywać. Prawdziwy facet chroni swoją kobietę, a nie dokłada jej zmartwień. Nie opowiada, tylko robi. Nie rozczula się, ale walczy.

Przez prawie rok Iwona zachowywała się dziwnie, jakby z dystansem. Nie miała ochoty nawet na seks. Dał jej wtedy spokój. Przecież nie będzie zmuszał żonę do czegoś, co nie sprawia jej przyjemności. I choć brakowało mu bliskości, czułości i dotyku jej ciała, wytrzymał.

Monika cierpliwie wysłuchiwała żalów Roberta. Odnosił wręcz wrażenie, że robi to z lubością! Tłumaczyła mu:

– Iwona to typ depresyjny. Musisz pamiętać o jej dzieciństwie.

Miał pewne obawy przed wprowadzaniem osoby trzeciej do swojego małżeństwa. Ale to przecież była kuzynka, osoba najbliższa Iwonie, jej przyjaciółka i powierniczka! Poza tym, rzeczywiście martwił się o żonę. Monika twierdziła, że wszystko jej przejdzie.

– Potrzebuje tylko trochę czasu.

Początkowo dziękował Bogu, że jest ktoś taki jak Monika. Była na każde zawołanie, zawsze serdeczna, pomocna. Gdyby mogła, to przychyliłaby Iwonie nieba. Tak było do pewnego momentu. Z czasem coraz wyraźniej widział, że to na nim jej zależy. Aranżowała sytuacje, które nie powinny mieć miejsca. Robert inaczej zaczął patrzeć na kuzynkę żony. Odetchnął więc, gdy wyszła za mąż, ten związek nie przetrwał jednak długo. Monika szybko wróciła do stanu wolnego. Była piękną kobietą i miał nadzieję, że wnet trafi na takiego mężczyznę, który na dłużej zagości w jej sercu. Daleko odsuwał myśli, że teraz podwójnie skupi się na nim. Nie dawał jej do tego absolutnie żadnych podstaw; w jego życiu liczyły się tylko Iwona i Zosia, jego dwa cudowne skarby.

Wszystko zaczęło się psuć na początku tego roku. Zawiódł solidny do tej pory kontrahent z Rosji. Widmo wojny na Wschodzie także nie wróżyło niczego dobrego. Robert pracował jeszcze więcej, szukając nowych odbiorców i zleceń, ale groźba upadku firmy stawała się coraz bardziej realna. Wracał do domu, zniechęcony sytuacją pracodawcy. Przed drzwiami mieszkania prostował się jednak, przywoływał uśmiech na twarz i witał się z żoną jakby nigdy nic. Planowali wybrać się latem kamperem do Francji. Jak miałby rozczarować Iwonę? Teraz, kiedy wszystko między nimi znowu wróciło do normy? Zosia tryskała radością na samo wspomnienie wakacji. Żona także cieszyła się ogromnie. Podróż po Europie była jej największym marzeniem. Robert odkładał przez kilka miesięcy pieniądze na ten cel. Z okrojonej wypłaty ciężko byłoby od razu wygospodarować odpowiednią kwotę. Łapał każde dodatkowe zlecenie. Dumę schował do kieszeni. On, specjalista od marketingu, okłamywał żonę, że wyjeżdża w weekendową delegację. W rzeczywistości jechał na budowę do znajomego i zakasawszy rękawy, pracował fizycznie od rana do wieczora. Gdy wracał do domu, nie był w stanie utrzymać szklanki w drżących dłoniach. Biegł pod prysznic i rzucał się do łóżka. Spał jak zabity do poniedziałkowego poranka, zadowolony, że kolejne banknoty przybliżają go do spełnienia marzenia żony i córki. Jeżeli ich życzenia zostaną spełnione, on również będzie szczęśliwy.

Aż nadszedł ten kwietniowy dzień. Piątek. Szef poprosił go o rozmowę w swoim gabinecie. Nie był sam, towarzyszyła mu kadrowa, która od pewnego czasu przejęła także obowiązki sekretarki. Nie wróżyło to dobrze, Robert jednak ciągle miał nadzieję. Najwyżej zgodzi się na pracę na pół etatu, za mniejsze pieniądze. Tylko jak wytłumaczy Iwonie, że wraca z biura wcześniej? Gdy jego żona dowie się prawdy, nigdy nie pozwoli na wakacje we Francji. Znał ją przecież, będzie chciała oszczędzać, trzymać pieniądze na czarną godzinę.

– Jest pan jednym z najlepszym specjalistów od marketingu, jakich kiedykolwiek miałem – szef zaczął pompatycznie, ale do Roberta niewiele docierało. W myślach tworzył historię dla żony. „Kochanie, nasza firma przeżywa mały kryzys, ale nie martw się, za jakiś czas wszystko wróci do normy. Szukam dodatkowych zleceń, ta sytuacja nie potrwa długo”.

– Słucham? Może pan powtórzyć jeszcze raz? – dopiero teraz do Roberta dotarło zdanie wypowiedziane przez siedzącego przed nim mężczyznę.

– Musimy się z panem rozstać. Przykro mi. Pod koniec kwietnia zamykamy firmę.

Kadrowa położyła na biurku dokument – rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Robert podpisał ją automatycznie. Nie słyszał podziękowania szefa ani tłumaczeń kobiety, kiedy odebrać świadectwo pracy. W głowie kołatała mu jedynie myśl, że zawiódł Iwonę. Stracił pracę. Pogrzebał marzenia. Rozczarował ją.

Zamierzał, naprawdę zamierzał wszystko powiedzieć żonie jeszcze tego samego popołudnia. Jednak gdy wrócił do domu, a na spotkanie wybiegła mu radosna Zosia, targając wielki atlas rozłożony na stronie z Francją, zrezygnował z tego pomysłu.

– Tatusiu, tatusiu! – Nie zdążył jeszcze się rozebrać, a córeczka już przy nim była. – Uda nam się pojechać także do Disneylandu? Bardzo bym chciała. Tam jest Myszka Miki, Kaczor Donald, a nawet kochany Pluto!

Spojrzał jej w oczy, a na twarz przywołał uśmiech. Potem przywoływał go każdego dnia. I radość także nauczył się symulować. Aż do pewnego czerwcowego popołudnia...

Do tej pory nie miał pojęcia, kto mógł poinformować Iwonę, że stracił posadę. Przesłane świadectwo pracy przechwycił, zanim żona zdążyła zajrzeć do skrzynki.

– Jak długo to trwa? – przywitała go tamtego popołudnia. Chciał zacząć się tłumaczyć, opowiadać, ale na twarzy Iwony malowała się taka pogarda i rozczarowanie, że zrezygnował. W ciągu kilku minut spakował się i opuścił mieszkanie. Zszedł jeszcze tylko do piwnicy, aby na ulicę nie wychodzić z twarzą zalaną łzami...

## S

Aldona rozprostowała nogi. Siedziała na peronie od pięciu minut, a nigdzie nie widziała żadnego samochodu. Właścicielka pensjonatu obiecała, że kogoś po nią przyśle. Ale jeszcze nie będzie się złościła. Pociąg – jak nigdy – przybył na miejsce przed czasem.

Swoją drogą, chyba zwariowała! Jest na jakimś zadupiu, lokomotywa zatrzymała się niemal w szczerym polu. Najbliższych zabudowań nie widać, taksówek także nie, na peronie brak jakiegokolwiek szyldu. Ktoś inny wziąłby bagaż w rękę i poszedłby drogą, aż złapałby jakiegoś stopa. Może rzeczywiście lepiej było wybrać się do większego kurortu? Tam przynajmniej człowiek jest w stanie zamówić taksówkę. A tutaj? Poza dumnym napisem „Wysoka Kamińska” nie ma nic. Nawet bezpański pies nie przebiegnie.

Aldona spojrzała w bezchmurne niebo i przypomniała sobie zabawę z dzieciństwa. „Gdy przeleci w zasięgu wzroku dziesiąty ptak, na pewno stanie się coś dobrego” – tak rozmyślała wraz z przyjaciółką, leżąc w trawie i wypatrując fruujących towarzyszy. Spędzały w ten sposób całe godziny, nie przejmując się upływającym czasem i wolne od jakichkolwiek zmartwień. Pamięta jak dziś wspaniale muskające twarz słońce. Co by było, gdyby poczuła je tak, jak niegdyś?

Aldona nie namyślała się długo. Przeszła kilka metrów w stronę rolniczego nieużytku. Nie był, co prawda, pokryty zieloną, soczystą trawą, ale w resztkach paszowej zielonki także można się położyć. Po chwili wyciągnęła się na ziemi. Pod głowę podłożyła cieniutki sweterek, który wzięła ze sobą na wszelki wypadek. Spojrzała w niebo. Pierwszy ptak, po chwili kolejny, za kilka minut następny. Promienie przyjemnie świeciły na jej odsłoniętą nogę i na to, co zostało z tej drugiej. Zapomniała, kim jest, co ma i gdzie się znajduje. Przymknęła oczy, bo słońce koniecznie chciało zajrzeć w głąb jej duszy. Ciepło tak przyjemnie rozleniwiało, przenikając do każdego fragmentu ciała, że nim się spostrzegła, zapadła w drzemkę. Śniło jej się, że lata, unosi się w powietrzu, jak liczone jeszcze przed chwilą ptaki. Latała nad głowami ludzi, którzy głośno... rozmawiali przez komórkę.

– Mamo, tutaj nikogo nie ma – słyszała męski głos. – Ani kaleki, ani żadnej innej osoby. No, rozglądam się po ławkach na peronie. Mamo, traktor wyjechał mi na drogę, akurat na ciągłej linii i spóźniłem się najwyżej kwadrans! Jak to niepełnosprawna osoba, to nigdzie sama nie poszła. Może była jednak taksówka? Ale zaraz... Mamo, tam w trawie ktoś leży! Jezu... To ona! Chyba coś jej się stało, musiała upaść albo ktoś ją potracił! Biegnę tam!

Nim Aldona rozbudziła się na dobre, Piotr porwał ją na ręce i gnał w stronę samochodu.

– Co pan robi? – postanowiła dać znać o sobie.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Nic pani nie jest? – Trzymał ją na rękach i sprawdzał, czy nie ma żadnych widocznych obrażeń. – Nie czuje pani zawrotów głowy? Bólów? Zaraz pojedziemy do szpitala w Kamieniu. Tam zrobią prześwietlenie i...

– Ale po co? Proszę mnie postawić na ziemi!

– Upadła pani i należy sprawdzić, czy wszystko w porządku z głową – tłumaczył Piotr.

– Z moją jak najbardziej, ale to chyba pana powinno się prześwietlić! Jak można porywać spokojnie leżącego człowieka?

– Jak to leżącego?

– Położyłam się na chwilę, ptaki chciałam policzyć, no i przysnęłam. – Aldona machnęła zdrową nogą, sugerując, że chce stanąć na twardej powierzchni.

Piotr spojrział na nią jak na wariatkę, aby zaraz wybuchnąć gromkim śmiechem. Dołączyła do niego i pewnie napad wesołości trwałby dłużej, gdyby nie telefon.

– Tak, mam, wszystko w porządku. Zaraz ruszamy. Nie, przywidziało mi się coś w tej trawie.

Kobieta patrzyła na niego z wyraźną sympatią, gdy schował telefon do kieszeni.

– Aldona.

– Piotr.

– Miło cię poznać. – Spojrzeli na siebie i znowu ryknęli śmiechem na wspomnienie początku znajomości.

Droga upływała im na przekomarzeniach, lekkiej rozmowie i żartach. Piotr dawno nie czuł się tak dobrze. Przez chwilę wspominał wczorajszą podróż z żoną. Dorota siedziała nad książką dietetyczną – ostatnim zdrowotnym bestsellerem. Robiła notatki i co chwilę rzucała w stronę męża uwagi na temat kaloryczności produktów. Wymieniała te, których podczas urlopu nie wolno im było absolutnie tknąć!

– Dzięki Bogu, byłam przewidująca i poczyniłam odpowiednie zapasy. – Wieźli ze sobą solidnie zapakowany koszyk z kiełkami, otrębami, produktami bio, kompletnie bezsmakowymi, ale za to niezwykle zdrowymi, jak zapewniała Dorota. Piotr w pewnym momencie się wyłączył. Wałkowała wyłącznie tematy diety, zdrowia, suplementów, sportu, zapominając, że pokochał kobietę, która nie miała obsesji na punkcie wyników badań i kilogramów, za to potrafiła o dwudziestą wyczarować taką pizzę, że nie mogli zasnąć z powodu przejedzenia. Kiedy ostatni raz robiła pizzę? Gdy przekazywała mu radosną nowinę...

– Słucham? – Nie dosłyszał ostatniego zdania Aldony.

– Pytałam, czy znasz dobre miejsce z golonką – powtórzyła. – Lub karkówką czy szaszłykiem, prawdziwym mięsem z otoczką tłuszczową i pieczonymi ziemniakami. Nie pamiętam, kiedy jadłam takie pyszności. Chyba przed ostatnią operacją.

– Zabiorę cię tam, gdzie sam zazwyczaj jadam – powiedział z uśmiechem. Po chwili spoważniał. – Skoro sama zaczęłaś temat, to powiedz, co ci się stało?

Nie musiała dopytywać, o co mu chodzi.

– Wiesz, normalnie człowiek czułby się wyjątkowo, wiedząc, że przytrafia mu się coś niezwykle rzadkiego – zaczęła. – Byłam krótko po studiach, pewnego ranka, po prysznicu, wycierałam się ręcznikiem i na stopie wyczułam guz. Takie lekkie zgrubienie. Jeszcze tego samego dnia wybrałam się do ortopedy. Zalecił bolesne zastrzyki, które nie przynosiły poprawy. Wręcz przeciwne. Po dwóch tygodniach stopa tak mi spuchła, że zamiast rozmiaru 39, nosiłam 41. Wyobrażasz sobie, jaki miałam problem z butami?

Powiedziała to takim tonem, że Piotr musiał się roześmiać.

– Kupowałaś dwa różne? – spytał.

– Nie zdążyłam, bo trafiłam do onkologa. Seria badań wykazała, że cierpię na rzadką odmianę nowotworu złośliwego tkanek miękkich. To mięsak sarcoma. Ta nazwa niewiele ci powie. Zapada na nią naprawdę mały procent chorujących na nowotwory. Od początku wiedziałam, że rokowania są złe. Nie sądziłam jednak, że zakończy się to amputacją w podudziu... Przeszłam chemioterapię, włosy wypadały mi cztery razy, a organizm został strasznie spustoszony.

– Boże mój, wiele przeszłaś... – powiedział cicho Piotr, patrząc z podziwem na kobietę. –

Dzielna jesteś.

– Nie jestem – odparła, wzruszając lekko ramionami. – Dzielna byłabym, gdybym wszystko przyjmowała ze spokojem. Pogodziła się z chorobą, słuchała lekarzy, była zmobilizowaną pacjentką. A ja prawie cały czas się buntowałam. Krzyczałam na panie w fartuchach, które przychodziły zrobić mi zastrzyki. Dzień przed operacją kazałam mojemu lekarzowi obfotografować chorą nogę. Ze zdjęć zrobiłam sobie potem tapetę na pulpit. Upokarzałam się.

– To raczej normalne. Trudno przecież pogodzić się z taką stratą – stwierdził Piotr.

– Straciłeś coś kiedyś? Lub kogoś?

Milczał chwilę.

– Tak, i to całkiem niedawno...

– Zobacz, jak spokojnie o tym mówisz. Ja taka nie byłam. Chciałam umrzeć. Bo jak można żyć bez nogi? Przecież nigdy nie będę mogła założyć sukienek. Ani pływać. Ani jeździć na rowerze. Tak przynajmniej wtedy myślałam. Zanim nadszedł czas operacji, kilka dni wcześniej kompletnie wariowałam. Wchodziłam do sklepów, przymierzałam wszystkie sukienki z manekinów, a w przebieralni robiłam zdjęcia całej sylwetki. Mam ich w komputerze setki. Do tego prawie nie spałam... Cały czas chodziłam. Chciałam nachodzić się na zapas. Moi rodzice wiele przeszli ze mną w tamtym czasie. A po amputacji jeszcze więcej.

– Gdybym nie widział protezy, nie uwierzyłbym, że cokolwiek ci dolegało – powiedział Piotr. – Jesteś piękną kobietą. Dałbym głowę, że gdzieś cię już widziałem.

To była myśl, która kołatała mu w głowie od momentu, w którym podnosił ją z trawy. Te rozsypane w nieładzie włosy, piękne rysy twarzy, kuszące usta... Usta! Już wie! Widział ją na zdjęciach! Jasne, przecież ona też jest z Wrocławia! Musiała robić fotografie w jego atelier. Miał tam młodego, obiecującego pracownika. Na wspomnienie zdjęć wykonanych Aldonie, Piotr poczerwieniał. To były akty, ale chora noga została doskonale ukryta. Fotograf wyeksponował inne części kobiecego ciała.

Dobrze, że dojeżdżali właśnie do Pobierowa. Aldona skupiła się na oglądaniu miejscowości, a Piotr mógł w spokoju uporządkować myśli. Wiózł kobietę, której twarz stała mu przed oczami w trakcie ostatnich zbliżeń z żoną. Nie można było ich nazwać nawet miłosnymi. Po prostu zbliżenia. Raz na jakiś czas, aby powinność małżeńska w ogóle nie zanikła.

## S

Autobus wydawał straszne odgłosy, jakby zaraz miał się rozpaść. Zoja siedziała pośrodku pojazdu. Daleko od uruchomionej na pełną moc klimatyzacji i od smrodliwej chmury wydobywającej się z rury wydechowej, której część jednak dostawała się do autobusu przez otwarte okna. Zoi zbierało się na wymioty. Dawno nie jechała takim środkiem lokomocji. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz wybrała się poza Szczecin.

Na dodatek jechała z pustym żołądkiem. Bułkę zostawiła Tadeuszowi na śniadanie. I pieniądze. Z Przyjacielskiej wrócił późną nocą. Obudził ją, strącając butelkę wody.

– Kochanie, nie śpisz? – spytał, gdy pojawiła się w kuchni. I nie czekając na odpowiedź, poszedł do sypialni. Chwilę później potężnie chrapał. Cały wieczór spędził w knajpie na urodzinach zaprzyjaźnionego malarza. Śmierdział piwem, papierosami i knajpianym zaduchem. Zoja wiele by dała, aby tę ostatnią noc spędzili razem, przytuleni do siebie. Tadeusz był jednak nieświadom jej pragnień. Kilka dni temu próbowała wytłumaczyć mu, dlaczego spędza urlop, pracując w hotelu.

– Nie mamy oszczędności – mówiła. – Jeżeli będziesz potrzebował medycznej opieki, będziemy musieli zapłacić za nią z własnej kieszeni. Przed zimą przyda się też trochę rezerwowego grosza na wysokie rachunki za prąd i ogrzewanie.

Machnął ręką. To takie prozaiczne sprawy... Jak zachoruje, to pójdzie do szpitala. W końcu nie odmówią wyleczenia pacjenta, nawet nieubezpieczonego. Nie będą nic od niego potem ściągać, bo niby z czego? Nie ma stałych dochodów. A jak złapie przeziębienie, to Zoja z apteki przyniesie odpowiednie lekarstwo, dokładnie jak poprzednim razem. Tadeusz był przekonany, że jako farmaceutka ściągnęła z półki medykament i przyniosła do domu. Nie domyślił się, że zapłaciła z własnej kieszeni znajomemu lekarzowi za wypisanie antybiotyku na receptę. Medykament nie była, ale w kaszlu, określanym przez Tadeusza jako zwykłym, przeziębieniowym, bez trudu rozpoznała początki zapalenia płuc. On, oczywiście, nie dał się namówić na pójście do gabinetu.

Zoja zawsze miała trochę pieniędzy odłożonych na czarną godzinę. Gdy żyła samotnie, nie ruszyła ani złotówki z tej puli. Wszystko rozeszło się, odkąd zamieszkał z nią Tadeusz. A to zapłata za wypisanie recepty, a to spłata zadłużenia w Przyjacielskiej za ukochanego, kilkakrotne nocne taksówki, odwożące go pijanego... Nie wiedzieć kiedy, nie zostało jej ani grosza.

– To było ostatni raz – kajał się kompletnie pijany poeta, gdy taksówkarz pomagał mu wejść do mieszkania. – Zasiedzieliśmy się, a potem zaczął padać deszcz. Pieszko nie mogłem przecież wracać.

Zoja nie czuła nawet złości. Było jej smutno i przykro, ale skoro kogoś się kocha, to nie można kłócić się o zamówioną taksówkę, prawda? Wyciągnęła więc ostatnie banknoty i zapłaciła.

Krótko potem znalazła to ogłoszenie o pracy w hotelu w Pobierowie. Przez miesiąc mogła zarobić dwukrotność aptekarskiej pensji. Nie zastanawiała się ani chwili, od razu wysłała dokumenty.

Do podróżnej torby zapakowała niewiele. W końcu to praca, a nie wypoczynek. Dobrze, że hotel zapewnia jej nocleg i jedzenie. Nie jest zatem narażona na koszty. Z czystym sumieniem może zostawić miesięczne pobory Tadeuszowi. Zaznaczyła na kalendarzu ściennym datę, kiedy ma zapłacić za wynajem mieszkania i uiścić wszelkie rachunki. Nie chciała brać ze sobą

pieniędzy. Nie daj Boże, trafiłby się złodziej! A tak, Tadeusz zapłaci i będzie po kłopotcie. Przygotowała mu w zamrażalniku ulubione potrawy. Mieszkanie wysprzątała idealnie, aby nie musiał sam tego robić. Wiedziała, że nie lubił sprzątać. Nie знаła jeszcze mężczyzny, który chwaliłby sobie tę prozaiczną czynność.

Wyszła na dworzec wcześniej rano. Tadeusz chrapał, kompletnie nie słysząc krążącej po mieszkaniu Zoi. Smutno jej było, że wychodzi niezauważona. Chwilę patrzyła na śpiącego mężczyznę. Odgarnęła mu za ucho zbyt długie włosy. Nie musiała tego robić, ale przez chwilę miała nadzieję, że czując dotyk, przebudzi się, spojrzy na nią, uśmiechnie, przytuli, pocałuje, że pożegnają się tak, jak by tego chciała. Tadeusz jednak nawet nie drgnął.

Autobus przyjechał na pobierowski dworzec punktualnie. Na planie miejscowości sprawdziła, gdzie znajduje się pensjonat, w którym miała zamieszkać. Rzeczywiście, było do niego kilka kroków. Szła, chłonąc zupełnie inny gwar od szczecińskiego. Tutaj mieszało się wszystko: gwara poznańska ze śląską, język polski z niemieckim... A te zapachy? Z jednej strony dolatywał aromat gofrów, z drugiej – smażonej ryby, zmieszany z golonką w piwie. Natychmiast poczuła się głodna. Tym bardziej że od rana nic nie zjadła.

Jest pensjonat! Rozpakuje się i zaraz podejdzie do hotelu. Może uda jej się załapać na posiłek.

## S



Zosia i Antoś spojrzeli po sobie i roześmieli się jednocześnie.

– Masz krem czekoladowy na nosie! – Dziewczynka wskazała palcem twarz chłopca.

– A ty truskawki na brodzie!

Spróbowała przejechać językiem, ale nie dosięgnęła. Przy stole znowu nastąpił wybuch radości. Matyldzie zrobiło się cieplej na sercu. Ile by dała, aby to jej wnuki siedziały przy śniadaniu i pałaszowały dopiero co usmażone naleśniki! Dobrze, że choć przez kilka dni może poczuć się jak babcia. Westchnęła i nałożyła dzieciom kolejną porcję.

– Antosiu, mam nadzieję, że twój dziadek nie będzie miał nic przeciwko jedzeniu tylu słodkości – powiedziała, nakładając smykowi dużą łyżkę kremu.

– Zjem, zanim zejdzie i zobaczy. – Roześmieli się wszyscy.

Matylda stanęła przy kuchence, nalewając kolejną porcję ciasta na patelnię. Gdy ucichło początkowe syczenie, doleciał ją szept chłopca. Pochylił głowę w stronę dziewczynki i dzielił się konspiracyjnymi wiadomościami:

– Zosiu, Ryszard nie jest moim dziadkiem. Ale mam o tym nikomu nie mówić.

Trzymana w ręku patelnia zachwiała się mocno. Matylda czekała na dalszy ciąg.

– A kim on jest? – spytała Zosia, z buzią pełną naleśnika.

– Normalnie, Ryszardem.

– To twój wujek? Czy chłopak mamy? – dziewczynka drążyła temat z ciekawością typową dla kobiet, mniejszych lub większych.

Antoś wzruszył ramionami.

– Po prostu Ryszard. Gdy mamy nie ma, to on się mną zajmuje. Tylko jak idziemy do przedszkola, każe mówić do siebie dziadku. I nie przyznawać się, że czasem śpimy w jednym łóżku. A tutaj robimy to cały czas. Bo...

Matylda struchlała. Syk kolejnego nalewanego ciasta nie pozwolił usłyszeć więcej. Ale i tak sporo się dowiedziała. Kogo ona przyjęła pod dach? Musi bardziej przyjrzeć się sympatycznemu na pierwszy rzut oka Ryszardowi. Z takim uczuciem opiekował się chłopcem, że nie miała podstaw podejrzewać, iż nie są spokrewnieni. Mało to dziadków i babć wyjeżdża nad morze z wnuczętami? I nikt nie sprawdza stopnia pokrewieństwa. Chyba powinna wprowadzić jakieś zasady kontrolowania turystów, bo może dojść do nieszczęścia.

Nalała ostatniego naleśnika i obiecała sobie w duchu, że będzie obserwować pana Ryszarda. O, właśnie wszedł do kuchni.

– Ale narobiła pani zapachów! – powiedział wesoło.

Z trudem odpowiedziała uśmiechem.

– Dziadku, idziemy na plażę? – Antoś odsunął od siebie talerz i wypiął brzuch. Głośno westchnął. – Ale za chwilę, bo objadłem się strasznie.

– To chodźmy do ogrodu! – rzuciła Zosia, zostawiając nieskończonego naleśnika. – Moja mama już tam jest. Na pewno siedzi na leżaku i pije poranną kawę. Zawsze tak robiła na urlopie. Tylko kiedyś chętnie piła ją z tatą...

Dziewczynka posmutniała, ale nie na długo. Antoś chwycił ją za rękę i oboje wybiegli z pensjonatu. Matylda odprowadziła ich wzrokiem. Rzeczywiście, zmierzali w stronę siedzącej na patio Iwony. Dzisiaj jeszcze nic nie zjadła, piła za to drugą kawę. Błada twarz, podkrążone oczy... Widać, że rano spędziła sporo czasu w toalecie. Matylda nie chciała jej naciskać, ale jednocześnie bardzo martwiła się o krewną. Była w stanie, kiedy powinna

bardziej o siebie dbać, a nie spędzać czas na obgryzaniu paznokci.

– To mama Zosi, prawda? – Ryszard stanął obok Matyldy. Aż wzdrygnęła się, słysząc jego głos.

– Tak – przyznała. – Zaraz zawołam ją na śniadanie.

Mężczyzna patrzył uważnie na Iwonę.

– Wydaje mi się, że lepiej zanieść jej tam gotowy posiłek – stwierdził. – Widać, że chce mieć przestrzeń.

– Przestrzeń? – powtórzyła Matylda.

– Tak, do rozmyślań. – Ryszard odwrócił się do stolika i nałożył na talerz dwa naleśniki. Obok postawił miseczkę z truskawkową konfiturą. – Zaniosę jej jedzenie. I tak miałem zaproponować, że wezmę dziewczynkę na plażę. Będzie doskonałą towarzyszką dla Antosia, a wczoraj mówiła, że jej mama źle się czuje na słońcu.

– Pójdę z wami! – Matylda energicznie wytarła ręce w kuchenny ręcznik i wyłączyła płytę.

Ryszard spojrział na nią zaskoczony.

– Ma pani czas? Wydawało mi się, że wczoraj wspominała pani o dniu wypełnionym obowiązkami.

– Zmieniłam zdanie. Ładna pogoda może się nie utrzymać, a ja też potrzebuję trochę słońca. Wezmę tylko torbę i możemy iść.

Poszła do swojego pokoju. Ryszard powiódł wzrokiem po bałaganie w kuchni. Zerknął do miski – było w niej jeszcze sporo naleśnikowego ciasta, które trzeba usmażyć. Hm, dziwnie zachowuje się ta właścicielka...

## S

Dorota dobiegła do metalowych schodów i się zatrzymała. Połowa drogi z Trzęsacza do Pobierowa. Naturalnie plażą. Ogromnie ją cieszyło to poranne bieganie. Niewielu turystów chodziło po nabrzeżu. Głównie byli to właściciele psów wyprowadzający swoich pupili lub pasjonaci ruchu, jak ona. Dopiero niedawno bieganie stało się tak popularne. Ona sama kiedyś nawet nie myślała o codziennym pokonywaniu kilku kilometrów. A teraz? Nie wyobrażała sobie bez tego dnia. Pewnie gdyby nie tamto zdarzenie, także nie ruszyłaby się z fotela i obrastała tłuszczem. I miała duże ciało, niezdolne do utrzymania ciąży... Tak powiedział jej ginekolog.

– Pani Doroto, to już nie te czasy, kiedy kobiety zachodziły w ciążę co roku, a potem rodziły dzieci i wracały w pole wykopywać ziemniaki! Organizmy są teraz słabsze, jedzenie jest inne, ludzka odporność również. Miała pani szczęście, że poroniła na początku trzeciego miesiąca. Organizm nie zdążył się przyzwyczać do odmiennego stanu. Za to do następnego zapłodnienia proszę odpowiednio się przygotować. Zadbać o siebie, zrzucić z piętnaście kilogramów, zdrowo się odżywiać...

Dorocie leciały łzy po policzkach, a lekarz opowiadał i opowiadał. Gdy wyszedł, powzięła postanowienie, że przez najbliższy rok przygotowuje się do roli matki najlepiej, jak potrafi. Przeszła na dietę, zdrowo jadła, wprowadziła ruch, kupiła odpowiednie suplementy. Piękniała w oczach! Jeszcze nigdy nie była tak szczupła, nie miała tak wyrzeźbionej talii i smukłych ud. Lubiała patrzeć na siebie w lustrze. Widziała spojrzenia mężczyzn oglądających się za nią na ulicy. Tylko na seks straciła ochotę. Nagle przerażała ją myśl, że zajdzie w ciążę i straci efekty wielomiesięcznej pracy. Nie daj Boże, gdy zajdzie w ciążę i znowu poroni! Dlatego na zbliżeniu z Piotrem pozwalała sobie bardzo rzadko, kontrolując dodatkowo namiętność. Mąż próbował rozmawiać na ten temat, ale go zbywała:

– Wiesz, co stało się rok temu. Jeszcze nie jestem gotowa.

Rezygnował zatem z dalszego drążenia tematu. Piotr zaproponował jej pomoc psychologa, ale go wyśmiała. Sama da sobie radę!

Dorota zerknęła na zegarek. Dochodzi dziewiąta. Zaraz na plażę zaczną schodzić tłumy. Musi biec dalej, aby nie natykać się co chwilę na leżące na piasku ciała. Polacy byli dziwni... Czerwcową wodą w Bałtyku była jeszcze okropnie zimna, ale wczasowicze rozkładali się tuż obok linii brzegowej, na najchłodniejszej części plaży. Drżeli jak galarety, kładąc się na ręcznikach, ale za nic nie opuściliby tego miejsca. Około południa będą wyglądać jak śledź przy śledziu. Spacerowicze mający ochotę zanurzyć nogi będą musieli schodzić głębiej.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła. W mokrym piasku buty zostawiały mocny ślad, zabierany po chwili przez fale. Ożywcza bryza dodawała sił. Może tak biec bez przerwy!

– Ścigamy się? – dobiegł ją z boku męski głos. – Całkiem niezłe ma pani tempo. To co, do najbliższego wejścia? Tego betonowego?

Spojrzała przelotnie na mężczyznę, który nagle pojawił się przy niej. Starszy od niej, po pięćdziesiątce, ale te rozwiane włosy... Dałaby głowę, że skądś go zna. Pomyśli o tym za chwilę.

– Do drewnianego. Betonowe jest za blisko. – Przyspieszyła, zostawiając mężczyznę nieco w tyle.

Z uznaniem popatrzył na oddalającą się sylwetkę. Biega zapewne od kilku miesięcy. Jeszcze nie przyzwyczała się rozkładać sił podczas joggingu. Wiedział, że za chwilę zacznie zwalniać

i tracić moc. Rzeczywiście, po dwóch minutach zrównał się z Dorotą, aby po chwili nieznacznie ją wyprzedzić. Resztką sił przyspieszyła i drewniane schody osiągnęli równocześnie. Pochylili się, sapiąc i łapiąc oddech.

– Dobra jesteś – mężczyzna automatycznie przeszedł na „ty”. Była zbyt zmęczona, aby protestować. – Jacek jestem.

– Dorota.

– Masz chwilę? Tu obok jest bar, jedyny w Pobierowie otwierany o siódmej. Serwują tam śniadania i fantastyczne świeżo wyciskane soki. Skusisz się na mieszankę kiwi, mango i ananasa?

To wtedy go rozpoznała. Jacek! Jacek Pszczoła! Jeden z najbardziej znanych sportowców końcówki ubiegłego wieku. Znała go z doniesień telewizyjnych. Charakterystyczne dłuższe, lekko kręcone włosy. Ostatnio jednak był bardziej medialną gwiazdą niż sportowcem. Właśnie! Dorota przypomniała sobie, że jest propagatorem czynnego letniego wypoczynku. Robi to pod okiem kamery i kilku tysięcy fanów. Jak w takim razie może odmówić?

– Z przyjemnością – powiedziała, prostując się.

Po chwili siedzieli na tarasie przed knajpką. Zaśmiewali się, popijając zielono-żółte napoje.

– Biegałaś kiedyś przy pełni księżyca? – spytał Jacek, przyglądając się Dorocie.

– Nigdy! We Wrocławiu prawie nie widać pełni.

– A masz ochotę?

Spojrzała z uśmiechem.

– Czy wtedy inaczej się biega?

– Nie ma tylu ludzi na plaży, nie nadepniesz na niczyje cielsko – roześmiał się. – I księżyc tak ślicznie odbija się w wodzie. Po prostu jest bajkowo. Niezwykłe romantycznie.

Spodobał jej się ten pomysł.

– Kiedy wypada pełnia?

– Dzisiejszej nocy... Masz jakieś ciekawsze plany na jej spędzenie? – mrugnął okiem. Zbyt świeża znajomość, aby flirtował na całego.

– Właściwie nie...

– To spotkajmy się przy tym głównym zejściu na plażę. O dwudziestej trzeciej. Wtedy jest już zupełnie ciemno. I nie obawiaj się, nie będziemy sami. Przy pełni będzie biegać więcej osób.

– Na pewno przyjdę – uśmiechnęła się.

Dopiła sok i się pożegnała. Wyszła z baru i truchcikiem ruszyła do pensjonatu.

Nie widziała Matyldy, stojącej od dłuższego czasu po drugiej stronie deptaku. Była odwrócona tyłem. Dorotę i Jacka oglądała w odbiciu w szybie. Byli doskonale widoczni. Zastanawiała się, skąd synowa zna sportowca. Nie podobało jej się to, co widziała. To nie ta sama Dorota. Tamta zapatrzona była wyłącznie w Piotra. Obecna... widzi także innych mężczyzn. Poprzedniej zależało na aprobachie męża, ta musi szukać potwierdzenia własnej atrakcyjności w oczach innych. I, co gorsza, znajduje ją. Widać to było w sposobie, w jaki patrzył na nią Jacek Pszczoła. Że też musiała trafić na tego lowelasa! Matylda jako sołtyska doskonale знаła wszystkich ważniejszych gości odwiedzających Pobierowo. Ten sportowiec przyjeżdżał tu regularnie od trzech lat. Żył obecnie z prowadzenia imprez fitnessowych. Ile ona nasłuchiwała się o podbojach miłosnych tego podstarzałego, aczkolwiek nadal niezwykle

atrakcyjnego faceta! Skóra cierpnie! Musi jak najszybciej porozmawiać z Dorotą.

Tylko nie wie jeszcze kiedy. Teraz musi poobserwować Ryszarda. Natomiast wieczorem... ma tajemny zlot...

**S**

– Jest pan pewien, że mówimy o mężczyźnie ze zdjęcia? – Monika spojrzała na siedzącego przed nią emerytowanego policjanta. Jeszcze raz wskazała palcem podobiznę Roberta.

– Jestem pewien. Pracuje jako magazynier w hurtowni.

– To niemożliwe!

Mężczyzna wzruszył ramionami. Od kilku lat prowadził agencję detektywistyczną i wielokrotnie oglądał rozczarowane wiadomościami kobiety. Zazwyczaj miał do przekazania nieciekawe informacje. Jakieś zdrady, podwójne życie, uzależnienie od hazardu czy narkotyków. W przypadku osoby ze zdjęcia było jednak inaczej. Nie znalazł niczego niewłaściwego. Mieszka w kawalerce, codziennie dojeżdża do hurtowni i tam przez osiem godzin wydaje towar, ładuje kartony, przyjmuje zlecenia, wysyła dostawców i drukuje faktury. Od czasu do czasu wychodzi jednak z komórką na rampę i próbuje gdzieś dzwonić. Detektyw, nie dostrzegając przez lornetkę ruchu warg, domyślał się, że osoba po drugiej stronie linii nie odbierała telefonu. Mężczyzna jednak był nieustępliwy i regularnie podejmował próby.

– Nic więcej pan dla mnie nie ma? Żadnej innej kobiety, dziecka? – drążyła Monika.

– Nie. Aż dziwne, że taki mężczyzna mieszka sam.

– Proszę mnie informować, gdyby dowiedział się pan czegoś nowego.

Pożegnała się i wyszła. Detektyw przez chwilę siedział w milczeniu i analizował klientkę. Opuszczała biuro z rozczarowaną miną. Powinna przecież się cieszyć, że w życiu jej męża – tak przedstawiła Roberta podczas pierwszego spotkania – nie ma innej kobiety. A przynajmniej jeszcze jej nie widać... Na razie żyje wyłącznie pracą.

## S

– Mamo, kupisz mi drożdżówkę? – Brunon spojrział wyczekująco.

– Z jagodami?

– Tak.

Po chwili opuszczali sklep. Chłopak od razu nadgryzł ciepłe jeszcze ciasto. Uwielbiał poranne wyprawy z matką po zakupy. Miał ją wtedy tylko dla siebie. Śmiali się, trzymali za ręce, wyszukiwali dziecięcia stukającego w drzewo. Nie zwracali uwagi na miny mijających ich ludzi. Lekko zaskoczone, niektóre wystraszone zbyt głośnym odezwaniem się chłopaka. Dla niego takie zachowanie było normalne. Innych szokowało, że prawie dorosły Brunon zachowuje się jak kilkulatek.

– Mamo, idzie ta pani, której nie lubisz.

– Widzę. – Anna Kosmala przyspieszyła kroku. Chciała jak najszybciej przejść na drugą stronę ulicy, zanim zrówna się z nimi Jagusiakowa.

Nie знаła osoby, która by nie miała nieprzyjemnej styczności z tą kobietą. Ona sama wielokrotnie doświadczyła złości z jej strony. I za co? Za to, że Brunon zbyt głośno odezwał się w kościele? Że zapytał, dlaczego pani Janina krzyczy na innych i nie chce z nim rozmawiać? Jagusiakowa na wszystko miała swoje wytłumaczenie.

– Dzieci poczęte po pijaku są chore! – wrzasnęła kiedyś do Anny Kosmali, dodając, że nie życzy sobie nagabywania przez głupiego chłopaka. Tak właśnie określała Brunona: głupi chłopak. Nawet ksiądz próbował wpłynąć na starszą kobietę, ale ona wiedziała swoje.

– Tak kończy się pijacza chuć! – krzyczała i wskazywała na Brunona.

Anna Kosmala nie chciała żadnej styczności z Jagusiakową. Obawiała się nawet mijać z nią na chodniku. Nikt nigdy nie mógł być pewny, co tej kobiecie strzeli do głowy. Wyglądała tak przyzwoicie. Na pozór zwyczajna starsza, nobliwa dama. W momentach furii – a te następowały dość szybko i nieoczekiwanie – stawała się wcieleniem diabła.

Jagusiakowa minęła ich bez słowa. Wzrok miała utkwiony w odległych drzewach, usta zaciśnięte w wąską kreskę. Ewidentny znak, że w jej głowie myśl goniła myśl.

Pani Janina wracała z kościoła. Kilka minut przed mszą poszła do zakrystii.

– Niech będzie pochwalony... – rzuciła standardowo, dokładnie lustrując wnętrze.

– Kto? Jezus Chrystus? – spytał ksiądz.

Nie zrozumiała żartu. Ostre spojrzenie spoczęło na wielebnym.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja wiecznie Dziewica! – rzuciła twardo. – Ja do księdza z problemem przychodzę!

„Jak zawsze” – dodał proboszcz w duchu.

– Co się stało?

– Monitoring potrzebny na cmentarzu! Jakiś wandal dewastuje nagrobek mojego męża! I robi to z premedytacją! – Jagusiakowej na chwilę zabrakło tchu z emocji. Po minie księdza widziała jednak, że skoro Pan Bóg nierychliwy, to i wielebny także idzie w jego ślady. Nie wykazał zainteresowania!

– Ale co się konkretnie stało? – zapytał proboszcz, wertując Pismo Święte.

– No, przecież mówię! Nagrobek męża jest strasznie uszkodzony! A ksiądz na to pozwala! – pani Janina uderzyła w swój specjalny, oskarżycielski ton.

– Po mszy pójde zobaczyć – westchnął ksiądz Zygmunt. – Jest pani pewna, że to człowiek? Może jakieś zwierzę zakrada się nocą na cmentarz. Wielokrotnie mieliśmy takie przypadki.

– Nie interesuje mnie, kto czy co! Cmentarz jest katolicki, proboszcz za niego odpowiada – ucięła dyskusję Jagusiakowa. – A teraz proszę zaczynać mszę, bo już jest ksiądz spóźniony. Nie wolno lekceważyć wiernych.

Zostawiła osłupiałego wielebnego i wyszła zająć swoje miejsce. Rozejrzała się po kościele. Garstka ludzi, zazwyczaj jest tak na porannej mszy. Dwie mieszkanki Pobierowa, kilku przyjezdnych emerytów i... No, nie. On! Znowu! Jak ją ten człowiek irytował! Wiedziała, że trudno będzie skupić się na modlitwie.

Rzeczywiście, Janina Jagusiakowa nie mogła się opanować i co chwilę zerkała w stronę sąsiedniej ławki. Im częściej tam patrzyła, tym większa ogarniała ją irytacja. Co ten mężczyzna sobie wyobraża! Że kim on jest, drugim po Bogu?

Jan Widacki, pułkownik w stanie spoczynku, zwrócił jej uwagę pół roku temu. Akurat zamieszkał w Pobierowie. Sam, owdowiały i bezdzietny. Mimo siedemdziesięciu pięciu wiosen na karku, trzymał się prosto, z głową uniesioną wysoko. W każdą niedzielę przychodził na mszę. W ciągu tygodnia również bywał, aczkolwiek nieregularnie. Podczas swojej pierwszej mszy w pobierowskim kościele usiadł niedaleko Jagusiakowej. Ile ona się wtedy namęczyła, aby dotrzeć do końca! Ten mężczyzna denerwował ją od samego początku. Ludzie klęczą, on stoi. Siedzą – on klęczy. Ksiądz prosi, aby wstać – tamten siada. Nienormalny jakiś!

Jagusiakowa podeszła do niego po mszy i nie zważając na otaczających ich ludzi, powiedziała:

– Jak ktoś nie umie zachować się w kościele, nie powinien do niego przychodzić!

Widacki spojrział na nią z góry. Lekko skuliła się w sobie, bo nagle wydał jej się taki ogromny.

– Jak ktoś ogląda innych, zamiast skupić się na rozmowie z Bogiem, nie powinien mieć wstępu do świątyni! – huknął. Kilka osób się zaśmiało. – Na festyn niech pani biegnie. Tam można ludzi oglądać do woli.

Janina Jagusiak nie wiedziała, co odpowiedzieć. Fuknęła groźnie na wojskowego, odwróciła się i prawie przebiegła przez tłumek podśmiewających się parafian. Wydarzenie to zajęło lokalną społeczność na pół tygodnia.

Jan Widacki rzeczywiście w specyficzny sposób zachowywał się w kościele. Na pytanie księdza Zygmunta, dlaczego robi wszystko na odwrót, odparł:

– Z całym szacunkiem... Wierzę w Boga i to jemu jestem winny posłuszeństwo. Żaden ksiądz nie może mi rozkazywać.

Uklonił się i odszedł. Proboszcz nie drążył więcej tematu. Jagusiakowa za to... No cóż, czuła strach przed Widackim. Do respektu nigdy by się nie przyznała. Dzisiejszą poranną mszę także ledwo wytrzymała. Ten człowiek znowu robił wszystko na odwrót. Rozpraszał ją. A ona tak potrzebowała skupienia. Ma w końcu o czym rozmyślać. Skoro ksiądz nie chce zadbać o swój cmentarz, musi to zrobić ona, Jagusiakowa.

Szła chodnikiem, nikogo nie widząc, z głową pełną myśli. Ułożyły się w pewne rozwiązanie...



Zosia stanęła przed Matyldą.

– Ciociu, mogę pożyczyć twoją komórkę?

Zbliżało się południe. Jeszcze trochę i będą zbierać się do domu.

– Chcesz zadzwonić do mamy? – spytała Matylda.

– Tak – dziwnie szybko potwierdziła dziewczynka.

Ciotka chwilę się rozglądała. Pan Ryszard z Antosiem kończyli fosę przy stawianym od rana zamku z piasku. Teren obok nich powoli pustoszał. Ludzie schodzili z rozgrzanej plaży na obiad.

– Zosiu, podejdź tylko na górę zejścia. Będę cię doskonale widziała. Tutaj nie ma zasięgu. Nawet jeżeli jest, to nikły i połączenie może zostać przerwane. Kilka metrów dalej jest znacznie lepiej.

Podawała dziewczynce aparat i wyjaśniła, jak odnaleźć numer mamy. Gdy na nowo skupiła uwagę na Ryszardzie i jego niby-wnuczku, Zosia błyskawicznie sięgnęła do kieszeni swojego plecaka. Wyciągnęła coś z niego, szybko schowała w rączce i poszła w stronę zejścia.

Matylda przyglądała się, zamyślona. Spędziła na plaży kilka godzin i nie potwierdziły się jej poranne przypuszczenia. Antoś cały czas mówił do towarzyszącego mu mężczyzny „dziadku” i nie okazywał najmniejszego strachu. Sama nie wiedziała, czy nie popadła w jakąś paranoję. Tyle słyszy się w telewizji o przypadkach pedofilii. Chłopiec nie wyglądał jednak na skrzywdzonego. A może jego i oprawcę łączy jakaś więź? Oprawcę! Aż wzdrygnęła się, wypowiadając w myślach te słowo.

– Będziemy się zbierać do pensjonatu – powiedział pan Ryszard, patrząc na lekko zaczerwienione ramiona Antosia. – Weźmiemy prysznic, a potem pójdziemy na obiad do stołówki.

– Mam nadzieję, że nie ma pan za złe tej niedogodności – powiedziała Matylda. – Śniadania jeszcze mogę serwować, ale gotowanie dla większej liczby osób mi nie wychodzi.

– Jak mógłbym mieć za złe? – Spojrzał na nią zaskoczony. – Jestem i tak ogromnie wdzięczny za te śniadania! I za pomoc w opiece nad Antosiem. Mieliśmy dziś na plaży wspaniałe towarzystwo.

Uśmiechnęła się, mile połechtana. Wszelkie złe myśli nagle się rozwiały. Jest przewrażliwiona, ogląda za dużo wiadomości, a potem rodzą się jej w głowie podejrzenia.

Matylda podniosła koc i go strzepnęła. Pozbierała zabawki do piasku, które dzieci wzięły ze sobą. Rozejrzała się za Zosią. Stała na górze betonowego deptaku i mówiła coś do telefonu. Wszystko w najlepszym porządku.

Tak przynajmniej było do chwili, gdy zobaczyła łzy w oczach Antosia i słowa, których nie powinna usłyszeć.

– Ryszard, znowu boli mnie siusiak...

## S

Tadeusz Kaczorowski zbudził się. Nie bardzo wiedział, która może być godzina. Zapewne przed jedenastą, bo Zoja jeszcze nie dzwoniła. O tej porze zawsze go budziła. Przeciągnął się na łóżku. Mlasnął językiem. W ustach miał kwaśny, niedobry posmak. Za dużo było piwa wczorajszego wieczoru. Ale przyjaciel tylko raz do roku ma urodziny. Z trudem przypomniał sobie, jak wrócił do domu.

Natura kazała mu jak najszybciej udać się w kierunku toalety. Pięć minut później, wychodząc z niej, zerknął na zegarek. 14:27! Czy Zoja zwariowała? Powinna go obudzić!

Chwycił za telefon i wystukał numer. Po dziesiątym sygnale zrezygnował. Zawsze odbierała od razu, mimo klientów w aptecze. Pewnie oddzwoni po chwili.

Pięć minut później chodził już wkurzony po pokoju. Co ona sobie myśli? Ile ma czekać? Przecież musi wiedzieć, co ma zjeść na obiad. A zresztą ma ją gdzieś! Jest głodny!

Tadeusz ruszył do kuchni. Na lodówce znalazł przyklejoną kartkę: „Kochanie, w pojemniku na kawę schowałam pieniądze. Opłać, proszę, czynsz 30 czerwca, a na początku lipca rachunki za prąd i telefon. Wracam w połowie lipca. Reszta pieniędzy jest na Twoje niezbędne wydatki. W zamrażalniku masz pierogi, bigos, i pieczeń. Wszystko poporcjowane. Odgrzewaj sobie to, na co masz ochotę. Kocham Cię! Zoja”.

Zgniół kartkę ze złością. Jak mogła go tak zostawić i wyjechać do Pobierowa? Rzeczywiście, przed kilkoma dniami wspominała, że podejmuje tam pracę. Mówiła coś o podreperowaniu budżetu. Przytakiwał wtedy ze zrozumieniem, choć jego myśli krążyły wokół czegoś innego. Jaka ta Zoja przyziemna. Gonitwa za pieniędzmi, oszczędzanie na czarną godzinę, praca, obowiązki... A gdzie przyjemności? Przecież życie jest jedno. Do tego bardzo krótkie. Trzeba łapać dobre chwile i się nimi cieszyć!

Poszedł do łazienki i opłukał twarz. Zerknął w lustro. Nie musi się jeszcze golić. A nawet gdyby musiał, to mu się nie chce.

Z pojemnika na kawę wyciągnął kilka banknotów. Skoro Zoja wypoczywa sobie nad morzem, to on ma prawo na relaks w mieście!

## S

Aldona podeszła do Piotra ze szklanką zimnego napoju. Od rana ścinał trawę, podlewał i naprawiał drobne usterki, które były za błahe na wezwanie fachowca, a zbyt trudne, żeby samodzielnie wykonała je kobieta. Aldona podziwiała, z jaką ochotą mężczyzna pomaga matce. Pot lał mu się po plecach, ale nie przestał ani na chwilę.

– Proszę – podała mu szklankę. Opróżnił ją duszkiem. – Przynieść ci jeszcze?

Zaprzeczył, choć rzeczywiście miał ochotę na kolejną porcję.

– Daj spokój! Przecież wiem, o co ci chodzi. Nie wykorzystujesz kaleki, naprawdę. – Mrugnęła do niego i poszła do kuchni, aby po chwili wrócić z napojem. Tym razem pił znacznie wolniej. Rozglądał się po ogrodzie, oceniając efekty swojej pracy. Pokiwał głową z zadowoleniem.

– Powinieneś rozłożyć te zajęcia na kilka dni – stwierdziła. – Jutro będziesz miał bąble na dłoniach.

– Pewnie tak. Ale takie bąble nie są niczym wstydliwym.

– Nie masz ochoty iść na plażę?

– Dzisiaj na pewno nie. Może jutro się wybiorę. Jak chcesz, to do mnie dołącz, jeżeli chodzenie po piasku nie sprawi ci problemu – zaproponował.

– Na pewno wybierze się z tobą żona. To wasz urlop, spędzajcie go razem. – Aldona spojrzała na Piotra. – Dobrze czuję się tutaj, w ogrodzie. Twoja mama pięknie go zagospodarowała.

– To właściwie dzieło Doroty – przyznał. – Jest architektem zieleni. Utalentowanym w dodatku.

– A ty utalentowanym fotografem – dodała. – Musicie tworzyć niesamowitą parę.

Zapadła cisza. Piotr rozmyślał nad słowami Aldony. Rzeczywiście, rok temu przyznałby jej rację. Ich małżeństwo było wtedy wyjątkowo udane. Jednak teraz... Każde szło jakby własną drogą, miało osobne zainteresowania i świat, do którego to drugie nie miało dostępu. Co się z nimi stało w ciągu kilku miesięcy? Skąd nagle takie rozbieżności?

Wiedział skąd. On chciał dziecka. Dorota po poronieniu myśl o seksie odsuwała jak najdalej. Ciągłe twierdziła, że musi się przygotować. Odpowiednia dieta, tabletki, ciało także musiało być doskonałe. I przez to jej dążenie do ideału miało wrażenie, że obok siebie ma obcą osobę. Nie znał takiej Doroty.

– Wiesz, że dzisiaj pełnia? – usłyszał Aldonę. – Chyba wybiorę się na księżycowy spacer. Nie widziałam jeszcze pełni nad Bałtykiem.

– Dawniej ludzie się jej bali – przypomniał sobie Piotr.

– Dziwne, prawda? Jak łatwo było karmić lud zabobonami – zaśmiała się. – A przecież to nic strasznego. Wręcz przeciwnie. Księżyc był zawsze symbolem macierzyńskiego łona. Wiesz, że cykl menstruacyjny i cykl Księżycy trwają tyle samo?

– Serio? – zaśmiał się, a na twarz wyszedł mu lekki rumieniec. – Interesujesz się tym tematem?

– Nawet nie wiesz jak bardzo – przyznała cicho. Po chwili milczenia kontynuowała: – Lekarz twierdzi, że jeżeli teraz nie znajdę w ciąży, potem nie będę mogła mieć dzieci. Nie wiadomo, czy rak nie uderzy znowu i nie będę musiała przejść kolejnych wyniszczających operacji.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Piotr. – Co w takim razie robisz sama w Pobierowie?

Dlaczego nie ma twojego męża?

Wzruszyła ramionami.

– Bo go nie mam. Ani faceta, ani partnera, ani chłopaka. Ale chcę dziecko. Będzie po mnie jakaś pamiątka na tym świecie.

Nie musiał pytać, jak zamierza zrealizować ten plan. Tak piękna kobieta nie powinna mieć problemu ze znalezieniem partnera do łóżka. Nawet z protezą zamiast nogi. Determinacja widoczna na jej twarzy upewniła go, że dobrze rozumuje.

– Wiesz, że podczas pełni zajście w ciążę jest prawie stuprocentowe? – szepnęła, nie patrząc na Piotra. – I najwięcej porodów ma miejsce w tym czasie.

Druga informacja była mało istotna. Pierwszą jednak Piotr szybko zakodował.

– Idę pod prysznic – powiedział, wstając z miejsca. – Koniec pracy na dzisiaj.

**S**

Zoja przysiadła na chwilę. Popołudnie było wyjątkowo ciężkie. Hotel Morski był nowiutki, ale obłożenie miał stuprocentowe. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, aby znaleźć się na deptaku prowadzącym wprost na plażę. Obiekt nie należał do najtańszych, dlatego gościł głównie pary. Rodziny z dziećmi można było policzyć na palcach.

Była wykończona. Pracowała tu zaledwie od dwóch dni, a już miała dosyć. Hotel miał specyficznych gości, tak zwanych nowobogackich. Ludzi w okolicy trzydziestki, pracujących całe dni i zarabiających całkiem niezłe pieniądze. Opłacających urlop w miejscu z wszelkimi wygodami, żeby nie musieć czegokolwiek robić. Zoja patrzyła na nich z obawą, a jednocześnie zazdrościła im pewności siebie. Mają pieniądze, mogą zatem wszystko! Ona nie miała ich nigdy. W klasyfikacji nowobogackich była więc nikim. Przemykała praktycznie niezauważona przez hotelowe korytarze. Z pokoi do pralni. Z pralni do kuchni. Z kuchni na salę jadalną. I znowu do pokoi. Nie miała jednej, określonej roli. Była od wszystkiego. Jak to określiła właścicielka hotelu? „Pomoc ogólna”. Ma stawiać się tam, gdzie akurat jej potrzebują. Po dwóch dniach pracy czuła się wykończona psychicznie. Gdyby nie fakt, że bardzo potrzebowała pieniędzy, zrezygnowałaby z tego zajęcia od razu.

Samo Pobierowo ogromnie podobało się Zoi. Tak dawno nie wyjeżdżała poza Szczecin, że chłonęła teraz atmosferę nadmorskiego kurortu. Jak tu pięknie pachniało! Szczególnie wieczorami. Zoja siadała na patio przy pensjonacie, wyciągała obolałe nogi i oddychała głęboko. Była zakwaterowana w fantastycznym miejscu. Odpowiadała jej właścicielka, gości także miała niekłopotliwych. Tylko ten mężczyzna z małym chłopcem... Miała wrażenie, że gdzieś go już widziała.

Jeszcze godzina i będzie wolna. Korci ją, aby zerknąć na telefon, ale był zamknięty wraz z torebką w pomieszczeniu gospodarczym. Pracodawczyni kategorycznie zabroniła używać mobilnych urządzeń. Miała rację, rozpraszają. Ale Zoja tak bardzo chciała podtrzymać tradycję budzenia Tadeusza, że około jedenastej nerwowo szukała komórki. Po chwili dotarło do niej, że jest w innym miejscu. Była pewna, że Tadeusz to zrozumie. Zadzwoń do niego, jak tylko opuści hotel. Jeszcze niecała godzina. Nie będzie co chwilę zerkać na zegar w sali jadalnej, w której właśnie przygotowywała stoły do wieczornego posiłku. Spróbuj skupić się na układaniu sztuców, bo inaczej będzie to najdłuższa godzina w jej życiu.

## S

Tę pełnię wiele osób zapamiętało na długo...

Księżyc świecił wyjątkowo intensywnie, jakby światłem chciał obdzielić wszystkich, zarówno mieszkańców, jak i turystów. Był już wysoko nad drzewami, kiedy Matylda wyszła z domu. Wieczorem upewniła się, czy trzy pozostałe panie stawia się w umówionym miejscu. Obiecały przyjść, tak jak zawsze. Obejrzała się, czy zgasiła światło w kuchni. Okno było ciemne. Otwierała furtkę, kiedy usłyszała delikatne kroki. Zza jabłonki wyszła Zoja, ubrana w polarową bluzę.

– Pani Matyldo, wybiera się pani na spacer przy księżycu?

– Taaak, mam ochotę się przejść – odparła zakłopotana sołtyska. Nie lubiła kłamać, ale nie zamierzała też przyznać się, dokąd idzie. Miała nadzieję, że ta odpowiedź zadowoli jej lokatorkę.

– Mogę dołączyć? Cały dzień spędziłam w hotelu. Wieczorem strasznie bolały mnie nogi, nie wybrałam się nawet na spacer po plaży. Ale skoro pani wychodzi, to chętnie przeszłabym się teraz.

– Daleko idę – powiedziała Matylda z nadzieją, że to zniechęci jej towarzyszkę.

– Najwyżej zawrócę, gdybym nie dała rady.

Wyszły razem, choć właścicielka pensjonatu nie była zadowolona. Przyspieszyła kroku, aby Zoja jak najszybciej straciła siły. Na pewno zaraz zawróci, następnego dnia idzie przecież do pracy.

Minęły rozświetlony światłami Hotel Morski. Na tarasach siedzieli turyści delektujący się nocnym powietrzem i bryzą znad Bałtyku. Skręciły w Grunwaldzką, ale poszły w stronę przeciwną do centrum.

– Jak podoba się pani praca? – Matylda zagaiła rozmowę, aby przerwać milczenie.

– Wyczerpująca, ale dostanę za nią niezłe wynagrodzenie.

– Nie żal urlopu?

– Troszeczkę... Szczególnie, gdy patrzę na tych wszystkich gości hotelowych. Normalnie spędzałabym czas na działce. W tym roku jednak musiałam zmienić plany. – Zoja odwróciła głowę. Miała też nadzieję, że idąca obok kobieta nie usłyszy drżenia w jej głosie.

Sołtyska usłyszała... Nie dała jednak nic po sobie poznać. Wiedziała doskonale, jak to jest, gdy chce się ukryć prawdę przed światem. Była pewna, że i Zoja chce coś zachować wyłącznie dla siebie. To wtedy podjęła decyzję, że weźmie ją na tajemne spotkanie.

– Tu skręcamy – zakomenderowała, dając nura w niewidoczną na pierwszy rzut oka ścieżkę. Zoja zadrzała, ale posłusznie poszła. Dobrze, że świecił księżyc. Mogła rozdzielać gałęzie krzaków zarastających drogę. Po chwili stanęły na niewielkiej polanie, przed ruiną starej willi.

– Jak tu pięknie – szepnęła, rozglądając się wokół. – Chociaż bez poświaty wyglądałoby strasznie!

– Bywała tu Eva Braun – powiedziała Matylda. – W tym właśnie domu.

– Ukochana Hitlera? – zdumiała się Zoja. Całkiem niedawno czytała biografię tej kobiety.

– Ukochana? A nie kochanka?

Zoja zamyśliła się przez chwilę.

– Kochanka to osoba wyłącznie do łóżka, która nie obdarza partnera uczuciem. Eva Braun naprawdę kochała Adolfa.

Stały przed budynkiem, który lata świetności miał już dawno za sobą. To przez te drzwi wchodziła jedna z najsłynniejszych postaci świata. Wyglądała przez te okna, spacerowała wśród tych drzew, które wtedy musiały być młodziutki. I patrzyła w tę samą dal, w którą kierowały się oczy obu kobiet.

– Matyllda! – Aż wzdrygnęły się, słysząc donośny szept. – Chodź już, jesteśmy w środku!

– Kto tam jest? – spytała wystraszona Zoja.

– Moje przyjaciółki.

Weszły przez skrzypiące drzwi. Mrok spowijał całe pomieszczenie.

– Zapalmy świeczkę – zakomenderowała Matyllda.

– A jeśli ktoś nas zobaczy? – rozległ się szept.

– Nikt nie zapuszcza się tu po nocy – odparła sołtyska. – Szczególnie po tym, jak rozpowszechniliśmy plotkę o pojawiającym się duchu Evy.

Pojawił się płomień i wtedy ujrzała ogromne ze zdumienia oczy Zoi.

– Chętnych do oglądania willi za dnia jest naprawdę sporo. Byli jednak i amatorzy nocnych wędrówek. Ten domek szczególnie upodobały sobie zakochane pary i organizowały tu schadzki. Potem wszędzie walały się śmieci i prezerwatywy. Gdy założyłyśmy nasz tajemny klub, rozpuściłyśmy wiadomość, że miejsce jest nawiedzone. Dwóch czy trzech turystów wybrało się nawet, aby to sprawdzić.

– I co? – Zoja była zaciekawiona.

– Opowiadałyśmy, że duch pojawia się wyłącznie wtedy, kiedy jest pełnia. No więc turyści widzieli ducha.

– To znaczy którąś z nas – dodała krótko obcięta blondynka, przyjaciółka Matylldy. – Nasze stowarzyszenie spotyka się wyłącznie podczas pełni.

– Jakie stowarzyszenie?

– Stowarzyszenie Ew – wyjaśniła rudowłosa, wychodząc z cienia. – Eva Braun wiecznie czekała na swojego Adolfa. Zawsze była w jego cieniu, nic nie znaczyła dla przyjaciół Hitlera. Rzadko wypowiadali jej nazwisko! Mówili o niej EB. Uważali, że jest jedynie zabawką przywódcy, chwilową rozrywką i kochanką. A była kobietą, która miała swoje pasje, kochała i chciała być kochana.

– W związku nie można zapomnieć o sobie – kontynuowała Matyllda. – Kobieta jest matką, żoną, ma znać się na sztuce miłosnej... I w tym wszystkim zatracza samą siebie.

– Eva Braun miała wiele pasji – dodała blondynka. – Tańczyła, ćwiczyła gimnastykę, pisała wiersze, miała swoje zdanie na tematy polityczne. Ludzie, a dokładniej mężczyźni, przypięli jej jednak łatkę pięknego i głupiutkiego dodatku do Hitlera.

– Na cześć Evy założyłyśmy nasze stowarzyszenie. – Matyllda popatrzyła na Zoję. – Gdy jest pełnia, spotykamy się w tej willi.

– I robimy coś, co zawsze chciałyśmy zrobić, ale brakowało nam odwagi, by przełamać konwenanse – dodała rudowłosa. – Poprzednim razem urządziłyśmy nocną sesję zdjęciową w samej bieliźnie. Byłyśmy tylko my i aparat. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybyśmy zrobiły to za dnia?

Roześmiały się wszystkie.

– Co zaplanowałyście na dzisiaj? – spytała Zoja. – Podoba mi się wasze stowarzyszenie, choć trafiłam do niego przypadkiem, jako namolna towarzysząca pani Matylldy.

- Jesteś pewna, że chcesz do nas dołączyć? – dopytywała blondynka.
- Zoja potwierdziła.
- Rozdzielam zatem ręczniki – rudowłosa wyciągnęła białe zwoje z torby, która leżała pod ścianą. – Gaście świeczkę! Idziemy! Będziemy się kąpać.
- Ale ja nie mam stroju! – zaprotestowała świeżo przyjęta członkini.
- Pozostałe kobiety się roześmiały.
- My także nie. Dzisiejszej nocy kąpiemy się nago!

## S



Marek Trznadel z zainteresowaniem oglądał pochód czterech kobiet opuszczających willę Evy Braun. Na przedzie szła sołtyska. Jak ta kobieta działała mu na nerwy! Od czasu owej upokarzającej go oferty omijał jej pensjonat, ba, całą ulicę, szerokim łukiem. Nie chciał ryzykować spotkania z kimś takim. Ciągłe pamiętał, jaką propozycję mu rzuciła – on, Marek Trznadel, miałby ludziom podawać papier toaletowy i myć brudne ubikacje?! Na samo wspomnienie pierwszej rozmowy z panią Matyldą, zatrząsł się ze złości.

Ciekawe, co tu robiła, w środku nocy, w takim miejscu, z innymi kobietami. Chyba nadarza się okazja rewanzu.

Wyciągnął z kieszeni telefon, ustawił opcję fotograficzną, wyłączając lampę błyskową i nim kobiety opuściły teren willi, pstryknął im dwa zdjęcia. Dobrze, że jest pełnia i wszystko doskonale widać. Odczekał chwilę i poszedł w kierunku, w którym się udały. Szły szybko, nie mógł nadążyć. Tak przyzwyczyił się do symulowania utykania, że robił to nawet teraz, gdy nikt nie widział. Zaśmiał się z siebie. Przybrał wyprostowaną pozę i ruszył żwawiej.

Ile to już lat symuluje chorobę? Odkąd zamieszkał w tej okolicy. Nie w Pobierowie, ale w wiosce oddalonej o dziesięć kilometrów. Jej mieszkańcy żyli z tego, co spłynęło z zasobniejszego sąsiedztwa. Wielu z nich miało pokoje do wynajęcia, ale ludzie, którzy decydowali się na gościnę, byli mniej zamożnymi turystami. W zasadzie takimi z ograniczonymi funduszami. Rodziny wielodzietne, biedni emeryci, małżeństwa na dorobku. W takim Pobierowie życie tętniło. Dziesięć kilometrów dalej była miejscowość kategorii B. Tak to sobie wszystko Trznadel tłumaczył. Jego nie było stać na zakupienie domu w kurorcie. Ten, w którym mieszkał, dostał w spadku po rodzinie. Wymagał ciągłych nakładów finansowych. Sporo pieniędzy pochłaniało liczne potomstwo. A podobno każde dziecko rodzi się z bochenkiem chleba pod pachą... Ta, chyba w bajkach! Bo w rzeczywistości jeden bochenek nie starcza nawet na kolację...

Próbował pracować, ale kiedy na świat przyszło czwarte dziecko, wypłata rozchodziła się w ciągu kilku dni. Wraz z żoną pożyczali pieniądze od rodziny, potem od sąsiadów, wreszcie wzięli kilka krótkoterminowych pożyczek... Nie było regularnych spłat, długi rosły z miesiąca na miesiąc. Marek Trznadel nie wiedział, jak z tego wybrnąć. I coraz bardziej złościł się na tych, którzy nie mieli problemów finansowych. Aż wreszcie stało się to szczęście w nieszczęściu. Złamał nogę, spadając z rusztowania na budowie. Kilka tygodni poleżał w szpitalu, gdyż złamanie okazało się dość skomplikowane. Opuścił go z planem w głowie. Będzie udawał kalekę! Będzie wędrował przez nadmorskie miejscowości. Ludzie, litując się nad nim, chętnie sypną kasą.

Początki były trudne. Musiał nauczyć się udawać chromego, ale z dnia na dzień nabierał coraz większej wprawy. Wyuczył się na pamięć tekstu o kalekim ojcu i biednych dzieciach czekających na chleb. Prawie każdy się nabierał.

Poza Matyldą. Przecież mogła mu pomóc! I tak jeździ po wsi, odwiedza mieszkańców, przyjmuje petentów. Mogłaby zbierać na niego datki. Jako sołtyska, byłaby jeszcze bardziej wiarygodna. Ale ona wolała go upokorzyć. A nikt nie ma prawa bezkarnie obrażać Marka Trznadla!

Zszedł za kobietami na plażę, ale nie doszedł do linii brzegowej. Pozostał w cieniu wydmy. Księżyc świecił bardzo jasno. Cztery kobiety, w tym pani Matylda, rozebrały się do naga i weszły do wody. Śmiały się i chlapały, jakby nocna kąpiel przynosiła im wiele radości.

Marek Trznadel wyciągnął komórkę i zrobił kilka kolejnych zdjęć. Jak wszystko dobrze pójdzie, będzie miał regularny dochód. Tylko jeszcze na chwilę musi wrócić do domku Ewy Braun...

**S**

Iwona z tarasu wpatrywała się w cudnie świecący księżyc. Przykryła nogi kocem, zimno ciągnęło od ziemi. Nie padało od wielu dni. Piotr wieczorem podlał trawę, więc w powietrzu unosił się przyjemny zapach wilgoci.

Oparła głowę na leżaku. Tak wiele myśli kłębiło jej się w głowie, że nie wiedziała, której przyznać pierwszeństwo. Gdzie zrobiła błąd? Kochała za mocno czy ufała za bardzo? I dlaczego w tym wszystkim ma wiele żalu do samej siebie? Przecież to nie ona zawiniła.

Boże, jak tęskniła za Robertem! Nie rozmawiała z nim od czasu jego wyprowadzki. Nie odbierała telefonów, nie dopuszczała do kontaktu Zosi z ojcem. Krzywdziła w ten sposób głównie samą siebie, widząc, jak córeczka cierpi i podrywa się za każdym razem, gdy odzywała się komórka. Pamiętała ich rozmowę zaraz po jej powrocie z zielonej szkoły.

– Tata musiał wyjechać służbowo – powiedziała, nie patrząc na dziecko. – A my pojedziemy do Pobierowa.

– Ale tak bez pożegnania pojechał? – Zosia miała oczy pełne łez. – Kiedy mu opowiem, jak było na wycieczce? Zadzwoń do niego.

– Nie mogę, jest bardzo zajęty – tłumaczyła. – I żebyś nie tęskniła tak mocno, jutro wyjedziemy nad morze, do cioci Matyldy.

Słabe to było pocieszenie. Zosia przepłakała wtedy cały wieczór. Rozchmurzyła się dopiero w pensjonacie krewnej.

Wszystko wydawało się na dobrej drodze. Tylko do czego? Dziewczynka już nie pytała o ojca, zajęta zabawą z Antosiem, nowym kolegą. Robert dzwonił nadal, ale nie odbierała telefonów od niego. Przysyłał za to SMS-y. I to one powodowały największy ból. Nie zadawał w nich pytań, nic nie tłumaczył. Kilkoma prostymi słowami zapewniał o miłości i ogromnej tęsknocie za nimi dwiema. Tak niewiele, a jednocześnie tak dużo...

Dzisiaj wyjątkowo go brakowało. Do tej pory wspólnie zerkali na pełnię. Teraz patrzyła na księżyc sama. Patrzyła i nie widziała go wyraźnie. Łzy przeszkadzały...

## S

Robert do wieczora nie mógł dojść do siebie. Jeden telefon, a wybił go z rytmu na długo. Początkowo nie chciał odbierać. Na ekranie wyświetlił się nieznany numer. Może to jednak ktoś z pracy?

– Słucham! – rzucił zirytowany, próbując jednocześnie ustawić w nawigacji samochodowej adres klienta, do którego obiecał dowieźć materiały.

– Tatusiu, to ty? – usłyszał słabutki głos po drugiej stronie.

– Zosieńko moja – zdążył powiedzieć, zanim wzruszenie odebrało mu głos. Córcia! Córeczka!

– Tatusiu, kocham cię, wiesz?

– Wiem, maleńka. – Ocierał łzy lecące po policzku.

– Było mi smutno, że wyjechałeś bez pożegnania ze mną. Ale potem rozchmurzyłam się w Pobierowie. Mam nowego kolegę, wiesz? To Antoś, taki chłopiec. On też mieszka u cioci Matyldy – paplała radośnie.

Robert odetchnął. Wreszcie wiedział, gdzie są.

– Cieszę się, że mamusia pozwoliła ci zadzwonić – wyszeptał.

Zosia milczała.

– Zosiu, jesteś tam?

– Tak, tatusiu. Używam telefonu cioci Matyldy... Mamusia nie wie, że dzwonię. Tak strasznie tęskni, że gdy tylko o ciebie pytam, łzy lecą jej po policzkach. Dlatego przestałam pytać. Ale ciągle o tobie myślę. I mama na pewno też. Kiedy do nas wracasz? Tatusiu, ja już nie chcę jechać do Francji. Przyjedź tylko tutaj, choć na jeden dzień. Kocham cię mocno! Mamusia także. Martwię się o nią, bo nic nie je i ciągle wymiotuje. Mówi, że się struła, ale nie chce pójść do lekarza.

– Kocham cię, Zosiu! – łkał Robert. – Mamusię także! Powiedz jej, że... Halo? Halo? Zosiu!

Rozłączyła się. W pierwszym odruchu chciał wybrać numer, z którego dzwoniła, ale zrezygnował. Nie dałby rady nic powiedzieć. Potrzebował kwadransa, aby uspokoić skołatane nerwy.

Teraz siedział na maleńkim balkoniku wynajętej w pośpiechu kawalerki. Bo ile mógł mieszkać u dawnego przyjaciela? Spędził u Krzyśka kilka dni, ale gdy dostał tę pracę w hurtowni, podziękował za gościnę. Miał farta, za niewielkie pieniądze znajdując mieszkanie w centrum Szczecina, tuż przy deptaku Bogusława. Uliczny gwar pozwalał na szybkie zasypianie wieczorami. Bił się z myślami. Dzisiaj jednak było inaczej. Chyba przez tę pełnię i niespodziewany telefon... Robert nie mógł zasnąć. Siedział i wpatrywał się w niebo. Kawalerka była tak usytuowana, że bez problemu widział ogromny księżyc. Iwona zawsze lubiła się w niego wpatrywać. Z uśmiechem, zamyśleniem, rozmarzona... Ogromnie w tej chwili za nią zatęsknił, aż poczuł fizyczny ból. Musi natychmiast wyjść, bo zwariuje.

Wybiegł z mieszkania, chwytając w biegu sportową marynarkę z portfelem. Na chodniku odetchnął głębiej. Księżyc nie było widać, za to noc rozświetlały uliczne latarnie. Jaką noc zresztą! Z deptaku dobiegał gwar, jakby życie toczyło się na nim dwadzieścia cztery godziny na dobę. Prawie wszystkie ławki były zapełnione młodzieżą, która oficjalne wakacje miała zacząć jutro. W zakamarkach nagabywacze, wyłaniający się na dźwięk zbliżających się kroków. Rzucone „daj mi spokój” skutecznie wpychało ich z powrotem do dziury. Deptak Bogusława chętnie odwiedzały nocne patrole policji. Nikt nie chciał ryzykować.

Robert minął i młodzież, i pijaczków. Miał ochotę na dobrego drinka. Koniecznie wypitego gdzieś wśród ludzi, a nie w samotności, jak to robił przez ostatni tydzień.

Przyjacielska zachęcała niezbyt agresywnym neonem i najcichszą muzyką. Drzwi do lokalu były otwarte. Nie dobiegał zza nich głośny gwar, prowadzono tam raczej stonowane rozmowy. Towarzystwo adekwatne do stylowego miejsca. Połowa stolików zajęta, głównie przez pary. Robert nie miał ochoty siedzieć sam. Podszedł do baru i zajął miejsce w rogu. Zamówił whisky z colą i lodem. Tego mu było trzeba. Delektował się wyjątkową chwilą, dopóki nie dobiegł go fragment rozmowy toczony przez trzech mężczyzn obok. Szczególnie słowa jednego z nich sprawiały, że Robert co chwilę zwracał głowę w jego kierunku. I coraz mocniej chmurzył czoło.

– Kobiety już takie są – perorował pewnym głosem niepozorny na pierwszy rzut oka facet. – One po prostu muszą się kimś opiekować. Najpierw dziećmi, potem mężczyznami. Mają to we krwi! Baba, która czuje się potrzebna, jest spełniona. Gdera, co prawda, że się ją wykorzystuje, ale gdy nie ma pod sobą nikogo, jest nieszczęśliwa. My, mężczyźni, jesteśmy od tego, aby kobiety były szczęśliwe, prawda?

Dwóch pozostałych przytaknęło mu bez słowa, wpatrując się w rozmówcę jak w wyrocznie.

– Jeżeli chcecie dobrze żyć, znajdźcie sobie babę, tak jak ja. Moja Zoja zrobi wszystko, aby czuć się potrzebną i niezbędną. To dla niej ważniejsze niż oddychanie! Zachowuje się jak kwoka. Fakt, może nie jest wybitnie inteligentna, ale zna moje wiersze na pamięć. Jeszcze takiej kobiety nie spotkałem. – Kaczorowski upił solidny łyk z kufła.

– Ale mówiłeś, że wyjechała na miesiąc do pracy – dodał współtowarzysz, także upijając pianę ze złocistego napoju, który przed chwilą postawił przed nim barman.

– Wiesz, dlaczego pijemy? Bo zostawiła mi pieniądze. Zamrażalnik pełen jedzenia, więc na co mam wydawać forszę? Mnie od życia także się coś należy! Parobkiem nie jestem! Wczoraj wróciłem z Przyjacielskiej... Panie barman, o której ja wczoraj wyszedłem? – Kaczorowski zwrócił się do mężczyzny za barem.

– Dzisiaj. O czwartej. Zamykałem za wami drzwi.

– Za nami? – poeta usiłował sobie przypomnieć, o kogo jeszcze może chodzić barmanowi. – Rzeczywiście! Wczoraj po północy przysiadła się do mojego stolika jakaś całkiem niezła ruda. Mówiła, że gdzieś mnie widziała. Na wieczorku autorskim czy coś takiego. Niegłupia i zainteresowana moją twórczością.

Kaczorowski nachylił się do towarzyszących mu mężczyzn. Wypite do tej pory piwa sprawiły, że to, co zamierzał mówić szeptem, słyszał zarówno barman, jak i Robert.

– W życiu najlepiej znaleźć kilka dróg – mówił, mrugając znacząco. – I dawać kobietom to, co chcą. Mieć i mamuszkę do opieki, i kobietę do łóżka. Mamuska daje jeść i wspiera pieniążkami, a kochanka daje...

Tu cała trójka zarechotała obrzydliwie.

Robert nie wytrzymał. Złość w nim aż kipiała!

– Obrażacie mężczyzn – powiedział głośno. Wypity drink dodał animuszu. – Jak wam nie wstyd? Kobiety trzeba szanować i o nie dbać. Zapewnić im bezpieczeństwo i utrzymanie, a nie pozwalać, aby to one w związku nosiły spodnie. Jest tak od zarania dziejów! Ale zawsze trafi się jakiś pijaczyna, który twierdzi inaczej.

– Pijaczyna? Czy to o mnie? – Kaczorowski podniósł się z hokera. Barman zapobiegawczo

odsunął znajdujące się w pobliżu szkło.

– Nie tylko pijaczyna, ale także żalosny poeta! Spójrz w lustro! Wytrzymasz swoje spojrzenie? Kobieta zarabia na ciebie, a tyś szczęśliwy! Co tu robisz zamiast siedzieć nad kolejnym wierszem? I jeszcze bez wstydu opowiadasz o swojej porażce!

– Porażce? Gówniarzu, czy ty wiesz, kogo masz przed sobą? Jestem najbardziej znanym poetą w Szczecinie. Młodzi ludzie deklamują moje wiersze podczas uroczystości. Mam order za promocję kultury. Ludzie chcieliby mieć taką przeszłość jak ja.

Robert roześmiał się szyderczo.

– Kulturę to masz za drzwiami. Wstyd mi za niektórych facetów. Żałośni starcy, cholerne nieroby! Artyści spod budki z piwem! Kobiety trzeba szanować, a nie wykorzystywać.

– Baby są od tego, aby im pokazywać, gdzie ich miejsce. Inaczej nie umięją go znaleźć – odparł Kaczorowski.

Robert nie wytrzymał. Podszedł i z całej siły uderzył poetę w twarz. Tamten, zamroczony i dezorientowany, nie oddał. Jego towarzysze stali jak wryci.

– Spadaj stąd – rzucił barman Robertowi. – Ale już!

W głosie mężczyzny za kontuarem nie było złości, ale maskowana życzliwość. Robert posłuchał. Rzucił pieniądze na blat i wyszedł z Przyjacielskiej.

Dopiero wtedy podniósł się gwar.

– Policję trzeba wzywać! Złamał mi chyba nos! – Kaczorowski trzymał się za twarz. Spomiędzy palców płynęła mu krew.

Barman podał mu owinięty w ręcznik lód i polecił przyłożyć w miejscu uderzenia. Towarzysze poety pomstowali, na czym świat stoi. Reszta obecnych w knajpie osób nie była zainteresowana widowiskiem.

– Dlaczego pozwoliłeś mu wyjść? – artysta zwrócił się do barmana. – Trzeba go było zatrzymać. Musi odpowiedzieć za tę zniewagę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem, udając zajętego myciem szklanek. Ręce przestały mu się trząść. Gdyby tamten gość nie zareagował, to sam skoczyłby do Kaczorowskiego z rękami. Nie mógł już dłużej słuchać bełkotu dawnego poety. Zresztą teraz to tylko zwykły pijaczyna.

## S

Aldona spojrzała na mężczyznę śpiącego na łóżku. Od początku wiedziała, że jest wyjątkowy. Opiekuńczy, delikatny, a jednocześnie niezwykle męski. Spodobał jej się, gdy tylko zobaczyła go na dworcu w Wysokiej Kamieńskiej. A kolejne dni potwierdzały pierwsze wrażenie. Obserwowała go, jak pomagał matce, jak bawił się z Zosią i Antkiem... Podobało jej się, gdy troszczył się i o nią. Proponował niedługie spacerunki, wybierał odpowiednie zejścia na plażę, a nawet chciał wezwać lekarza, gdy potknęła się na nierównym chodniku i upadła.

A teraz... leży na jej łóżku. Śpi, a grzywka opada mu na czoło w taki sposób, że Aldona nie może się opanować i delikatnie poprawia ją palcem. Mężczyzna chwytą ją przez sen za rękę i przykładą sobie do policzka, mrucząc coś niezrozumiale.

„Trwaj, chwilo...” – myśli Aldona. Chce zablokować umysł, nie wybiegać w przyszłość, w końcu to, co się wydarzyło, jest kompletnie bez znaczenia. Ona samotna z wyboru, on – samotny, mając żonę u boku. Różni ich wiele, łączy jedno: oboje chcą mieć dziecko. „Będiesz wspaniałym ojcem, wyjątkowym, ciepłym, wyrozumiałym. Takim, jakiego pragnęłabym dla swojego maleństwa...”

Zaczyna świtać. Musi obudzić Piotra i poprosić, aby poszedł do siebie. Lepiej, aby nikt nie zobaczył go wychodzącego z jej pokoju.

S

Ryszard nie spał. Księżyc wpadał przez okno i doskonale oświetlał każdy fragment pokoju. Antoś długo nie mógł zasnąć tego wieczoru. Wydawałoby się, że po dniu pełnym wrażeń dziecko powinno paść w pościel bez sił, ale nie dzisiejszego wieczoru. Pełnia nakręcała smyka. Wymyślał kolejne zabawy, przynosił następne książeczki do czytania, aż wreszcie poprosił o telefon do mamy. Ryszard wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Wieczory nie są najlepszą porą na tęsknotę, a taka nadeszła, gdy tylko Antoś zakończył rozmowę. Malec rozzalił się na całego. Płakał i chciał do domu, do swojego łóżeczka i ukochanych zabawek.

– Jeżeli jutro nadal będziesz miał na to ochotę, to wrócimy – zapewnił go Ryszard.

Musiał powtórzyć to wielokrotnie, aż wreszcie umęczony emocjami Antoś zasnął. Mężczyzna położył go na swoim łóżku, tak jak obiecał.

Czasami miał wrażenie, że Matylda dziwnie mu się przygląda. Pilnował, aby szczególnie w jej obecności chłopiec zwracał się do niego „dziadku”, ale zachowanie sołtyski nie do końca było normalne. Nie żeby miał sobie coś do zarzucenia. Nie miał tylko ochoty wszem i wobec tłumaczyć, kim jest dla Antosia. Ludzie lubią wietrzyć wszelkiego rodzaju niezdrowe sensacje. Ryszard wolałby, aby wszyscy byli przekonani, iż jest spokrewniony ze smykiem. Rola dziadka pasowała tu jak ulał.

Długo jeszcze siedział na balkonie. Pokój, który zajmowali, znajdował się na pierwszym piętrze. Tuż obok szumiały sosny. Bryza znad morza docierała i tutaj.

Pobierowo pamiętał sprzed wielu, wielu lat, kiedy przyjeżdżał nad Bałtyk z małymi jeszcze bliźniakami. Nigdy nie bali się wody. Wskakiwali do niej, jak tylko zrzucili ubrania. Żona krzyczała, że się zaziębią, że dostaną zapalenia pęcherzy, że natychmiast mają uciekać z lodowatego morza. Oni jednak nic sobie z tego nie robili. Śmiali się i chlapali, czekając, aż ojciec do nich dołączy. We trzech hasali wśród fal.

A teraz jest w Pobierowie z chłopcem chorym na nerczycę. Nie wchodzi do wody w ogóle. Ryszarda także tam nie ciągnie. Wspomnienia wodnych zabaw są zarezerwowane dla synów.

Synów... Znowu przeszedł go dreszcz. Po raz kolejny pomyślał jak o nich dwóch. A przecież...

Wstał, aby się rozejrzeć i rozegnać wspomnienia. Miały go tutaj nie dopadać, a było wręcz przeciwnie.

Usłyszał szcęk otwieranej furtki. Wyjrzał przez barierkę. Wróciła Matylda i ta druga pensjonariuszka. Jak ona się nazywa? Ma takie nietypowe imię... Zoja! Zmarszczył brwi. Znał tę kobietę w jakiś dziwny sposób, jakby gdzieś ją już widział. Też mieszka w Szczecinie, podpytywał trochę Matyldę. Być może widział ją na chodniku lub w jakimś sklepie. Tak przynajmniej próbował sobie to tłumaczyć. Zoja jednak nieodmiennie wracała w jego głowie jak wspomnienie sprzed kilku lat. To, o którym pragnął nie pamiętać...

## S



Dorota biegła, oddychając równo. Towarzyszył jej Jacek. Reszta amatorów nocnego joggingu została daleko w tyle.

– Podoba ci się? – zapytał, gdy trochę zwolnili.

– Jest niesamowicie – odparła, lekko zdyszana.

Pierwszy raz zdarzyła jej się taka forma rekreacji. Biegli do Trzęsacza. Piasek był mokry, mocniej nasiąknięty wilgocią niż rankiem. Do tego wyjątkowa księżycowa poświata, odbijająca blask w delikatnie pluskającej wodzie. Kamienie, obmyte przed chwilą przez fale, lśniły. Rozkoszowała się tą chwilą.

– Nieźle wystartowałaś – dodał Jacek Pszczoła. – Narzuciłaś całej reszcie tempo, którego nie byli w stanie wytrzymać.

– Tobie się udało.

– Nigdy nie zostawiłbym pięknej kobiety samej.

Dorota rozmyślała jednak o czymś innym. Rzeczywiście, ostro wystartowała. Była tak zła, że tylko solidna dawka ruchu mogła ją uspokoić. Zła i rozżalona jednocześnie. Na siebie i na Piotra.

Co mu do głowy strzeliło, aby tak się zachować? Wieczorem wróciła z masażu i od razu udała się pod prysznic. Gdy wyszła, mąż czekał na nią z butelką wina i dwiema lampkami.

– Pijemy w pokoju czy na tarasie? – zapytał.

– Nie mam ochoty – odparła. – Za godzinę jestem umówiona. Spotkałam dzisiaj na plaży tego znanego sportowca Jacka Pszczołę i zaprosił mnie na bieganie przy księżycu.

– Znam ciekawsze rzeczy, które można robić podczas nocy takiej jak dzisiaj. – Piotr z uśmiechem zbliżył się do żony. – Jeżeli nie chcesz być w pokoju, to może wybierzemy się na spacer po plaży? Sami, tylko we dwoje? Będzie zupełnie jak kiedyś.

Dorota wzdrygnęła się nieznacznie. Kiedyś takie romantyczne wyjście kończyło się niespiesznym seksem na piasku. Gdy byli młodzi i niedoświadczeni, nie brali ze sobą koca i piasek wchodził im w odsłonięte części ciała. Ile radości mieli, splukując go potem pod prysznicem i robiąc powtórkę tego, co wyprawiali na plaży. Do niedawna poczerwieniałyby na samo wspomnienie. Teraz jednak...

– Piotrek, umówiłam się – powtórzyła. – Naprawdę chcę z nimi pobiegać.

– Codziennie biegasz! Na sport poświęcasz bardzo dużo czasu. Ten wieczór możesz spędzić ze mną. Odkąd przyjechaliśmy, ciągle gdzieś gonisz. Mama zaczęła pytać, czy z nami wszystko w porządku.

– Naturalnie, że w porządku.

– Jesteś pewna? – Piotr spojrzał na żonę.

Odwróciła wzrok.

– Ja nie irytuję się z powodu twoich pasji – stwierdziła. – Nie mówię nic, gdy wybierasz się na nocne fotografowanie czy wyjeżdżasz na kilka dni w plener. Proszę, abyś i ty nie wtrącał się w mój świat.

– Dorotko... Ja tylko chcę z tobą spędzić ten wieczór... Czy to tak wiele? Czy nie możemy spokojnie usiąść na balkonie, napić się wina, a potem...

– Co potem?

– W taką noc można tylko jedno. Kochać się, przytulać, całować, pieścić... To normalne zachowania pomiędzy ludźmi, którzy są sobie bliscy.

– Piotrek, nie chcę tego dzisiaj robić... – zaczęła, ale przerwał jej, rozszłoszczony. Wyrzucił z siebie słowa z szybkością karabinu:

– Dzisiaj nie, wczoraj byłaś zmęczona, tak samo jak tydzień temu, dwa tygodnie temu, miesiąc temu! Wiesz, kiedy ostatni raz się kochaliśmy? W marcu! O ile można nazwać seksem to, że leżałaś jak kłoda, czekając, kiedy skończę! Starałem się, jak mogłem, a ty po wszystkim pobiegłaś do łazienki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pękła prezerwatywa.

– Wiesz dlaczego...

– Upłynęło już tyle czasu! Nie ma żadnych medycznych przeciwwskazań! Ubzdurałaś sobie, że musisz się przygotować na kolejną ciążę. Idealna dieta i idealne ciało mają być gwarancją idealnej ciąży. Wierzysz w te bzdury? Jak długo można jeszcze czekać? Czy ty w ogóle chcesz mieć dziecko?

Zbyt długo milczała, aby nie zrozumiał tej ciszy.

– Nigdzie dziś nie pójdziesz! – rzucił się do drzwi, przekręcając klucz i chowając go do kieszeni. Potem zbliżył się do Doroty. – Dzisiaj wypełniamy małżeńskie obowiązki. Pełnia jest płodna.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Zbyt mocno i brutalnie, sprawiając jej w ten sposób ból. Próbowała go odepchnąć, ale okazał się silniejszy. Błyskawicznie rozpiął sportową bluzę, którą miała na sobie. Położył dłonie na piersiach żony, dotykając ich po raz pierwszy od dłuższego czasu. Pożądanie mieszało się w nim z irytacją. Był zły, że Dorota kompletnie nie reaguje. Wpatruje się w niego pełnym żalu spojrzeniem.

– Kładź się! – warknął, wskazując na łóżko.

– Nie chcę się z tobą kochać – powiedziała.

Wziął ją na rękę i położył na materacu. Leżała tak, jak poprzednim razem, wyprostowana i sztywna. Próbował ją pieścić, całować, ale nie reagowała. Jak plastikowa lalka! Ściągnął Dorocie spodnie. Na widok koronkowej bielizny odczuł pożądanie jeszcze mocniej. Było jak pożar, który należało natychmiast ugasić. Przyspieszył mu oddech, puls bił żwawiej i pewnie dopięłby swego, gdyby nie zobaczył łez płynących po policzkach żony. Zsunął się z niej. Po chwili wstał i poszedł do łazienki.

Ubrała się w tym czasie, wyciągnęła klucz z kieszeni spodni Piotra i wybiegła z pensjonatu. Wysilek przyniósł ukojenie. Łzy obeschły, krew wróciła na policzki. Stawiła się na spotkanie punktualnie. I choć rozumiała pobudki, jakie kierowały mężem, to jego zachowanie dzisiejszego wieczoru było skandaliczne.

Jacek wskazał wyłaniające się ruiny kościoła.

– Trzęsacz. Biegniemy pod górę?

Podjęła wyzwanie bez słowa. Po pięciu minutach, zasapani, wpatrywali się z platformy widokowej w dal.

– Znasz legendę o tym kościółku? – zapytał Jacek.

– Tę o córce króla mórz, którą rybacy wyłowili z morza, a ona zmarła z żalu w niewoli i została pochowana na tutejszym cmentarzu? Ojciec chce dostać się do jej grobu, więc co roku zabiera pewną część ładu.

– Jest też druga opowieść – uśmiechnął się sportowiec. – W Trzęsaczu miał mieszkać rybak Każko, który pokochał pewną Ewę. Zginął jednak w walce z Brandenburczykami. Dziewczyna umarła z rozpaczy. Pochowano ją podobno przy tym kościele. Każko, którego ciało leży na

dnie Bałtyku, próbuje do niej dotrzeć. Kochankowie połączą się na wieki, gdy ostatni fragment kościoła runie do morza.

– Nie znałam tej wersji – przyznała Dorota.

– Niewielu ludzi o niej mówi. Znacznie bezpieczniej jest przekazywać legendę o ojcu tęskniącym za córką. W końcu mówimy o kościółku zabieranym przez morze. Ja jednak wolę legendę o kochankach. Jest bardziej... życiowa – roześmiał się Jacek.

– Ciekawe, jak to jest umrzeć z żalu czy tęsknoty. Kiedyś w bajkach było pełno takich sloganów, jak „pękło jej serce” – powiedziała.

– Kochałaś kiedyś tak mocno, że chciało ci się płakać z tej miłości? Że wszystko cię bolało, od środka i od zewnątrz? Że pragnęłaś tę osobę mieć cały czas przy sobie, mówić do niej, słuchać?

Dorota odwróciła głowę, aby nie widział jej łez. Myślała o słowach Jacka. Kiedyś tak kochała Piotra. Wariowała z miłości. Tęskniła, gdy zostawał dłużej w pracy. Gdyby mogła, nieba by mu przychyliła. Ale największe uczucie przyszło, gdy powstał owoc tej miłości. Jacy oni byli wtedy szczęśliwi! Piotr nosił ją niemal na rękach.

Test ciążowy zrobiła dość szybko. Znała swój organizm i wiedziała, jak interpretować spóźniającą się miesiączkę. Nie było mowy o innych wątpliwościach. Na pierwszą wizytę poszli razem.

– Ta fasolka to wasze dziecko. – Lekarz wskazał mały punkcik na aparacie USG. – Na następne badanie ultrasonografem zapraszam w trzecim miesiącu.

Nie zobaczyli już więcej swojej fasolki. Gdy Dorota wstała któregoś ranka z łóżka, krew płynęła jej po nogach. Wizyta w szpitalu pozbawiła ich złudzeń. Naturalnie, pielęgniarki powtarzały, że takie rzeczy się zdarzają. Wielokrotnie kobiety nie wiedzą nawet, że są w ciąży. Myślą, że miesiączka opóźnia się, a gdy w końcu wystąpi, nie łączą tego w żaden sposób z poronieniem. Dorota jednak wiedziała, że nosi w sobie dziecko... I od początku mocno je pokochała. Właściwie nie przestała do tej pory...

– O czym myślisz? – zapytał Jacek. – O kochankach?

– O kochaniu – sprostowała. Z jaką łatwością przychodziło jej mówienie o uczuciach przy mężczyźnie, którego znała niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, co naprawdę robi. Jest środek nocy, a ona sama z tym sportowcem. Przecież ledwo go zna! I to w większości z telewizyjnych przekazów. Zadrzała nagle. Nie wiadomo, czy z zimna, czy ze strachu.

– Wracajmy.

– Dobrze.

Powrotną drogę spędzili w całkowitym milczeniu. Jacek odprowadził Dorotę pod pensjonat. Nie chciał, aby wracała sama.

– Dzięki za fajny wieczór. – Spontanicznie nachylił się i pocałował ją w policzek. Uśmiechnęła się i zamknęła furtkę, a on pobiegł dalej. Mimo kiepskiego początku całkiem miło spędziła ten wieczór.

„Co się z nimi dzieje?” – myślała, patrząc przez okno.

Wróciła zaledwie pół godziny temu, ale to, co zaobserwowała przez owe trzydzieści minut, nie napawało jej optymizmem.

Najpierw usłyszała kroki na korytarzu. Po cichu otworzyła drzwi. Ta niepełnosprawna Aldona szła z obejmującym ją ramieniem Piotrkiem do jego pokoju! Matylda czekała tylko, czy tam za nim wejdzie. Weszła, aby po jakimś czasie opuścić pokój, starannie zamykając za sobą drzwi. To ją lekko uspokoilo, ale po chwili w głowie pojawiła jej się lawina myśli. Co mój syn robił z tą kobietą? Dlaczego ją obejmował? Dlaczego prowadził go do pokoju? I gdzie, na Boga, jest Dorota?

Ta ostatnia kwestia rozwiązała się przed chwilą. Matylda przebierała się akurat w koszulę nocną. Podeszła do okna, chcąc je mocniej uchylić. Uwielbiała nocne powietrze. To wtedy dojrzała stojącą przed furką synową. I to w takim towarzystwie! Pożegnali się w sposób wielce znaczący.

Nie, tego nie można tak zostawić!

Wiedziała, że w małżeństwie jej syna nie dzieje się najlepiej. Matki nie można oszukać. Ale żeby tak jawnie jedno i drugie zdradzało współmałżonka? I to pod jej dachem? Trzeba to wszystko jak najszybciej ukrócić!

## S

Zoja uśmiechała się pod nosem. Nie spała zbyt długo, ale nocna przygoda napełniła ją wyjątkową radością. Dawno nie zrobiła nic spontanicznie. I to jeszcze tak szalonego! Przez ostatnie lata kontrolowała wszystko. Nawet po śmierci męża, choć wtedy nic już nie musiała. Nie sprawdzała co chwilę, czy wszystko zostawione jest w taki sposób, w jaki mąż najbardziej lubił. Rok po ślubie była tak czujna, że po jego minie wiedziała, kiedy oberwie. Dobrze, że tamto życie już za nią. Teraz ma Tadeusza.

Dopiero idąc do pracy, odkryła, że dzwonił do niej kilkakrotnie w nocy. Była wtedy na plaży, nie miała telefonu, a po powrocie nie pomyślała, aby spojrzeć na wyświetlacz. Niby po co? Dopiero teraz, gdy usiadła na piętnastominutową przerwę, zerknęła na komórkę. Osiem nieodebranych połączeń i jedna nagrana wiadomość. Wszystko od Tadeusza. Uśmiechnęła się z rozczuleniem. Tęsknił za nią! Nacisnęła przycisk odgrywania i usłyszała jego głos: „Halo? Zojka, gdzie ty się włóczysz? Dzwonię do ciebie i dzwonię! Ale paniusia nad Bałtykiem sobie wypoczywa, więc po co ma odbierać! Gdzie plastry trzymasz? Nic nie mogę znaleźć w tym twoim burdelu! Wyjedzie toto i myśli, że człowiek jasnowidz. Ale tak to jest, jak edukacja na maturze zakończona”.

Po głosie poznała, że był nie tylko pijany, ale i bardzo zły. W Zoję jakby piorun strzelił. Nacisnęła czerwony przycisk, kończąc odsłuchiwanie. Wiedziała, że niezadowolony Tadeusz nie przebiera w słowach, ale to, co słyszała przed chwilą, przekraczało wszelkie granice. Dom prowadziła wzorowo, czyściutko, wszystko było na swoim miejscu. Musiał być zdenerwowany, poszukując tego plastra! Przecież doskonale wiedział, że są w dolnej półce szafki stojącej w łazience. Po co mu plaster w środku nocy? Może potrzebuje pomocy?

Nie namyślając się, jeszcze raz wzięła do ręki telefon i wybrała numer Tadeusza. Odebrał po siódmym sygnale. Jednak nie on...

– Halo? – odezwał się kobiecy głos.

Boże mój, pewnie coś mu się stało i jest w szpitalu! Może miał wypadek?!

– Halo? – powtórzyła zirytowana kobieta po drugiej stronie linii. Słowu towarzyszyło głośne ziewnięcie.

– Czy mogę rozmawiać z Tadeuszem? – wyszeptała przerażona Zoja.

– Z Tadeuszem? Aaa! Musiałam pomylić telefony. Już wczoraj zauważyliśmy, że mamy takie same aparaty. Tadeusz śpi. Mam go obudzić?

– Śpi? Po lekach zapewne? Czy coś poważnego mu się stało? – Nadal miała w głowie wizję strasznego wypadku.

– Po jakich lekach? Nawalony śpi. Nieźle daliśmy w nocy w Przyjacielskiej. Właściwie dopiero zasnęliśmy.

Zoja nagle otrzeźwiała i nie słuchała dalej. Zszokowana zakończyła rozmowę. Kim jest ta kobieta? I co robi u niej Tadeusz? Nie chciała wierzyć w to, co podsuwał jej umysł. Czuła, że tusz rozmazuje się jej na powiekach, pobięła zatem do łazienki.

## S

Monika z zadowoleniem przechadzała się między wieszakami. Dawno nie kupowała bielizny. Nie miała dla kogo. Dzisiaj jednak czekało ją wyjątkowe spotkanie. Trzeba się do niego odpowiednio przygotować.

Czterokrotnie próbowała ze swojej komórki połączyć się z Robertem. Za każdym razem to samo: po pierwszym sygnale pojawiał się komunikat o odrzuceniu połączenia. Chodziła po biurze zdenerwowana, nie potrafiąc skupić się na pracy. Jakim prawem jej unika?

– Stało się coś? – zapytała koleżanka, widząc krążącą w tę i w tę Monikę.

– Komórka mi padła, nie mogę dodzwonić się do klienta – skłamała, widząc nadarżającą się okazję. – Mogę wziąć twój aparat?

– Jasne.

Zniknęła w pomieszczeniu obok. Numer Roberta znała na pamięć. Tym razem odebrał po pierwszym sygnale.

– Słucham? – rzucił do słuchawki. Jakże uwielbiała ten jego głos!

– Tu Monika – rzuciła najcieplej, jak potrafiła. Czy wydawało jej się, czy rzeczywiście usłyszała westchnięcie?

– Jestem zajęty. Mów szybko, o co chodzi – odparł zirytowany. Że też podkusiło go odebrać!

– Dzwonię, bo zapewne chciałbyś wiedzieć, że dzwoniła do mnie Iwona – powiedziała z fałszywą troską.

Staął jak wryty.

– Dzwoniła? Kiedy? – dopytywał gorączkowo.

– Wczoraj, późnym wieczorem.

– Jest w Szczecinie?

– Nie, siedzi gdzieś na drugim końcu Polski. Ale to nie jest rozmowa na telefon – dodała słodko. – Mógłbyś wpaść do mnie gdzieś około dziewiętnastej? Powtórzyłabym ci, co mówiła.

– Ale na pewno wiesz, gdzie jest Iwona? – upewnił się.

– Tak, wyjechała na południe Polski. Musi przemyśleć wiele spraw. Wiesz, jaka ona jest... Zawsze jak mimoza, nie do końca wiedząc, czego chce.

– Monika... – próbował jej przerwać i zapytać, dlaczego kłamie, ale nie pozwoliła wtrącić ani słowa. Podała godzinę, o której ma się u niej stawić wieczorem i rozłączyła się. Cała ona: kategoryczna, dominująca, osiagająca to, co sobie zaplanowała. – No, dobra, wpadnę – rzucił więc tylko automatycznie i przerwał połączenie.

Uśmieśliwiona Monika chwyciła leżącą pod biurkiem torebkę.

– Znikam na godzinę. Jakby szef pytał, jestem u lekarza – powiedziała zdumionej współpracownicy.

Do galerii handlowej miała zaledwie kilka kroków. Przebiegła przez ulicę, nie czekając na zielone światło. Chciała jak najszybciej wybrać odpowiedni strój na wieczór. Wyjątkowo skromny.

– Panie Robercie – usłyszał w słuchawce głos kierownika – jest mały problem. Jeden z naszych dostawców miał dzisiaj kolizję, a nie mamy zastępcy. Obiecaliśmy jutro dostarczyć towar do klienta w Kamieniu Pomorskim. Czy to będzie dla pana duży problem, gdy poproszę, aby....

– Najmniejszy! – Gdyby mógł, skoczyłby z radości. – Zaraz podjadę pod hurtownię, załaduję materiały. Czy będę musiał spieszyć się z powrotem?

– W zasadzie nie... Jutrzejszy dzień jest dosyć luźny, poza tym jednym klientem.

Robert się rozłączył. Jak on zniesie następne godziny? Czuł się jak małe dziecko, które wie, że nazajutrz czeka je niespodzianka.

Nad jego radością wisiał tylko jeden cień – wieczorne spotkanie z Moniką.

## S

Matylda patrzyła na syna i synową, którzy siedzieli w milczeniu przy kuchennym stole. Piotr wyglądał przez okno, dłubiąc widelcem w jajecznicę. Dorota piła tylko sok, zostawiając na talerzu przygotowaną przez teściową kanapkę. Oboje wydawali się tacy sobie obcy. Już miała zacząć rozmowę, korzystając z tego, że w kuchni nie było nikogo innego, gdy usłyszała głos syna:

– Mamo, policja do ciebie.

Zaskoczona wyjrzała przez okno. Rzeczywiście, w stronę wejścia zmierzał już posterunkowy Jaworski. Szybko wytarła ręce w kuchenną ściereczkę i wyszła mu na spotkanie. Funkcjonariusz zasalutował.

– Dzień dobry!

Skinęła głową.

– Pani Matyldo, mamy mały problem. Dostaliśmy dziś rano anonimowy telefon z informacją o zdemolowaniu willi Evy Braun.

– Słucham? – Matyldzie momentalnie zrobiło się gorąco. Przecież jeszcze ubiegłej nocy z budynkiem było wszystko w porządku!

– Podjechaliśmy na miejsce i rzeczywiście, coś się tam działo. Nie ma zbyt wielu szkód, ale pojawiły się swastyki, antyniemieckie hasła i gwiazdy Dawida. Musimy ustalić, do kogo ów domek należy obecnie. Jest w takim stanie, że prawdopodobnie od dawna nikt do niego nie zaglądał.

– Właściciel od wielu lat mieszka w Niemczech – rzuciła praktycznie bez tchu. Skoro zniszczeń nie było, gdy one przebywały w domku, to ktoś musiał je zrobić krótko po tym, jak stamtąd odeszły.

– Trudno. – Posterunkowy wzruszył ramionami, ciesząc się w duchu, że nie ma więcej pracy. – Spiszę tylko protokół. Zapewne nie ma świadków tego aktu wandalizmu.

– Zapewne nie. – Matylda przełknęła ślinę i pożegnała policjanta. – Podjadę tam później rowerem.

Zastanawiała się, czy nie wspomnieć, że była tam kilka godzin temu. Odrzuciła ten pomysł. Gdyby poinformowała policjanta, zaraz zacząłby wypytywać o szczegóły, które wolała zachować dla siebie. Wygląda na to, że ktoś był w willi po ich wizycie. Para, która chciała spędzić tam upojną randkę raczej nie brałaby ze sobą farby i nie demolowałaby domku... Kto w takim razie mógł to zrobić? Policja zapewne nie znajdzie sprawcy. A jeżeli...? Zrobiło jej się gorąco. Jeżeli sprawca był tam w tym samym czasie co one? Co wtedy?

Gdy wróciła do kuchni, przy stole już nikogo nie było.

## S



– Bardzo narozrabiałem wczorajszego wieczoru? – Piotr nie patrzył Aldonie w oczy.

– Gdzie tam – uśmiechnęła się. – Miałeś ochotę pogadać i trafiło na mnie.

– Przyszedłem kompletnie pijany!

– Czasami tak trzeba – powiedziała cicho. – Z tego, co usłyszałam, miałeś powód.

Nie był pewien, na ile zaufał Aldonie.

– Opowiedziałem ci wszystko?

Machnęła ręką, jakby to, co się wydarzyło, było mało istotne. Rozmyślała, jak bliska była, aby wykorzystać tę chwilę męskiej słabości. Piotr byłby naprawdę fantastycznym ojcem... To znaczy, materiałem na ojca. Bo Aldona nie potrzebowała mężczyzny na stałe. Każdy byłby z nią wyłącznie z litości. Ale chciała mieć dziecko. Nic więcej. TYLKO DZIECKO.

Gdy położył jej głowę na kolanach, mogła zacząć go pieścić. Szybko dostałaby to, co chciała. Choroba mocno ją zmieniła. Kiedyś odkładała wszelkie plany na później, teraz zmuszona była realizować je od razu. Także plan o potomku. Przypomniała sobie słowa lekarza: „Jeśli nie zajdzie pani w ciążę teraz, to później nie będzie to możliwe”.

Wczoraj nadarzyła się okazja. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Odpocznij – poradziła blademu Piotrowi. – Na plaży nie wytrzymasz. W ogrodzie twojej mamy jest fantastyczny cień.

Wyrzała przez okno, czy wygodna ławka jest wolna. Siedziała na niej Iwona. Aldona wskazała na kobietę.

– To twoja kuzynka, prawda? Spędza tak całe dni.

Piotr nie podjął tematu. Rozmyślał, gdzie wybrała się Dorota. Znowu wybyła z pensjonatu.

– Jeszcze raz dziękuję za wczoraj – powiedział do Aldony. – Nie mogę dzisiaj odpoczywać. Zaraz przebieram się w robocze ubranie i przygotowuję zaprawę do wykończenia kotłowni. Jutro obiecałem zrobić mamie zakupy w sklepie z materiałami budowlanymi. Potrzebujesz czegoś z Kamienia?

Pokręciła przecząco głową.

– Zobaczymy się później, moja siostrzo miłosierdzia – dodał z uśmiechem i wyszedł.

## S

Iwona zerkała na bawiącą się niedaleko Zosię. Córka bardzo polubiła tego małego Antosia. Dzisiaj wybierali się na plażę po południu, ranek chcieli spędzić w ogrodzie. Matylda wyciągnęła im siatkę na motyle i próbowali łapać kolorowe owady, których pełno było wokół przepięknie kwitnących kwiatów.

Iwona pomyślała, że po życiu z alkoholikiem ciotka ma teraz dużo szczęścia. I spokoju przede wszystkim. Mieszka sobie nad Bałtykiem, oddycha fantastycznym powietrzem, chłonie cudowną naturę. Powinna być szczęśliwa. Jednak dzisiaj rano wydawała się jakaś markotna. „Wszyscy mamy tajemnice i bóle – pomyślała Iwona. – Ciekawe, jak długo można je ukrywać”. Dobrze, że Zosia jest taka mała. Nie domyśla się, że dorośli mają dwa światy. Jeden pozorny, pokazywany innym i drugi – ten prawdziwy, wewnętrzny... Dla ludzi uśmiech, a serce krwawiące.

Zerknęła na komórkę. Dzisiaj nie przyszedł jeszcze żaden SMS od Roberta. Nie przyznałaby się przed nikim, ale czekała na nie każdego dnia. Mimo wszystko były takimi małymi promyczkami. Choć po każdym przysłanym wyznaniu miłości Iwonie na nowo napływały do oczu łzy. Nikt jej tak nie skrzywdził. I nie kochał...

Są w Pobierowie już od dwóch tygodni. Miała uciec od wszystkiego, a myśli jeszcze intensywniej. Każdego wieczoru łapie się na tym, że chciałyby się wtulić w ramiona Roberta, posłuchać spokojnego oddechu, zasnąć z nogami wplątanymi w jego nogi. I gdy tęsknota jest tak silna, że w piersiach budzi się skowyt, przypomina sobie Monikę i jej słowa. Tęsknota po raz kolejny błyskawicznie przemienia się w żal.

Codzienne torsje wykańczają. Ale jeszcze trochę, gdy minie pierwszy trymestr, ustaną zupełnie. Może wtedy będzie w stanie na spokojnie pomyśleć, co dalej? Najpierw sądowa separacja, potem rozwód. Trzeba będzie wszystko wytłumaczyć Zosi, ale bez wdawania się w szczegóły. Od wczoraj ani razu nie zapytała o tatę. Iwona nie chciałyby ograniczać jej kontaktu z ojcem, ale na razie sama nie może zdobyć się na to, aby poinformować go, gdzie są. Wielokrotnie pytał o to w SMS-ach. Ciotka Matylda byłaby chyba ostatnią osobą, o której by pomyślał. Widywali się tak rzadko... Prędzej poznałby Piotra, który był w zeszłym roku na targach fotograficznych w Szczecinie i wpadł do nich na godzinę, ledwo znajdując czas na szybką kawę.

Iwona nie chciała zdradzać ich miejsca pobytu. Znała Roberta i wiedziała, że od razu wsiadłby w samochód i przyjechał. Prędzej czy później do spotkania jednak dojdzie.

Pogłaskała się po płaskim brzuchu. Przełknęła kolejną łzę. Zaszła w ciążę, gdy Robert skakał z ich sypialni do łóżka mieszkającej piętro niżej kuzynki. I to ją całował, pieścił, zaspokajał. Iwona poczuła, że po raz kolejny tego ranka żołądek podchodzi jej do gardła. Ledwo zdążyła do łazienki.

## S

Zoja miała tak zajęte przedpołudnie, że nie znalazła chwili, aby przysiąść. Właściwie to wynajdywała sobie zajęcia, byle tylko nie myśleć. W ciągu kilku minut jej świat rozbił się na kawałki.

Już dawno straciła złudzenia, że pasują z Tadeuszem do siebie. Dzielili ich nie tylko światy intelektualne, ale przede wszystkim postrzeganie życia. Dla niej było ono wyzwaniem, które należało podejmować każdego dnia. Dla Kaczorowskiego natomiast życie było wieczną zabawą.

Chciała stworzyć mu dom, przyjemne miejsce, do którego będzie chciał wracać i pracować. Pragnęła nie tyle fizycznej bliskości człowieka, ile poczucia, że jest potrzebna. Przymykała oczy na wady Tadeusza. Nie dopuszczała do konfliktów, byle tylko panowała między nimi pozorna sielanka.

A może wszystko jest jeszcze do naprawienia? Może Tadeusz zadzwoni z przeprosinami za pozostawioną wiadomość i wyjaśni jakoś obecność innej kobiety? A może wylądował w mieszkaniu nieznajomej wskutek jakiegoś niezrozumiałego przypadku?

Wzięła tacę z baru i niosła zamówienie. Przy stoliku, na zewnątrz hotelu, siedziała młoda kobieta z może siedmioletnim synkiem. Chłopiec miał usta wykrzywione w podkówkę. Robił wszystko, aby się nie rozpłakać. Zoja miała ochotę pogłaskać go po głowie, ale takie spoufalanie się nie było dobrze widziane.

Stawiała rzeczy ściągane z tacy i już miała odchodzić, gdy usłyszała rozmowę pomiędzy matką a synkiem.

– Kacperku, nie bądź smutny – niewiele radośniejszym głosem zwróciła się kobieta. – Tatusi wyśpi się i zejdzie do nas.

– Nie zejdzie. – Maluch pochylił głowę. – Będzie w łóżku do południa.

– Wiesz, że dużo pracuje. Ma prawo też odpoczywać.

– Mamusiu, on nie robi nic innego w tym hotelu! Albo śpi, albo pływa, albo czyta gazety! Nie idzie z nami na plażę, nie spaceruje... Mogliśmy zostać w domu. – Chłopiec już otwarcie płakał.

Matka patrzyła na niego bezradnie. Zoi także krajało się serce. Dziecko nie wymagało od ojca niczego więcej niż obecności.

– Kacperku, zadzwonię po tatusia. Może jest już wypoczęty i zaraz do nas zejdzie.

Kobieta przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Tomeczku, wstałeś już? – zaszczebotała z fałszywą słodyczą. – Jest takie piękne słoneczko! Może zejdiesz do nas na hotelowy tarasik i napijemy się kawusi? Kacperek jest smutny, że cię nie ma...

Zoja doskonale słyszała bucowate odpowiedzi mężczyzny. Burczał, że żona go wybudziła, a jeżeli ma ochotę na cokolwiek, to raczej na piwo niż na kawę.

– Kochanie, zamówimy dla ciebie, co tylko zechcesz! – Kobietę prawie rozsadała radość, bo mąż łaskawie zgodził się zejść do nich. – Czekamy tu na ciebie, skarbie!

Kacperek uśmiechnął się od ucha do ucha. Ojciec zaraz przyjdzie! Z niecierpliwością wypatrywał go w drzwiach. Zoja, celowo krążąc wokół ich stolika, także patrzyła w tamtym kierunku.

Nie sposób było go nie zauważyć. Szedł ponury jak gradowa chmura. Bez cienia radości, za to z jakąś... złością. Zoja widziała, że uśmiech chłopca tężeje. Miną nadrabiała zaś mama

Kacperka.

– Siadaj, kochanie. – Podsunęła mu swoje krzesło. – Poduszki masz już wygodnie ułożone.

Mężczyzna zwałił się ciężko na siedzenie. Nawet nie podziękował żonie, jakby była powietrzem. Stała obok niego, rozanielona, że wreszcie są wszyscy razem.

– Dziadowskie te krzesła – syknął donośnie. – Człowiek płaci grube pieniądze, a ma towar zakupiony w miejscowym markecie.

Żona nie zwracała uwagi na jego słowa, szczęśliwa, że mąż jest z nimi. Kacperek wpatrywał się w ojca uważnie, nie odzywając się.

– A tobie co, języka w buzi zabrakło? – Mężczyzna upił łyk przyniesionego przez żonę piwa. Nie chciała czekać na kelnerkę, aby mąż nie zaczął się niecierpliwić.

– Nie, tatusiu – szepnął chłopiec, schylając głowę.

– To dziecko zawsze było takie niekumate? – Głowa malca pochyliła się jeszcze niżej. – Siedzi jak mruk, a przecież chciał, abym zszedł na dół. O czym chcecie rozmawiać?

– W zasadzie o niczym – krygowała się kobieta. – Przyjechaliśmy tu przed pięcioma dniami, a ty całe dni spędzasz albo w hotelowym pokoju, albo na basenie. Myślałam, że ten czas spędzimy wspólnie.

– Wiesz, że nie lubię włóczyć się po plaży. Przyjechałem, bo tak chcieliście. Źle wam nie jest. Mieszkacie w najlepszym hotelu. Macie wszystko!

– Kochanie, nie denerwuj się. Kacperek i ja chcielibyśmy po prostu trochę z tobą pobycć. W ciągu tygodnia jesteś taki zabiegany...

Chłopiec zaczął cichutko płakać. To jeszcze bardziej rozzłościło ojca.

– Mazgaj, cholera! Mam was dosyć! Idę do pokoju!

Dopił piwo duszkiem, z impetem odsunął krzesło i ruszył w stronę wejścia.

Kobieta patrzyła za nim smutnym wzrokiem. Po chwili przytuliła synka i głaszcząc go po głowie, zapewniła, że tatuś kocha go najbardziej na świecie.

– Jest tylko przepracowany – tłumaczyła.

Po chwili wzięła Kacperka za rękę, obiecując mu lody. Nie poprawiło to jednak nastroju malca.

Zoja patrzyła na tę scenę ze smutkiem i złością jednocześnie. W kobiecie widziała... samą siebie. Dawała miłość i prosiła, aby druga strona ją przyjęła. Upokarzała się, próbując na siłę ofiarować uczucie, które ktoś inny przyjąłby z pocałowaniem ręki. Zoja była taka sama. Analizowała teraz swój związek z Kaczorowskim. Wiele mu dała, a nie otrzymała od niego nic, nawet szacunku...

## S

– Pani sołtys, pani sołtys! – Przed furtką stał jakiś mężczyzna i machał ręką na Matyldę. Poznała go od razu. To ten oszust, który nabierał ludzi, że ciężko choruje, i żebrał. I ten od pomysłu z puszką. Od tamtego dnia nie widziała go w Pobierowie. Była pewna, że już nikogo nie naciąga. Widać się pomyliła.

– Słucham? Zdecydował się pan na pracę szaletowego?

Zatrząśł się na samo wspomnienie zniewagi. Wyszczерzył zęby w fałszywym uśmiechu. Tym razem to on rozdaje karty.

– Pani sołtys, piękną noc mieliśmy wczoraj – zaczął.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Mam uwierzyć, że przyszedł pan do mnie, aby opowiadać o fantastycznej pełni? Nie mam czasu na głupoty. Jeżeli dalej pan żebrze, to wezwę policję.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Myślę, że pani nie wezwie. A nawet gdyby, to funkcjonariusze nie zainteresują się mną, a panią.

– Co? O czym pan mówi? – Matylda nie była pewna, czy nadaża za tokiem rozumowania Trznadla.

– Z tego, co wiem, policja jeździła już dzisiaj po Pobierowie. Szczególnie wokół domku tej hitlerowskiej latawicy.

Sołtyska podniosła brwi ze zdziwienia. Skąd facet o tym wiedział?

– Tak, rzeczywiście, dokonano tam aktu wandalizmu. Nie jest to jednak pana sprawa – powiedziała.

– Moja nie, ale za to pani...

Matylda się rozżłościła.

– Kompletnie nie rozumiem, po co z panem rozmawiam. Przychodzi pan do mojego pensjonatu nie wiadomo po co, a ja marnuję czas na jałową wymianę zdań. Czego tym razem pan chce? Na jałmużnę się nie nabiorę. Jeżeli zauważę, że nagabuje pan kogoś innego, zgłaszam sprawę stróżom prawa. Czy to jasne?

– Przeszedłem jeszcze raz ponowić prośbę o prowadzenie zbiórki na mój cel. – Marek Trznadel uśmiechnął się szeroko, a w Matyldzie się zagotowało.

– Bezczelny typie, odejdz stąd natychmiast, bo nie ręczę za siebie! Jak można być takim wyzyskiwaczem? Zaraz zadzwonię po policję!

Ruszyła w stronę domu, ale zatrzymały ją słowa mężczyzny:

– Poczekam na funkcjonariuszy. Mam dla nich ciekawe wiadomości. Na pewno byliby zaskoczeni, wiedząc, że pani sołtys była wczorajszej nocy w willi Evy Braun. A potem dokonano tam zniszczeń. Psychopatyczna sołtyska poszła kąpać się nago w morzu. Mieszkańcy, z których woli została pani nominowana na to stanowisko, mogą się mocno zdziwić, kogo wybrali...

– O czym ty, człowieku, mówisz? – Matylda zwróciła się do Trznadla. – Owszem, byłam wczoraj w willi, ale to nie ja dokonałam zniszczeń.

– Ciekawe, czy uwierzą pani słowom, czy zdjęciom, jak wychodzi pani z budynku? Proszę spojrzeć. Ale z daleka! – Odsunął fotografię, gdy Matylda wyciągnęła po nią rękę. – A tutaj, na drugim zdjęciu, jest pani w całej okazałości.

Fotografie były mocno powiększone. Sołtyskę widać było na nich doskonale. Inne postaci

miały rozmazane twarze, ale ona prezentowała się aż nadto wyraźnie. Widać Trznadel uparł się, aby uwiecznić ją na zdjęciach.

– Czego pan ode mnie chce?

– Pytanie, czego pani nie chce? Brzydkiego rozgłosu? Dymisji ze stanowiska sołtysa? Potępienia ludzi? Pensjonariusze także nie będą zadowoleni, gdy dowiedzą się, że mieszkają u kobiety chadzającej nocą nago po plaży i demolującej zabytki.

Popatrzyła na Trznadla uważnie.

– Szantażuje mnie pan?

– To brzydkie słowo. Wolę inne: raczej ochraniam panią przed niesławą.

– Ile kosztuje taka ochrona? – spytała cicho.

Uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Oto moja puszka. – Wyciągnął przedmiot z torby przewieszanej przez ramię. – Przyjdę, powiedzmy, za trzy dni. Niech będzie wypełniona banknotami. Specjalnie powiększyłem dziurkę. Aby być bardziej konkretnym: niech znajduje się w niej dwa tysiące złotych.

Zostawił osłupiałą Matyldę z puszką w dłoniach, ukłonił się i odszedł. Na przedmiocie nie było żadnej karteczki, żadnego nazwiska, jedynie zdjęcie małego szklanego niebieskiego słonika, w dodatku krzywo przyklejone. I błędnie podpisane: „Na szczęście!”.

Spojrzała za oddalającym się mężczyzną. Po raz pierwszy poczuła strach.

## S

Janina Jagusiakowa chodziła podminowana od rana. Trzykrotnie wytarła blat kuchenny, aby po chwili po raz kolejny chwycić za ścierkę. Sama nie wiedziała dokładnie, co ją zdenerwowało. W kościele było wyjątkowo spokojnie. Ludzi niewiele i jakoś tak... przyzwyczajenie się zachowywali. Jana Widackiego nie zauważyła, nie miała zatem komu zwrócić uwagi. Modliła się jednak niespokojnie, na coś czekając. Sama jednak nie wiedziała na co. Potem poszła na cmentarz. Na grobie nie przybyło szkód, widoczne były te stare rysy. Patrzyła na nie i patrzyła. Im dłużej to robiła, tym szybciej wracała jej złość sprzed kilku dni.

Proboszcz nieopatrznie wszedł na miejsce pochówku zmarłych. Nie zauważył Jagusiakowej, inaczej by odczekał.

– Zainstalował ksiądz monitoring?

– Jeszcze raz przypominam pani, że cmentarz nie należy do Kościoła. Jest dobrem gminnym.

– Nużyło go opowiadanie ciągle tego samego.

Starsza kobieta wróciła do domu, zastanawiając się, co ją tak rozdrażniło. Już wie! To zirytowany głos księdza. Złość kipiała w niej nawet teraz, choć wróciła do domu kwadrans temu. Nawet jeśli wielokrotnie informował ją o tym samym, to co z tego? Ma prawo zapomnieć. Jest w końcu po siedemdziesiątce. A proboszcz zachowuje się coraz gorzej, jakby pozjadał wszystkie rozумы. Gdzie się podziała jego dawna skromność i uprzejmość?

Skończyła pucować blat i wyszła przed dom. Wszędzie głośno, słychać krzyki dzieci, a pod bramą... O, ktoś zaparkował! Pewnie kolejny turysta szukający pokoju do wynajęcia. Już ona mu da parkowanie pod jej posesją. Chodnik zniszczy! Inni zobaczą i też będą chcieli tu stawać. A przecież tablica informująca o zakazie stawania wisi na parkanie! Rysuneczek odholowanego samochodu mówi sam za siebie. Fakt, nie ma oficjalnego zakazu stawania na tej ulicy, ale Jagusiakowa musi chronić swoją własność. Jej dom, jej parkan, jej chodnik! I każdemu innemu wara od tego!

Próbowała dodzwonić się do Straży Gminnej, ale tam jak zwykle nikt nie odbierał. Nie wiedziała, że od tamtej pamiętnej nocy, gdy Jagusiakowa zaalarmowała wszelkie możliwe służby porządkowe, wydzwanając co kilka minut pomiędzy północą a trzecią nad ranem i zdając relację z tego, co widzi przez okno sypialni, pracownicy doskonale rozpoznają jej numer i celowo nie podnoszą słuchawki. Twierdziła, że sąsiedzi z domu obok są dilerami narkotyków i właśnie przywieźli towar. Początkowo sceptyczni funkcjonariusze wraz z kolejnymi telefonami nabierali przekonania, że coś jest na rzeczy. Jagusiakowa podobno widziała broń, walizkę z pieniędzmi, samochód na rosyjskich tablicach rejestracyjnych, bandziorów z poobijanymi gębami, którzy właśnie stanęli w świetle ulicznej latarni. Była tak przekonująca, że dyspozytor zmobilizował wszelkie możliwe służby i na miejsce wysłał radiowóz, Straż Gminną i karetkę, gdyż podobno zaczynała się rzeź. W rzeczywistości trafili na powrót właścicieli sąsiadującej z Jagusiakową posesji, wyjątkowo spokojnych ludzi, którzy w kompletnej ciszy przenosili do domu walizki i sprzęt wędkarski, wzięty przez panią Janinę za broń. Gdy strażnik stanął przed jej drzwiami, nie dała mu nawet dojść do głosu. Zwyczajowała go od łapówkowiczów, którzy zamiast zajmować się poważnymi sprawami, nachodzą w domach porządnymi obywateli i zakłócają im nocny wypoczynek.

– Przecież to pani dzwoniła do nas – próbował wtrącić słowo.

– Gdybym was nie zmobilizowała do nocnej pracy, zapewne zabawialibyście się z panienkami – rzuciła.

Strażnik był tak zaskoczony absurdalnym pomówieniem, że nim zdążył zebrać myśli, Jagusiakowa z impetem zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Gdy wrócił do dyżurki i opowiedział wszystko pozostałym funkcjonariuszom, usłyszał o innych akcjach pani Janiny.

– Dzwoniła któregoś razu, że na plaży pogryzł ją bezpański pies. Gdy przyjechałem, okazało się, że nic się nie stało. Nie było przy niej nawet żadnego zwierzęcia, tylko bardzo daleko widziała ludzi, którzy prowadzili psa bez smyczy.

– Kiedyś przechodziłem na służbie obok straganu z książkami dla dzieci. Oskarżała matkę dwójki maluchów, że ukradła bajeczki. Podobno wszystko widziała. Nieważne, że sprzedawca mówił co innego, a kupująca pokazała paragon. Ta młoda kobieta cała się trzęsła, gdy odchodziła chodnikiem. A Jagusiakowa dalej wykrzykiwała inwektywy. W końcu ma niezawodne oczy.

– Mnie zgłaszała kradzież dachówek przez sąsiada z naprzeciwka. Stwierdziła, że ma identyczne, więc na pewno jej ukradł. Bo każdy warszawiak to złodziej!

Takich historii było więcej. Wszyscy wspólnie podjęli decyzję, że chcąc pozostać przy zdrowych zmysłach, nie mogą odbierać telefonów od tej kobiety.

– Znowu się łajdaczą – rzuciła pani Janina pod nosem, odkładając słuchawkę. Trzeci raz próbowała dodzwonić się do Straży Gminnej, ale bez powodzenia. A przed jej posesją jakiś patałach zajmuje chodnik. Złość dodała jej energii.

– Ej, ty tam, przy samochodzie! – krzyknęła, nie zwracając uwagi na przechodzących ludzi. – Masz problemy ze wzrokiem? Nie widzisz szyldu na parkanie?

– Widzę – odparł spokojnie mężczyzna w średnim wieku. – Zwykła tabliczka, powieszona prywatnie, a nie urzędowy znak zakazu parkowania. Stałem z boku, nie zastawiam bramy. Co pani zatem przeszkadza?

Jagusiakowa się zapowietrzyła.

– W dodatku bezczelny. Jazda spod mojej posiadłości! Z bloku przyjechało i nie wie, jak żyją normalni ludzie. Busz!

– Odpieprz się, kobieto!

Takiej zniewagi pani Janina znieść nie mogła. Chwyciła leżący w pobliżu szlauch. Zawsze był połączony z zaworem wody. Odkręciła najpierw kranik, a potem pokrętkę przy wężu. Puściła silny strumień wody na niespodziewającego się niczego mężczyznę. Nie zwracała uwagi, że polewa także ludzi przechodzących drogą.

– Wariatka! – wrzeszczał całkiem mokry mężczyzna, chowając się do samochodu i odjeżdżając z piskiem opon.

Jagusiakowa puściła w niebo jeszcze jeden strumień wody i zadowolona z efektu, odłożyła szlauch.

– Tak trzeba uczyć ludzi kultury i odpowiedniego zachowania – mruknęła do siebie pod nosem. – Skoro dałam sobie radę z patałachem, znajdę także wandalę z cmentarza. Jakem Jagusiakowa!



Monika wyjrzała przez okno. Roberta nie było, choć minęła ustalona godzina spotkania. Może coś się wydarzyło? Jakiś wypadek? Przecież obiecał do niej przyjechać.

Z ogromną pieczołowitością zaplanowała wieczór. Była idealnie przygotowana. Makijaż, cudowne perfumy, ułożona fryzura, w odpowiednim momencie kończąca się sukienka z także odkrywającym sporo dekoltem. Pod ubraniem wyraźnie rysowała się koronkowa bielizna, która potrafiła rozpalić wyobraźnię. Monika podobała się sama sobie.

Sypialnię wywietrzyła. Założyła romantyczne powłóczki na kołdrę i poduszkę. Przytłumione światło zachęcało do zatracenia zmysłów. Tylko... Robert się spóźnił.

Z kuchni dolatywał kuszący zapach lasagne, wstawionej pół godziny wcześniej do piekarnika. W lodówce chłodziło się wino i piwo – w zależności od tego, na co miałyby ochotę. Teraz pożałowała, że nie kupiła szampana. Jak nic pasowałyby do truskawek.

Całe mieszkanie – i ona sama – prezentowało się nienagannie i pachniało zachęcająco. W sam raz dla mężczyzny opuszczonego przez żonę. Dzisiejszego wieczoru wreszcie uwiedzie rozgoryczonego Roberta. Uspi jego czujność troską o małżeństwo najbliższych jej osób, o los ich dziecka, mimochodem wyciągnie wino, potem następne. Przytuli, pocieszy, otrze łzę. Potem nie będzie miał wyjścia. To ona, Monika, a nie Iwona, jest przy nim. Zosi także tu nie ma.

Podeszła do okna. Powinien być godzinę temu. Chwyciła telefon.

– Abonent poza zasięgiem – usłyszała.

Rzuciła ze złością aparat na stolik. Po kilku minutach spróbowała ponownie. To samo. I choć przychodziło jej do głowy, że być może coś mu się stało, miał wypadek, trafił do szpitala, to jednak na pierwszy plan wysuwało się przecucie, że po raz kolejny została zlekceważona. Nienawidziła tego! Już matka ją tak traktowała! I to przez kogo? Przez przybłędę, która nie wiadomo po co zjawiała się w ich życiu.

– Kochanie, Iwona nie ma matki. Ty jesteś w znacznie lepszej sytuacji. Musimy jej okazać uczucie, być wyrozumiałymi, kochać – tłumaczyła przed laty jej rodzicielka.

Monika nic wtedy nie mówiła. Patrzyła, jak mama bierze kuzynkę na kolana, stawia się pokornie na uroczystości z okazji Dnia Matki u dziecka, którego nie urodziła, jak wysłuchuje zwierzeń o pierwszych miłościach, szkolnych niepowodzeniach i sukcesach. Monika nie lubiła się dzielić. Nikim i niczym. W relacji z Iwoną szybko pokazała, że miejsce tamtej jest z boku, w roli obserwatora i asekuranta. To ona ma być widoczna! I kochana! I podziwiana! Udawało jej się to długo, aż pojawił się Robert. To on wyzwolił w Iwonie jakieś nieznane dotąd pokłady pewności siebie i wiarę w spełnienie marzeń. Rozkwitła, osiągając mimochodem to, co Monika próbowała zdobyć od zawsze. To było niesprawiedliwe.

Jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do Roberta. Tym razem jej połączenie było odrzucane bez jakiegokolwiek komunikatu.

Zastanawiała się tylko chwilę. Poszła do kuchni i wyciągnęła wino z lodówki. Piekarnik miała wyłączony już od kwadransa, lasagne stała na drewnianej deseczce. Przykryła ją folią aluminiową, włożyła do plecionego koszyka, a obok postawiła butelkę. Skoro Robert nie chce przyjść do niej, ona wybierze się do niego. Może zapomniał, że ma przyjść. A może... umówił się z kimś jeszcze?

Po kilku minutach była na ulicy, której nazwę podał jej detektyw. Dobrze, że go wynajęła. Sama nie mogła śledzić Roberta i ustalić, gdzie teraz mieszka. A tak miała wszystko podane na

tacy.

Po chwili dzwoniła do drzwi. Poprawiła sukienkę i włosy, zerknęła na koszyk i sprawdziła, czy nic się nie poprzewracało. Gdy tylko usłyszała odgłos kroków po drugiej stronie drzwi, na twarz przywołała uwodzicielski uśmiech. Zniknął, gdy zobaczyła minę stojącego przed nią mężczyzny. Chwilę patrzył bez słowa, jakby zastanawiał się, czy cokolwiek powiedzieć. W końcu rzucił:

– Odepierz się raz na zawsze!

I zatrzasnął drzwi. Monika stała jak skamieniała, jakby dostała w twarz. I za co? Przyszła tylko go pocieszyć, przytulić, dodać nadziei. I za to wszystko została potraktowana jak szmata. Nie należy jej się taka zniewaga. Oj, nie należy...

**S**

– Robert? To naprawdę ty?

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się zaskoczony w Piotra. Po chwili na twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Witaj, Piotrze!

Uściskali się.

– Co tutaj robisz? Iwona i Zosia same w Pobierowie, a ciebie spotykam w składzie budowlanym. Jedziesz do swoich kobiet? – Piotr przyglądał się uważnie mężowi kuzynki. Nie wyglądał, jakby wybierał się na wypoczynek. Miał na sobie robocze ubranie. Tu też coś się nie zgadzało. Przecież Robert pracował w biurze. Ale może... – Czeka, czeka... Dziewczyny nad morzem, a ty zajmujesz się remontem mieszkania? No, brachu, pamiętam to wasze mieszkanie. Będzie teraz musiało pomieścić dwoje dzieci! Tylko czy musiałeś jechać aż do Kamienia Pomorskiego po materiały? Przecież w Szczecinie masz całe centra budowlane!

Robert naprawdę robił wszystko, aby zrozumieć cokolwiek z tego, co mówił Piotr. Przez chwilę nawet pomyślał, że pomylił się i innego mężczyznę wziął za kuzyna żony. Ale padło przecież imię Iwony i Zosi. O jakim remoncie ten człowiek mówi? O jakim drugim dziecku?

– Proszę, oto podpisane faktury. – Kasjerka podeszła do obu mężczyzn. – Szef doliczył także transport materiałów z waszej hurtowni do Kamienia. W ciągu tygodnia chcielibyśmy jeszcze raz taką dostawę. Pan będzie kierowcą czy ktoś inny? Wpisałabym już w dokumenty.

– Proszę mnie wpisać.

Gdy odeszła, Piotr spojrzał zdumiony.

– Czegoś tu nie rozumiem...

– Ja także. Jeżeli masz chwilę, to usiądźmy i pogadajmy.

Po chwili zajęli miejsca na ławeczce w pobliskim parku.

– Który zaczyna? – Piotr spojrzał na towarzysza. – Może ja. W Pobierowie jest Iwona z Zosią. Mama mówiła, że to dlatego, że obie potrzebują zdrowego powietrza. Szczególnie teraz, w przypadku twojej żony, dbanie o siebie jest jak najbardziej wskazane.

– Stop! – przerwał Robert. – Co ty sugerujesz? Już wcześniej wspomniałeś o drugim dziecku.

– No tak, przecież Iwona jest w ciąży.

– Słucham?

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, jakby widzieli się po raz pierwszy.

– Nie mów, że nie wiedziałeś – zaczął Piotr.

– Co dalej? – Robert machnął ręką, aby kontynuował.

– Nic dalej nie ma. Iwona codziennie przesiaduje w ogrodzie. Męczą ją straszne nudności. Moja mama zabiera Zosię na plażę, ja także raz się z nią wybrałem. A Iwona ciągle płacze i płaczliwa. Wiesz, kobiety mają różne ciążowe nastroje. Teraz widać jest czas depresji. To wszystko. Raczej ty wytłumacz, co robisz jako dostawca z hurtowni. Byłem pewien, że kupujesz materiały do remontu pokoju, ale ty je tu dostarczyłeś. Przecież pracujesz gdzie indziej!

Robert nie odpowiedział. Wstał z ławki i krążył, rozmyślając o czymś. Słowa Piotra już do niego nie docierały. Za to w głowie jak mantra powracała do niego rozmowa sprzed trzech tygodni. Iwona wiedziała, że jest w ciąży. Gdy ktoś doniósł jej, że stracił pracę, załamała się wizją kolejnego maluszka. Dlatego tak zareagowała! Ale gdyby tylko powiedziała mu, że jest

w ciąży, od razu przyznałby się do straty pracy. A może nie? Może jeszcze bardziej oszukiwałby Iwonę, nie chcąc narażać jej na stres? Tak czy siak, ją naraził. I to na jaki!

– Załatwiłeś wszystko? – zwrócił się nagle do Piotra.

Tamten przytaknął.

– No to jedziemy do Pobierowa. Nigdy nie byłem w domku twojej mamy, nie trafiłbym tam sam. Pojadę samochodem za tobą.

Po chwili byli w drodze.

## S

Ryszard zerkał na bawiącego się na piasku Antosia. Dzisiaj nie zeszli tak blisko linii brzegowej. Piasek był tam zbyt mokry. Chłopiec od wczoraj niebezpiecznie często łapał się za spodenki w okolicy krocza. Ryszard wiedział, co to oznacza... Gdy maluch zrobił to po raz kolejny, zbliżył się do niego i zapytał tak, aby nikt nie słyszał:

– Boli cię?

Antoś szybko potrząsnął główką. Nigdy się nie przyznawał, że coś jest nie tak. Ryszard zdawał się na swoje obserwacje. Znał już chłopca dość długo.

– Wrócimy dzisiaj wcześniej do pensjonatu – powiedział.

– Nie chcę, tu jest fajnie. – Antoś nie miał zamiaru rezygnować z zabawy, choć za siusiaka trzymał się już przez cały czas.

– Może przyjdziemy jeszcze po południu... Głowa mnie trochę boli, nie wziąłem czapki. Wiesz, że na słońcu nie wolno bez nakrycia.

– Wiem – niechętnie przyznał chłopczyk.

– Jak będziemy wracać, kupię ci lody, dobrze? – ostatnia propozycja rozwiązała problem.

Z trudem omijali leżące na piasku ciała. Jak szprotki w puszcze, upchane jedno obok drugiego. Ryszard kilkakrotnie widział niezadowolone miny dorosłych, którym przechodzący Antoś nasypał piasku na koce. Ich problem, mogli nie leżeć tak gęsto. Przez chwilę przypomniał sobie bliźniaków, gdy byli w wieku chłopca. Wtedy kultura plażowania była trochę inna. Ludzie cenili sobie prywatność i intymność. Od sąsiada oddzielał ich przyzwoity odstęp. Każdy czuł się wtedy dobrze. A teraz? Gdyby mogli, to jeden leżałby na drugim. Oczywiście, Ryszard mógłby wybrać się gdzieś dalej, ale Antoś był zmęczony chodzeniem. Dlatego wybierał najbliższe zejścia, a potem się irytował.

– Smakuje ci? – Lody kupili w pierwszej budce. Mieściła się naprzeciwko publicznej toalety, z której dolatywał nieprzyjemny zapach.

Antoś pokiwał główką, zlizując czekoladową warstwę. Na chwilę zapomniał o bólu.

Kwadrans później przekroczyli próg pensjonatu. Dzięki Bogu, zostawili otwarte okna. Tego dnia był wyjątkowy upał. W pokoju natomiast czekała na nich świeżość i rzeškość.

– Rozbierz się w łazience. Zaraz tam przyjdę – polecił Ryszard.

Antoś z ociąganiem wyszedł z pokoju. Mężczyzna dołączył do niego po chwili.

– Musimy ściągnąć kąpielówki.

Chłopiec się odsunął.

– Nie chcę – powiedział.

– Wiem, że cię boli. Ale zaraz, jak tylko ściągniemy, nasmaruję siusiaka maścią i po chwili przestanie boleć.

– Nie!

– Antosiu, musimy... Nie chcesz chyba pójść do lekarza? Zresztą tutaj nie ma naszej pani doktor. Chodź, pomogę ci zdjąć kąpielówki.

Ruszył w stronę chłopca, ale Antoś wywinął się i wbiegł do pokoju. Z łezkami w oczach stanął i zaczął krzyczeć:

– Nie chcę! Nie chcę, żebyś dotykał mi siusiaka! To mnie boli!

Zdążył powtórzyć to wszystko, nim Ryszard dopadł do okna. Zatrzasnął szyby i próbował uciszyć chłopca.

Siedząca w ogrodzie Iwona i przesadzająca obok niej kwiaty Matylda spojrzały na siebie ze

strachem.

– Cholera, podejrzewałam to! – powiedziała sołtyska do krewnej.

– Trzeba powiadomić policję – szepnęła Iwona z przerażeniem.

Po chwili obie wbiegały do domu.

– Posterunkowy Jaworski? – Matylda mówiła cicho do słuchawki. – Byłabym wdzięczna, gdyby pan raz jeszcze do mnie przyjechał. Tak, zaraz. Nie, w innej sprawie. Zgłaszam interwencję. Seksualne wykorzystanie małego chłopca... Kiedy? Teraz!

## S

– Nie masz jeszcze ochoty wracać do pensjonatu? – Jacek spojrział na Dorotę.

Spędziła dzisiaj dwie godziny, obserwując, jak nagrywa przeznaczony dla telewizji program o zdrowym trybie życia. Mało tego, siedziała i robiła sobie notatki. Teraz, gdy skończył, a ekipa pojechała do hotelu, został z nią sam. Lubił towarzystwo Doroty. Nie była nachalna jak inne kobiety, które go otaczały. Zawsze było wokół niego pełno przedstawicielek płci pięknej. Imponował im wyglądem, szarmanckim zachowaniem i popularnością. Miał za sobą trzy małżeństwa. Nie przewidywał kolejnego. Po ostatniej żonie zadowalał się wyłącznie przelotnymi związkami. Nie chciał z nikim wiązać się na stałe. Zresztą co to znaczy na stałe? Do następnego zauroczenia? W życiu nie ma żadnej pewności. Dzisiaj żyjemy, jutro nas nie ma.

Ta kobieta była inna. Przyjechała na wczasy z mężem, a ciągle widzi ją samą. Samotność w związku? Nie wyglądało na to. Gdyby tak było, zainteresowałyby się nim, Jackiem, jak każda inna. Dorota jednak nie przekraczała pewnych granic. Gdy zaczynał delikatny flirt, osadzała go od razu na miejscu. Kiedy w rozmowie wkraczał w sferę prywatności, szybko zmieniała temat na neutralny. Najczęściej mówili o zdrowiu i bieganiu. Cholera, miał ochotę na coś więcej! I to akurat z tą kobietą. Zdegradowała go do roli gwiazdy telewizyjnej, trenera i byłego sportowca, zapominając, że przede wszystkim jest mężczyzną. Dwukrotnie od niej starszym, ale wiek to w końcu tylko stan umysłu. Jego ciało nadal żyje! Miał tego doskonały dowód teraz, gdy przyszła w wyjątkowo krótkich spodenkach. Albo kusi go nieświadomie, albo taką strategię przyjęła. Nieprzystępna w dobie wszechobecnej dostępności i łatwości. Przez to jeszcze bardziej intrygowała i ciekawiła.

– Co robisz wieczorem? – zapytał, układając plan w głowie.

– Biegam – odparła z uśmiechem.

– W takim razie dołączę. O dwudziestej pierwszej? Czy później? Możemy dzisiaj biec w stronę Pustkowa, pod zachodzące słońce.

– Wczoraj bieg księżycowy, dzisiaj słoneczny... Czym mnie jeszcze zaskoczysz? Będę wieczorem – powiedziała. Zebrała notatki do niewielkiego plecaka i poszła.

Długo odprowadzał ją wzrokiem.

„Jeszcze zobaczysz...” – dodał w myślach.

## S

Aldona siedziała w poczekalni u miejscowego lekarza. Raz w tygodniu musiała wykonać podstawowe badanie krwi, aby być pewną, że może odpoczywać dalej bez zakłóceń. Wystarczy najmniejsze odstępstwo od normy, aby przerwać tę sielankę nad morzem.

– Mamo, czy to lalka? – spytał pięciolatek siedzący na krześle naprzeciw Aldony.

Spojrzała z zainteresowaniem na jego matkę, także oczekując odpowiedzi.

– Ta pani nie jest lalką, kochanie – kobieta zwróciła się do synka, głaszcząc jego blondwłosą czuprynę. – Jest za to bardzo pokrzywdzona przez los. Nie ma nóżki, ciężko jej chodzić i w ogóle żyć. Chodź, doktor nas wzywa.

Aldona miała ochotę sprostować słowa matki chłopca. Wcale nie czuła się ani pokrzywdzona przez los, ani nieszczęśliwa, ani rozżalona. Po prostu wyróżniała się tym, że zamiast nogi miała protezę. I to nie byle jaką! Wraz z rodzicami zakupiła nowoczesny, lekki model. Mało tego, znalazła odpowiednie na sztuczną nogę koronkowe podkolanówki.

Lubiła odsłaniać obie nogi. Bo i o protezie myślała jak o nodze. Jak inaczej mogła ją traktować? W końcu służy jej i zastępuje to, czego nie udało się uratować. Rano wybrała się na plażę. Nie mogła przebywać na ostrym słońcu, dlatego wybierała godziny przedpołudniowe na przesiadywanie na piasku. Nie było plażowicza, który nie obejrzałby się za nią ze współczuciem. Tak działał widok sztucznej nogi. Aldona była napiętnowana. Musiała być nieszczęśliwą kaleką, na którą patrzono z litością. Takie jest prawo zdrowych. Litość i współczucie.

Nie przejmowała się tym jednak, wykładając obie nogi na ciepłym, ale nie gorącym jeszcze piasku. Nie robiła tego w odległym zakątku czy gdzieś pod falochronami. Szła tam, gdzie była najbardziej widoczna. To w końcu problem ludzi, jak ją postrzegają.

Sama uważała się za szczęściarę. Przecież nowotwór mógł zaatakować w innym miejscu. Mógł zostać wykryty za późno i nie dawać szans na wyleczenie. Aldony mogło już nie być...

Żyła! Tylko bez jednej nogi. Właściwie jej kawałka. To tak, jakby była prawie stuprocentowa! Są amazonki, które nie mają piersi i też sobie radzą. Czy pierś, czy noga, wszystko jedno! Każdej z nich dostało się po dwie.

– Pani Aldono! – doktor wezwał zamyśloną pacjentkę.

Weszła do gabinetu. Jakże niewielki się wydawał w porównaniu z salami, które oglądała w ciągu ostatnich miesięcy. Sprzętutakże było malutko, zaledwie podstawowe urządzenia. Widać w tak małych miejscowościach ludzie nie potrzebują ich zbyt wiele.

– Proszę usiąść. – Lekarz wskazał jej krzesło przed biurkiem. Sam zerknął na położone trzy karteczki z wynikami krwi.

Przyglądał się im trochę zbyt długo. Aldona wiedziała, co to oznacza. Dlatego odezwała się pierwsza.

– Panie doktorze – zaczęła – proszę pozwolić mi mówić. Jestem dorosła i odpowiedzialna. Ale tym razem wolałabym, aby nie mówił mi pan, co widzi w cyferkach. Domyślam się, co tam jest. Pewnie badania wykazały kolejny stan zapalny i drastyczny spadek żelaza. To moje domysły i gdy nie zostaną potwierdzone przez pana, nie uwierzę w nie. Rozumie mnie pan? Badania wykonałam, bo muszę mieć ich potwierdzenie dla mojego lekarza prowadzącego. W żadnym innym przypadku nie psułabym sobie urlopu. Zróbmy tak... Ja po prostu wezmę od pana te kartki i schowam do torebki. Nie zerknę na nie, a pan nic nie powie. Pożegnamy się serdecznie. Ja spędzę w Pobierowie jeszcze kilka dni i wrócę do Wrocławia. Proszę mi tylko



nie psuć jednych z lepszych wakacji w moim życiu! Być może ostatnich...

Doktor Waldemar spojrzał z uwagą na nietypową pacjentkę. Rzeczywiście, miał zamiar ostrzec i zalecić kolejne badania. Skoro jednak za kilka dni wraca pod opiekę swojego lekarza, to może lepiej będzie, gdy spędzi beztrąsko urlop do końca.

Uśmiechnął się zatem i podał Aldonie kartki, które błyskawicznie schowała. Odpowiedziała mu uśmiechem, pożegnała się i wyszła z gabinetu.

Oddechnęła dopiero na chodniku. Będzie w Pobierowie jeszcze przez niecały tydzień. Mało czasu, aby znaleźć partnera odpowiedniego na ojca. Jedna szansa przeszła jej koło nosa. Musi zdać się na los.

## S

Kaczorowski mało przytomnym wzrokiem powiódł po pokoju. Kolejny dzień zaczynał od solidnego kaca. On i ten rudzielec leżący obok na łóżku opuszczali Przyjacielską nad ranem jako ostatni goście. Cholera, nie mógł przypomnieć sobie nawet jej imienia. A może takowego nie posiada? Zaraz, zaraz... Wszystkie rudzielce to albo Kaśki, albo Anki. Ruda Kaśka... Pasowało.

– Kasiu, przynieś mi szklanekę zimnej wody – zachrypiał, budząc śpiącą obok kobietę. Zamruczała coś. – Co mówisz? Nie dosłyszałem.

– Anka jestem – powiedziała wyraźniej. – Przypominam ci o tym po raz kolejny. Nie Kaśka, tylko Anka.

Co za różnica. Za godzinę znowu nazwie rudzielca Kaśką. Powinna się cieszyć, że on, poeta, zwrócił na nią uwagę. Stała się jego muzą. To wczorajszego wieczoru, po wielu miesiącach jałowego pisania, powstał wiersz, którego nie miał ochoty wyrzucić do kosza. Wreszcie wena wróciła. Wraz z tą rudą Kaśką czy Anką o ponętnych kształtach i całkiem biegłej w sztuce miłosnej. Tylko... trochę bardziej dociekliwej niż Zoja.

– Jako poeta jesteś goły? – śmiała się z niego pierwszego wieczoru. – Nie wierzę! Czasy gołodupców i przymierających głodem artystów bezpowrotnie minęły. A ty nie wyglądasz na życiowego nieudacznika.

Co miał odpowiedzieć? Rudzielec podobał mu się ogromnie. Takie świeże ciało, chętne i młode! Odparł, że czeka na zaliczkę za kolejny tomik. Rudowłosa fundowała zatem wspólne picie przez dwa wieczory.

– Dzisiaj musisz wrócić do siebie – podała mu szklanekę z wodą. – Kończymy zabawę.

– Słucham?

– Ogłuchłeś? Mąż przyjeżdża wieczorem. Musisz zniknąć. – Kobieta chodziła po pokoju, składając porozrzucane ubrania.

Tadeusz nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Przecież te dwa dni i dwie noce były całkiem fajne. Nawet gdzieś tam snuł wizję, że mógłby dłużej pociągnąć ową znajomość. Jaki zatem koniec? Przecież to on, Kaczorowski, ją wybrał. To do czegoś zobowiązuje!

– Może chociaż zjemy razem śniadanie? – Tylko takie głupie pytanie przyszło mu do głowy.

Ruda Anka roześmiała się niezbyt przyjemnie.

– Jest południe. Nie mam czasu na jedzenie, muszę ogarnąć mieszkanie. Poza tym to prędkiej obiad. Ale wiesz co... Jeżeli jesteś głodny... – Chwyciła leżącą na fotelu torebkę. Wyciągnęła z niej pięćdziesięciozłotowy banknot. Rzuciła go mężczyźnie na kolana. – Masz. To dla ciebie. Idź do jakiegoś baru.

Jakby dostał w twarz! Odrzucił z pogardą pieniądze. Zerwał się z łóżka, błyskawicznie ubrał, nie odzywając się ani słowem do rudej Anki. Ona zresztą nie zwracała na niego uwagi, zajęta układaniem rzeczy. Nuciała coś pod nosem, zadowolona. Tadeusz mógł dla niej nie istnieć. Te dwie noce zostały zapomniane w jednej chwili.

Wyszedł z jej mieszkania na sprażoną słońcem szczecińską ulicę. Przez chwilę musiał sobie przypomnieć, w której dokładnie części się znajduje. Aha, Gumieńce... Czyli musi wziąć taksówkę, aby dostać się do centrum. Nie będzie przecież tłukł się przepełnionym tramwajem.

– Taryfiarzu, poczekaj! – Zamachał ręką na ruszający z parkingu samochód. Kierowca posłusznie się zatrzymał. – Na Królowej Jadwigi.

Po dwudziestu minutach byli na miejscu.

– Zaraz do pana wróć, pójdę tylko do mieszkania po pieniądze. – Tadeusz otworzył drzwi, ale taksówkarz był szybszy.

– Nie ze mną takie numery! – powiedział, wysiadając pierwszy. – Trzeba było o kasie myśleć, zanim się mnie zatrzymało. Teraz idę z panem. Jak tylko coś będzie nie tak, od razu wzywam policję!

Kaczorowski machnął ręką. Przewrażliwiony taryfiarz. Przecież ma pieniądze. Są ukryte w pojemniku po kawie w kuchni Zoi. Nie zdążył jeszcze wszystkich wydać.

Wyciągnął z kieszeni klucze, aby dostać się do środka. Cholera, chyba zaciął się zamek. Tadeusz spojrział zaskoczony na pęk, który trzymał w dłoni. Nie ma innego klucza! Ten jest od mieszkania! Nie mógł się pomylić! Chyba ze zdenerwowania nie wziął kluczy tej rudej Anki czy Kaśki? Nie, na tym pęku jest charakterystyczny breloczek z widokiem Szczecina. Zoja go przyczepiła. Spróbował raz jeszcze. Nic. Jakby stał przed obcymi drzwiami.

– Co jest? – spytał zdenerwowany sam siebie.

– Czuję, że tak będzie! – Patrzący na wszystko taksówkarz się rozżłościł. – Dzień bez próbującego oszukać klienta jest dniem straconym. Proszę, idziemy do samochodu i jedziemy na komisariat.

Kaczorowski nie reagował, usiłując kolejny raz bezskutecznie włożyć klucz do dziurki. Mamrotał pod nosem jakieś mało przyjazne słowa.

– Proszę o chwilę cierpliwości, zaraz na pewno wejdziemy do środka.

Nie weszli. Klucz nie pasował do zamka. Dodatkowo nerwowość Tadeusza sprawiała, że klucze wypadły mu z rąk i z metalicznym brzękiem znalazły się na podłodze.

– Dostyc! Ma pan czym zapłacić za kurs? – taksówkarz spojrział na niego groźnie.

– Chwila! Zaraz wszystko...

– Żadne zaraz! – rozżłościł się kierowca. – Idziemy na dół i jedziemy na komisariat!

– Czy pan zwariował? Nawet jeżeli nie mogę od razu zapłacić, to cała jazda kosztowała najwyżej 15 złotych. O to pan chce kruszyć kopie i ciągnąć mnie na komisariat? Śmiechu warte! Nie można wymagać inteligencji od taksiarza.

– Na dół, patałachu! – Mężczyzna popchnął Kaczorowskiego w stronę schodów. – Cholera, zawsze trafiają się tacy klienci.

– Nigdzie mnie stąd nie wyciągniesz! Jedynie siłą! – Poeta chwycił poręcz. Nieopatrznie jednak źle postawił nogę i z całym impetem stoczył się po schodach.

– Jeszcze tego brakowało! – Taksówkarz ruszył za nim. Kaczorowski leżał bez ruchu. Kierowca ze strachem spojrział na bezwładne ciało. Wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił po pogotowie...

## S

– Proszę otworzyć drzwi! – posterunkowy Jaworski, otoczony trzema kobietami, automatycznie wyprostował plecy i podniósł głos. Za nim stały przerażone Matylda i Iwona. Chwilę wcześniej dołączyła do nich Zoja, która postanowiła popołudniową przerwę spędzić w pensjonacie. Teraz z ciekawością i przestachem przyglądała się nietypowej scenie. Nikt jeszcze nie wytłumaczył jej, co się tu dzieje.

– W razie czego mam klucz. – Matylda potrząsnęła pękiem. Zawsze trzymała zapasowe klucze przy sobie, na wszelki wypadek.

– Chyba nie będzie potrzebny – odpowiedziała Iwona.

Rzeczywiście, zza drzwi dały się słyszeć kroki, a po chwili przed zgromadzonym towarzystwem stanął Ryszard Nawrocki.

– Państwo do mnie? – spytał zaskoczony, widząc i funkcjonariusza, i właścicielkę pensjonatu. – Stało się coś?

– Czy jest z panem mały chłopiec? – Jaworski przybrał służbowy ton.

– Tak, Antoś.

– Proszę go zawołać.

Nie trzeba było, bo zwabiony okrzykami malec sam wyszedł z pokoju. Miał zapłakane oczy i smarki rozmazane na twarzy.

Policjant pochylił się nad nim, a wszystkie trzy kobiety nie ukrywały wrogości do Ryszarda.

– Jesteś Antoś, prawda?

– Tak – zachlipał chłopiec.

– Czy ten pan jest twoim dziadkiem?

Antoś milczał, a potem pokręcił przecząco głową. Matylda wstrzymała oddech. Czego jeszcze za chwilę się dowiedzą?

– Czy ten pan dotykał cię przed chwilą tam, gdzie nie powinien? – Jaworski popatrzył uważnie na malca.

– Pan pozwoli, że wyjaśnię. Zaszło pewne nieporozumienie... – zaczął Ryszard, ale urwał, zgromiony spojrzeniem trzech kobiet.

– Ryszard kazał mi ściągnąć majteczki, ale ja nie chciałem – powiedział Antoś, pociągając nosem. Iwona wydała zduszony krzyk, zakrywając usta dłonią.

– Co chciał zrobić? – drążył policjant.

– Posmarować mi siusiaka. – Chłopiec oskarżycielsko spojrzał na swojego opiekuna. Ten stał ze zrezygnowaną miną.

– To nie to, co myślicie – zaczął, ale Jaworski przerwał mu ruchem dłoni.

– Poproszę pana dowód osobisty.

Gdy otrzymał dokument, wyciągnął krótkofalówkę i połączył się z dyżurką.

– Proszę o sprawdzenie mi podejrzanego Ryszarda Nawrockiego, zamieszkałego w Szczecinie...

Zoja momentalnie pobladła. Wiedziała już, skąd zna twarz Ryszarda! Gdy tylko usłyszała jego nazwisko, otworzyła jej się w głowie odpowiednia szufladka. Szufladka, która od lat była solidnie zamknięta. Wspomnienia wróciły z taką mocą, że wycofała się cichutko do swojego pokoju.

– Nie jest notowany? Dobrze, dziękuję – policjant zakończył rozmowę. Po chwili ponownie zwrócił się do Antosia: – Czy ten pan chciał zrobić ci krzywdę?

– Tak! Wie, że nie lubię być smarowany i że to mnie boli!

Matylda i Iwona stały jak skamieniałe.

– Pokażesz mi, czym miałeś być posmarowany?

Antoś poszedł do łazienki. Po chwili wrócił z niej, niosąc w ręku maść.

– Kute... – czytał funkcjonariusz. – Maść sterydowa, przeznaczona na stany zapalne żołądki i napletka. Chłopiec na coś choruje?

To ostatnie pytanie było zadane już znacznie łagodniejszym tonem.

– Tak, ma nerczycę. Choruje na nią praktycznie od urodzenia. Nie chodzi do przedszkola, ja się nim zajmuję. Pilnuję też jego specjalnej diety. Teraz przyplątało się zapalenie napletka. Często nawraca. Muszę smarować mu siusiaka specjalną maścią, aby go szybko wyleczyć. Antoś nie chce, abym to robił, bo boli go odciąganie skórki. Czy mam wytłumaczyć coś jeszcze?

Matylda stała z pochyloną głową, Iwona poczerwieniała.

– Yyy... Czyli jest pan prawnym opiekunem chłopca? – zapytał Jaworski.

– Prawnym nie. Zatrudniła mnie jego mama. Jestem nianią, mówiąc najprościej.

– Poproszę o numer telefonu do mamy chłopca.

Chwilę później policjant rozmawiał z Agatą Chmiel. Potwierdziła wszystkie informacje.

– Cóż, w takim razie cieszę się, że wszystko się wyjaśniło – chrząknął policjant.

– Nie jestem już zatem podejrzany? – Ryszard użył słowa, które najbardziej go zabolalo.

– Nie – potwierdził Jaworski. – Musiałem jednak zweryfikować otrzymaną informację. Wszystko wskazywało na to, że chłopcu grozi niebezpieczeństwo. Dobrze, że pani Matylda po nas zadzwoniła. Lepiej wszystko wyjaśnić niż zlekceważyć. Dziękuję państwu!

Zasalutował i odszedł.

– Panie Ryszardzie... – zaczęła Matylda. – Krzyki Antosia sugerowały, że...

Mężczyzna machnął ręką.

– Czuję, że wszystko może się tak skończyć – powiedział. – To nietypowe, że obcy mężczyzna jest zatrudniony jako opiekun. Dlatego prosiłem Antosia, aby mówił do mnie „dziadku”. Nie wzbudzałoby to podejrzeń.

– Przyznam się teraz do czegoś: Antoś kilka dni temu wyjawiał Zosi, że nie jest pan jego dziadkiem. Dlatego zaczęłam tak wszędzie z wami chodzić, aby mieć pana na oku i czuwać nad bezpieczeństwem dzieci. Przepraszam za podejrzenia. Tyle się mówi o wykorzystywaniu najmłodszych, że... Sam pan rozumie. Wszystko wskazywało na molestowanie.

Ryszard z trudem przywołał uśmiech na twarz. I jego ta sytuacja kosztowała sporo nerwów.

– Dajmy już temu spokój.

– Tak się zastanawiam... – tym razem odezwała się Iwona. – Czy nie lepiej tego siusiaka spróbować przemyć rivanolem? Działa równie skutecznie. Może ta maść sprawia Antosowi dyskomfort? Jest gorąco, ciężka maść na siusiaku, spocone bokserki i piasek z plaży. To zapewne nie jest wygodne. Matyldo, masz rivanol?

– Tak, jest w łazience na dole.

– Pójdę po niego.

Po chwili Iwona stała przed szafką wypełnioną równiutko ustawionymi lekarstwami. Rivanol stał na przodzie. Sięgnęła po buteleczkę i watę. Już miała wchodzić po schodach, gdy do domu wpadła Zosia.

– Mamo, mamusiu! – wrzeszczała jak opętana, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha. –  
Wujek Piotrek wrócił!

– To dobrze – odparła lekko zaskoczona euforią córki Iwona.

– Tak, ale nie przyjechał sam, jest z tatą!

**S**

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Proboszcz spojrział na pracownika przysłanego przez gminę. Mężczyzna nie miał jednak wątpliwości.

– Najlepszy z możliwych. Nie będziemy zawalać i tak pełnego śmietnika, a kwiaty doskonale rozłożą się jako nawóz. Zresztą takie polecenie otrzymałem od przełożonych. A cmentarz jest komunalny. Przyszedłem księdza tylko poinformować.

– No, dobrze. – Mina wielebnego Zygmunta nadal była sceptyczna. – Proszę tylko zostawić wszystko w należyтым porządku. Muszę zaraz wyjechać i nie będzie mnie przez kilka godzin. Możliwe, że wrócę dopiero jutro rano, krótko przed mszą. Chciałbym mieć pewność, że ludzie odwiedzający cmentarz mogą robić to w bezpieczny sposób.

– Spoko wodza! – Pracownik roześmiał się, ukazując puste miejsce po brakującym na przedzie zębie. – Słowo honoru, jakem Franek!

Ksiądz nie chciał polemizować z takim zapewnieniem. W duchu zmówił modlitwę, pożegnał się z mężczyzną i poszedł do siebie.

Franek stał chwilę, patrząc na pobierowski cmentarz. Od kościoła wiodła do niego niewielka asfaltowa dróżka. Mężczyzna otworzył bramę i przejechał przez nią koparką. Manewrował między grobami, aż znalazł się na otwartej przestrzeni. Teren opadał dość gwałtownie. Groby znajdowały się na górcie, ale przybywało ich z miesiąca na miesiąc. Jeszcze trochę i ludzie będą chowani na spadzie górki. Jednak zanim to nastąpi...

Franek wypalił papierosa. W ciągu minionego tygodnia odbyły się tutaj trzy pochówki. Kwiaty i wieńce gnily, znicze walały się wokół grobów. Dostał polecenie, aby zająć się tą sprawą. Śmietnik przepełniony, nic już do niego nie wejdzie, a śmieciara przyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu. Szef kazał mu coś wymyślić. Wpadł więc na pomysł, że wykopie dół na zboczu wzgórzka i powrzuca tam gnijące kwiaty i wszystkie rzeczy, mogące posłużyć jako kompost. Zasypie potem dół i będzie po sprawie.

Rzucił peta na ziemię i zabrał się do kopania. Szło mu całkiem nieźle. Spodziewał się gliny, tak jak w każdym innym miejscu Pobierowa, a tu niespodzianka: prawdziwa ziemia! Fantastycznie się pracowało.

Po półgodzinie miał gotowy dół. Wyłączył maszynę i spojrział na efekt pracy. Wykop był wielkości dorosłego człowieka, w sam raz na wiechcie. Franek dotknął wykopanej ziemi. Dobra jest! Że też umarlaki muszą leżeć na takim wspaniałym terenie. Żona od wielu tygodni narzeka, że w ich ogrodzie nie chce nic rosnąć, poza odpornymi i mocno ukorzenionymi roślinami.

– Piach mamy, a nie ziemię – narzekała, wyrzucając kolejny zmarnowany kwiat.

Kupno torfu nie wchodziło w rachubę. Był zbyt drogi. Na cały ogród potrzebowaliby kilkanaście worków. A tu, na cmentarzu, ziemia za darmo...

Nie zastanawiał się dłużej. Wyciągnął telefon.

– Helka? Weź kilka worków, łopatę i przyjeźdź na cmentarz. Mam ziemię do ogrodu.

Kwadrans później oboje ładowali czarne podłoże do worków. Zadowolona Helka trajkotała, jakie kwiaty posadzi, gdy tylko rozsypią ją u siebie.

– Nie tylko kwiaty! Szczaw, zioła, trochę malin – wyliczała. Po chwili spoważniała. – Ale jak ty zasypiesz ten dół? Przecież nie może zostać dziura na cmentarzu.

Franek chwilę drapał się po głowie.

– Jak wrzucę do niego wszystkie wiechcie, to będzie prawie wypełniony... – powiedział. –

Nie trzeba dużo do zasypania. Zadzwonię do Mariana i zapytam, czy nie podwiózłby mi później trochę piachu.

– Dobra. – Szczęśliwa Helka wsiadła do załadowanego workami dostawczaka. – Jadę do domu.

Franek wrócił do wykopanego dołu. Może lepiej będzie najpierw wrzucić do niego znicze? Było ich sporo, ułożonych w dużą stertę obok śmietnika, do którego już się nie mieściły. Wiedział, że nie powinien tego robić, bo plastikowe rzeczy pozostają w ziemi praktycznie na zawsze, a dół wykopał z przeznaczeniem na kompost. Ale te znicze także zajmą sporo miejsca... Narzuci na nie zielone wiechcie i wszystko będzie w porządku. Potem tylko trochę piachu na wierzch i dół zostanie zasypany. Może nawet nie będzie potrzebował pomocy Mariana... Zabierze trochę ziemi z nowych grobów.

Krążył w upale, w rękach przenosząc połamane znicze. Żałował, że nie pomyślał o jakimś wiaderku lub taczce. Szybko się zmęczył. Przysiadł na chwilę, aby odpocząć. Wtedy zadzwonił telefon.

– Tak, Marian? – zobaczył na wyświetlaczu numer kolegi. – Miałem do ciebie dzwonić, czy nie użyczyłbyś mi trochę piachu ze swojej budowy.

– He, he, a bierz sobie. Ale dopiero jutro. Dzisiaj zapraszam cię do siebie na grilla! Weź Helkę i przyjeżdżajcie, najlepiej od razu. W końcu już piętnasta, czas skończyć pracę.

Wizja popołudnia była niezwykle kusząca.

– Będziemy za pół godziny – powiedział Franek i się rozłączył.

Zerknął na dół. Wypełniony był ostrymi plastikowymi i szklanymi częściami. Dzisiaj już nie powrzuca do niego wiechci. Zrobi to jutro rano. A co! Też ma prawo do odpoczynku i piwa. Dobrze, że ksiądz wyjechał. Nic nie zauważy. Żadni ludzie nie powinni też się włóczyć dzisiejszego wieczoru po cmentarzu. Zresztą każdy na pewno dostrzeże dół. Szkoda, że nie pomyślał o czerwono-białej taśmie ostrzegającej. Następnym razem będzie ją woził w koparce.

Franek wypalił jeszcze jednego papierosa, wsiadł do koparki i pojechał. Zapowiadał się dobry wieczór.

## S



Anna Kosmała nigdy nie była pewna, ile z tego, co mówi, dociera do Brunona. Patrzył na nią wzrokiem niezdradzającym kompletnie niczego. Nie mówił nic, po prostu słuchał.

– Do jutra będziesz sam z tatusiem – tłumaczyła. – Muszę pojechać do cioci Agaty, do Gryfic. Wrócę dopiero w sobotę przed południem.

Brunon nadal nic nie mówił.

– Wieczorem pójdziecie na spacer z psem, ale niezbyt daleko. Jutro, jak będziesz miał ochotę, zabiorę cię na gofry. – Anna uważnie patrzyła na syna.

– Wrócisz, gdy słońce będzie wysoko na górze? – zapytał niespodziewanie.

Wiedziała, że nigdy nie pojmie świata ludzi autystycznych, choć miała z nim od tylu lat do czynienia. Gdy Brunon miał dziesięć lat, nauczyła go najprostszego odczytywania godzin na zegarze. Pojął wszystko, wolał jednak ocenianie czasu opierać na wiedzy znanej od tysięcy lat. Słońce wysoko w górze oznaczało południe.

– Tak, wtedy będę – przytuliła syna. – Przyjeżdżam o dwunastej dziesiątej.

Chłopak miał niesamowity zmysł obserwacji, rozwinięty znacznie mocniej niż u ludzi zdrowych. Zadziwiał ją nieustannie. Wiedziała, że Brunon zjawi się jutro, punktualnie, na dworcu autobusowym. Będzie orientował się wyłącznie po znakach, jakie daje natura. Bez zegarka, bez pytania kogokolwiek o godzinę. Miała naprawdę wyjątkowego syna.

– Pamiętaj, słuchaj tatusia i nie oddalaj się z domu po zmroku – zastrzegła.

Brunon nadal wpatrywał się w nią wzrokiem, z którego nie potrafiła nic wyczytać. Chyba jednak jest przewrażliwiona. Nic się do jutra nie stanie. Nie będzie jej zaledwie kilka godzin, w tym noc, którą syn na pewno dobrze prześpi. Musiała koniecznie jechać do Agaty, bo ta złamała nogę i potrzebna jej była pomoc.

– Pa, synku. – Pocałowała Brunona w czoło i poszła na dworzec.

## S

– Co tu robisz? – spytała Iwona, gdy wreszcie zostali sami w pokoju. Starła się, aby głos nie drżał jej zbyt mocno. Nie udało się. Emocje aż w niej wrzały. Złość mieszała się z dziwną radością, że znowu go widzi i dostrzega udrękę na twarzy męża. Żal przeplatał się ze szczęściem, że je odnalazł. Po chwili jednak wróciły wspomnienia sprzed kilku tygodni. Po szczęściu nie pozostał nawet ślad.

– Byłem niedaleko, w Kamieniu Pomorskim. Postanowiłem przyjechać i was zobaczyć. – Robert intensywnie wpatrywał się w twarz żony.

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

Milczał.

– Kto ci powiedział? Ona?

– Tak. Zadzwoiła i powiedziała, że tu jesteście. Że tęskni za mną, że ty płaczesz i jesteś smutna – Robert przypomniał sobie każde słowo z telefonu córki.

– Jak śmiesz?! Po tym wszystkim przyjeżdżasz tu, jakby nigdy nic? Skąd ona wie, że płaczę i jestem smutna?

Mężczyzna spojrzał zaskoczony.

– Jak to skąd? Przecież codziennie cię obserwuje.

Iwona wyjrzała przez okno.

– Jest w pensjonacie naprzeciwko? Bezczelna!

Robert stał z głupim wyrazem twarzy.

– Iwonko, nie rozumiem... Kto bezczelny? Zosia?

– Nie mieszaj w to naszego dziecka! Tamta jest bezczelna!

– Jaka tamta?

– Monika! – To imię z trudem przeszło jej przez gardło.

Mężczyzna wpatrywał się w żonę kompletnie ogłupiały.

– Nie wiem, co twoja kuzynka ma z tym wszystkim wspólnego, ale najlepiej będzie, jak wrócimy do rozmowy sprzed trzech tygodni.

„Co ma wspólnego? Wiele! To ją wybrałeś, to z nią chcesz ułożyć sobie życie. To w jej łóżku sypiasz!” – chciała krzyknąć Iwona, ale patrząc na Roberta, powstrzymała się. Wszystko mogła usłyszeć Zosia, bawiąca się w ogrodzie z Antosiem.

– Jeszcze lepiej będzie, gdy wrócimy do kwietnia. Jak już wiesz, to wtedy straciłem pracę – zaczął.

Iwona wpatrywała się w niego oczami okrągłymi ze zdumienia. Przysiadła na sofie, bo miała wrażenie, że nogi zaraz odmówią jej posłuszeństwa. Kolejne tajemnice wychodzą na światło dzienne?

– Nie wiedziałem, jak ci o wszystkim powiedzieć... W firmie źle działało się od dłuższego czasu. Najpierw okrojono mi pensję, ale dorabiałem zleceniami. Odkładałem pieniądze na nasz wakacyjny wyjazd. Pamiętasz, jak ty i Zosia cieszyłyście się na samą myśl o Francji? Nie mógłbym was rozczarować. Gdy w kwietniu zostałem wezwany na rozmowę, spodziewałem się kolejnej obniżki uposażenia i tłumaczeń szefa, że to chwilowe. Nie myślałem jednak, że firma upadnie. Praktycznie z dnia na dzień moje stanowisko zostało zlikwidowane. Gdybym ci to wtedy powiedział, od razu chciałabyś zrezygnować z podróży.

– Co było dalej? – spytała cicho Iwona. Próbowwała jakoś ułożyć w głowie zasłyszane przed chwilą wiadomości.

– Cóż, wychodziłem z domu tak, jak zawsze wychodziłbym do pracy, i jeździłem na budowę. Podłapałem fuchę. Musiałem przecież coś robić, prawda? – Robert zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – Co kilka dni ganiałem do pośredniaka i korzystałem z ich kafejki internetowej, wysyłając kolejne CV i aplikacje. Bez efektu. Potem dowiedziałaś się jakimś cudem o wszystkim...

Kobieta patrzyła na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Niczego się nie dowiedziałam! Po raz pierwszy słyszę to od ciebie!

– Musiałaś wiedzieć. Gdy wróciłem wtedy z pracy, spytałaś przecież, jak długo to wszystko trwa. Miałaś tyle pogardy i żalu w głosie, że nie chciało mi się niczego tłumaczyć. Miałaś prawo do takiego zachowania. Powinienem utrzymywać rodzinę i dbać o nią, jak każdy prawdziwy facet. Poza tym, jak mogłem ci się przyznać, że pracuję fizycznie? Że garnitur zamieniłem na ciuchy robocze i ręce mam poniszczone od zaprawy? To zajęcie i tak szybko się skończyło. Gdy wyszedłem wtedy z domu, wprowadziłem się na kilka dni do Krzyśka. Dwa tygodnie temu dostałem lepszą posadę. Jestem magazynierem w hurtowni. Nadal szukam zajęcia w moim zawodzie, ale nie mogę tylko siedzieć i czekać. Muszę zarabiać na was. Na nas! Rozumiem doskonale, dlaczego nie odbierałaś ode mnie telefonów. Oszukałem cię... Jednak najbardziej było mi przykro, że ograniczyłaś mi kontakty z Zosią. Czuję się, jakbyś wyrwała mi połowę serca. – Robert stanął przy oknie, aby Iwona nie widziała płynących mu po twarzy łez. Bawiąca się niedaleko okna dziewczynka zauważyła ojca i pomachała do niego ręką.

– Dlaczego nie zamieszkałaś z Moniką? – zadała pytanie cisnące się jej na usta od dłuższego czasu.

– Z Moniką? Po co? – spytał, szczerze zaskoczony.

– Była jedynie do łóżka, tak? Nic nieznacząca przygoda? Jednorazowy wybryk? Co chcesz mi wmówić? – Iwona nie mogła już się powstrzymać, płakała i krzyczała.

– Kochanie, o czym ty mówisz? Nigdy nie spałem z twoją kuzynką! Nigdy nie było innej kobiety poza tobą! Owszem, wiem, że jej się podobałem, ale jesteś dla mnie wszystkim! Wczoraj Monika dzwoniła i prosiła, abym przyjechał do niej wieczorem. Podobno kontaktowałaś się z nią i powiedziałaś, że jesteś na południu Polski. Normalnie rzuciłbym wszystko i zjawił się u niej, wypytyjąc, w jakim nastroju dzwoniłaś, jaki miałaś głos, czy coś jeszcze powiedziałaś. Przecież nie reagowałaś na moje telefony. Jednak gdy z komórki Matyldy zadzwoniła Zosia i powiedziała, że jesteście w Pobierowie, zrozumiałem, że Monika chce tylko ściągnąć mnie do siebie. Nie pojechałem ani nie odbierałem telefonów od niej. Sama zjawiła się u mnie późnym wieczorem, wystrojona jak na randkę. Zawsze starała się wykorzystywać momenty jakiegokolwiek słabości pomiędzy nami.

Iwona patrzyła na męża, a łzy nadal leciały jej z oczu.

– Nie wiem, komu wierzyć – szlochała. – Monika powiedziała, że z nią sypiasz.

Robert aż przysiadł.

– Co? Co ci powiedziała? Że ja i ona sypiamy? – pytał.

– Nie powiedziała tego wprost. Wracałam wtedy z pracy, ona zatrzymała mnie przed klatką i stwierdziła triumfująco, że nie ma rzesistka. Mogła się o tym dowiedzieć tylko od ciebie.

– Nic jej nie mówiłem... Wierzysz mi?

– Robert, nie wiem. Przed Moniką był przecież jeszcze ktoś... Na tym wyjeździe służbowym

dwa lata temu. Już wtedy miałam podstawę, aby zakończyć nasze małżeństwo, ale przekonała mnie, że był to zapewne jednorazowy wybryk. Długo wracałam do siebie po tym, jak dostałam tamten anonimowy list – szłochała Iwona.

– List? O mojej rzekomej zdradzie? – Robertowi ciężko było uwierzyć w to, co słyszy. – Przecież byłem wtedy sam! Chyba nigdy nie prowadziłem tak trudnych rozmów z kontrahentem. Dwa dni siedziałem po dwanaście godzin w jego biurze i gdy wracałem do hotelu, padałem na łóżko. I kto niby ci wysłał ten list?

– Nie było podpisu. Sugerował, że z tobą pracuje. Robert, co jest prawdą? I dlaczego pojawiło się nagle tyle niedomówień? – Iwona spojrzała bezradnie na męża. Miała ochotę i przytulić się, i uciekać daleko. W tym momencie nie była już niczego pewna.

– I ty to mówisz? Kiedy zamierzałaś powiedzieć mi, że jesteś w ciąży? Jak cię znam, trzymałabyś to w sobie najdłużej, jak się da. Czy to byłoby wobec mnie w porządku? Taki brak szczerości? – Tym razem to Robert nie ukrywał łez. Płakał otwarcie, nad sobą, nad Iwoną, nad tym, co zataili i do czego to wszystko doprowadziło.

Nie mogła się powstrzymać. Podeszła do męża i go przytuliła. Łkali teraz oboje.

– Jak ty się w ogóle czujesz? Który to tydzień? – spytał w końcu Robert, delikatnie dotykając brzucha Iwony. – Boże mój, ile strachu musiałaś się najeść w ostatnich dniach.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Koniec drugiego miesiąca. Rzygam jak kot. Schudłam, nie chce mi się w ogóle jeść. Chociaż w tym momencie poczułam ogromną ochotę...

– Na rybę? – spytał Robert. Z niedalekiej smażalni doleciał ich cudowny zapach smażonej flądry.

– Nie, na szaszłyk.

– To chodź, zabiorę cię na obiad – zaczął Robert, ale mu przerwała:

– Nie, kochanie. Matylda zrobiła barszcz z botwinki. Ugotowała cały garnek. Nie możemy sobie pozwolić na rozrzutność. Nie mówię tego, aby ci dokuczyć. Przyjdzie znowu czas, że stanjemy na nogi, znajdziesz lepszą pracę i wszystko się ułoży. Nie wiem tylko, co począć z Moniką. Wyrządziła tyle złego...

– Zawsze taka była – odezwał się ktoś z zewnątrz. Okazało się, że to Matylda. – Wybaczcie, ale was podsłuchiwałam... Monika, odkąd pojawiłaś się w jej życiu, była o ciebie zazdrosna, choć starała się to maskować. Jej zauroczenie Robertem było doskonale widoczne na waszym ślubie. Upiła się szybko i niemalże do nieprzytomności. Pamiętacie?

Pokiwali głowami. Oboje stali teraz przy oknie.

– Zapewne każde z was znalazło sobie w niej powierniczkę. Nic dziwnego, w końcu mieszkacie jedno nad drugim i jesteście sobie bliscy. Wykorzystała to. Żadne z was nawet nie pomyślało, aby zweryfikować z drugą stroną to, co mówi Monika. Wszak brzmiało sensownie.

– Teraz jestem stuprocentowo pewna, że to ona wysłała list o zdradzie Roberta. Potem, gdy wypłakiwałam się na jej ramieniu, doradzała, żebym cię nie zostawiała, bo mamy Zosię.

– To wtedy stałaś się dla mnie taka chłodna – powiedział mężczyzna, przytulając żonę. – Gdy zwierzyłem się z tego Monice, przypominała twoje trudne dzieciństwo i skłonność do depresji.

– Chciała mieć kontrolę nad waszym małżeństwem, aby w pewnym momencie wykorzystać to do swoich celów – podsumowała Matylda. – Próbowała cię kiedyś uwieść?

Pytanie było tak bezpośrednie, że zaskoczyło oboje.

– Tak – przyznał Robert.

– I nic mi nie powiedziałaś? – spytała Iwona.

– Uwierzyłybyś mu? – odpowiedziała pytaniem Matylda.

– Nie wiem...

– No, właśnie. Wiecie co, najlepsza będzie metoda konfrontacji. Musicie oboje z nią porozmawiać. – Ciotka spojrzała na zegarek. – Jest siedemnasta. Na dojazd do Szczecina potrzebujecie godzinę. Chodźcie, zjecie zupę i możecie jechać.

Patrzyli po sobie niezdecydowanie.

– Zosią zajmę się ja. Obiecała mi pomóc lepić pierogi. Mamy tyle barszczu, że jedzenia starczy nam na cały weekend. A wy pozałatwiajcie to, co musicie. Nie traćcie już więcej czasu. I tak zbyt dużo go wam uciekło. Jutro jest sobota. Robert, zapewne nie musisz iść do pracy, więc pobądźcie trochę sami. Bez Zosi. Porozmawiajcie, pospacerujcie, pomyślcie, ale tylko we dwoje.

Małżeństwo popatrzyło po sobie.

– Taka chwila intymności nieprędko wam się zdarzy – dodała Matylda.

– Dobrze – postanowiła Iwona. – W niedzielę po południu Robert przywiezie mnie tutaj z powrotem. W poniedziałek musi być w pracy.

Chwilę później wszyscy siedzieli przy kuchennym stole. Zosia była szczęśliwa, widząc rodziców znowu razem. Mina trochę jej zrzedła, gdy dowiedziała się, że na weekend zostanie sama w Pobierowie, ale Matylda szybko przekupiła ją wizją spędzenia na plaży całego dnia i wspólnego robienia pierogów.

– Czy Antoś może nam pomagać? – zapytała dziewczynka.

– Naturalnie!

Kwadrans później obie machały odjeżdżającym rodzicom.

## S

Aldona spacerowała uliczkami Pobierowa. Nie interesowały jej stragany, budki z lodami ani biżuteria, sprzedawana przez ulicznych artystów. Patrzyła wyłącznie na mężczyzn. Szukała wzrokiem ich spojrzeń, sugerujących, że z taką kobietą chętnie by się przespali. Wyłapała ich kilkanaście! Zainteresowanie jednak mijało, gdy spuszczała wzrok i widzieli protezę. Aldona momentalnie zaczynała być postrzegana jako pokrzywdzona przez los kaleka, a nie piękna kobieta. Jeszcze trochę i będzie zakładać długie spodnie.

Trudno, spróbuje jutro. I pojutrze. Może się uda...

**S**

„Zoja? Dlaczego nie odbierasz ode mnie telefonów? Miałem wypadek i jestem w szpitalu na Arkońskiej! Strasznie boli mnie głowa, a oni żądają ode mnie jakichś formalności. Nie wiem, jak je załatwić, a ciebie nie ma. Zoja, jesteś mi potrzebna... Liczę na ciebie! Oddzwon!” – Odsłuchiwała wiadomość pozostawioną na automatycznej sekretarce. Na czas pracy wyłączała aparat, ale teraz wracała do pensjonatu i mogła go włączyć.

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Tadeusza. Miał wypadek i potrzebował jej pomocy. Przecież nie może go zostawić w potrzebie. Ale po chwili przyszło otrzeźwienie. Poniżał ją, wykorzystywał i prawdopodobnie zdradzał z inną kobietą. Może niejednokrotnie? Nawet nie miała ochoty dowiadywać się szczegółów.

– Masz książkę telefoniczną? – spytała Matyldę, gdy tylko weszła do pensjonatu.

– Tak, leży na stoliku w przedpokoju. Jeżeli chcesz prowadzić rozmowę lokalną, dzwoni z telefonu stacjonarnego. Mam darmowe połączenia.

Zoja szybko odszukała numer szpitala i po chwili rozmawiała z kimś z dyżurki.

– Dobry wieczór, tu Zoja Rodziewicz. Dzisiaj trafił do szpitala... mój brat, Tadeusz Kaczorowski. Chciałam wiedzieć, jak się czuje.

– Proszę chwileczkę poczekać, przełączę na oddział.

Kilka minut później Zoja powtarzała wszystko pielęgniarce.

– Tadeusz Kaczorowski... Tak. Przywieziono go do nas kilka godzin temu. Ma ogólne potłuczenia, jak to przy upadku ze schodów. Lekkie wstrząśnienie mózgu. Zostawiliśmy go na obserwacji, choć właściwie powinien trzeźwieć gdzie indziej. Miał 0,7 promila we krwi. Ale największym problemem jest coś innego.

Zoja wstrzymała oddech.

– Pacjent nie ma ubezpieczenia. Jako osoba pod wpływem alkoholu nie będzie mógł liczyć na żadną taryfę ulgową. Przyjdzie duży rachunek za pobyt w szpitalu. Powtórzyłam to panu Tadeuszowi, ale albo jest na tyle nietrzeźwy, albo nie chce przyjąć tego do wiadomości. Ciągłe powtarza: „I co z tego?”. Ano to, że suma może przekroczyć ponad dwa tysiące złotych. Wliczane jest wszystko, począwszy od wezwania karetki, aż po podaną mu aspirynę. Pacjent cały czas macha ręką i mówi, że wszystko opłaci jego konkubina. Nie ma jej jednak do tej pory, choć Kaczorowski cały czas zapewnia, że zjawi się w szpitalu.

– Nie zjawi się! – twardo powiedziała Zoja. – Cały rachunek proszę wystawić Tadeuszowi Kaczorowskiemu.

– Będę musiała zapytać policjantów o jego dane – westchnęła kobieta. – Jutro planują go przesłuchać. Nieoficjalnie wiem, że doszło do jakiejś awantury. Nie chciał zapłacić taksówkarzowi za kurs albo nie miał pieniędzy... Dokładnie nie powiem. Gdy kierowca chciał go zabrać na komisariat, doszło do szarpaniny. Wtedy spadł ze schodów. Będzie miał jeszcze założoną sprawę przez taksówkarza.

Zoja podziękowała za informacje i się rozłączyła. Nie będzie dzwonić do Tadeusza. Nie będzie płacić za niego rachunków. Nie tak wygląda związek dwojga ludzi. Kaczorowskiego już nie zmieni, ale zdąży jeszcze pomyśleć o sobie. Boże mój, znowu musiała zostać upokorzona, aby przejrzeć na oczy... Już nigdy więcej!

– Czy to pani jest sołtyską tej miejscowości? – Dziwnie wyglądający mężczyzna stanął przy furcie. Miał ze sobą ogromny plecak. Kilkudniowy zarost nie pozwalał na pierwszy rzut oka stwierdzić, ile ma lat.

– Nie – odparła Aldona, wstając z ławki. Odpoczywała po dłuższym niż zwykle spacerze. – Zaraz zawołam panią Matyldę.

Weszła do domu, aby po chwili wrócić z właścicielką. Na wieść, że przed pensjonatem stoi jakiś biednie wyglądający facet, sołtyska się przestraszyła, że to znowu Marek Trznadel. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że to ktoś, kogo kompletnie nie zna.

– Słucham pana – powiedziała, uważnie przyglądając się przybyszowi. Wyglądał jak jakiś wędrowiec.

– Byłem na plebanii, ale jest zamknięta i nie mam gdzie się podziać – zaczął. – Dlatego spytałem o adres tutejszego sołtysa i skierowano mnie do pani. Muszę gdzieś przenocować, a nie chciałbym robić tego bez wiedzy właściciela. Skoro nie ma proboszcza, to nie mogę rozbić namiotu na terenie plebanii.

– Był pan umówiony z księdzem Zygmuntem? – spytała zaskoczona Matylda.

– Nie, nigdy się nie umawiamy.

– My? Jest was więcej?

– Tylko trzech, i wędrujemy innymi drogami. Jestem Michał. Kilka dni temu wyruszyłem z Gdyni. Idę do Lourdes. Zapewne słyszała pani o pielgrzymach w drodze.

Matylda pokręciła przecząco głową, robiąc ze zdziwienia ogromne oczy.

– Ja słyszałam – powiedziała uważnie przysłuchująca się rozmowie Aldona. – Był pan w więzieniu, prawda?

– Tak – potwierdził. – Spędziłem tam dwanaście lat.

– Potem spotkał pan Boga. I teraz wędruje, aby odkupić dawne błędy – kontynuowała.

– Dokładnie. Taką pokutę sobie narzuciłem. Proszę, tu mam wszystkie dokumenty i listy polecające. – Podał Matyldzie niewielki plik. Spoglądała na niego z powątpiewaniem w oczach i lekkim strachem. – Proszę tylko o kawałek terenu na rozbicie namiotu. Normalnie nocujemy przy parafii, ale tym razem są tam zamknięte drzwi. Mam list polecający od proboszcza z Kołobrzegu. Proszę też zadzwonić do księdza Zygmunta.

Pięć minut później Matylda potwierdziła słowa Michała Juszczyka.

– Przepraszam za brak wiary, ale latem odwiedzają Pobierowo najróżniejsi ludzie – zaczęła, lecz mężczyzna machnął z uśmiechem ręką.

– Nic nie szkodzi. Nie pani pierwsza i nie ostatnia. Przyzwyczailem się. Zresztą na waszym miejscu sam miałbym mnóstwo podejrzeń. W końcu jestem byłym kryminalistą.

– Zaraz poproszę syna, aby pomógł panu rozbić namiot. Potem zapraszam na kolację.

– Nie chciałbym nadużywać gościnności – zaczął. – Zjem jogurt, który dostałem dzisiaj rano, a potem...

– Nie ma mowy! Mam cały ogromny garnek czerwonego barszczu i mnóstwo pierogów! Chętnie posłuchamy przy stole pana opowieści. Zaprosiłam na kolację gości pensjonatu. To raptem kilka osób. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Absolutnie – odparł Michał.

Pół godziny później wszyscy siedzieli przy stole. Matylda się krzątała, serwując letni barszczyk. Dorota i Aldona podsmażały pierogi. Zosia i Antoś byli w ogrodzie, konewkami



podlewając kwiaty. Reszta siedziała w kuchni i słuchała przybysza.

– To były błędy młodości. Szybkie zarabianie i powiększający się stan konta był wyznacznikiem sukcesu. Życie wydawało się fajne. Wielu przyjaciół, codziennie obiady w restauracji, otaczające mnie kobiety, szybkie samochody. Byłem panem świata! Nie myślałem o tym, że robię źle, defraudując pieniądze. Przecież tylu ludzi tak robiło! Dostałem dwanaście lat. Gdy trafiłem do zakładu karnego, nadal nie widziałem nic złego w swoim postępowaniu. „To inni mi zazdroszczą i teraz się mszczą” – myślałem. Trafiłem do więzienia w Stargardzie. Byłem niepokorny! Nie mogłem pogodzić się z myślą, że mam tam spędzić jakąś ważną część życia. Dlaczego ja? Są więksi zbrodniarze, a chodzą bez obaw po świecie. Lżyłem strażników, wywołałem bunt w zakładzie i mu dowodziłem, szefowałem grypsującym. Zło ciągnęło zło... Aż któregoś dnia odwiedził mnie ksiądz Lucjan. Był kapelanem więziennym, na co dzień mieszkał w Szczecinie. Raz w tygodniu przyjeżdżał do zakładu karnego. Na początku nie robił nic innego, tylko modlił się nade mną. Śmiałem się, że odczynia jakieś egzorcyzmy. Po pewnym czasie jednak zauważyłem, że mam mniejszy pociąg do złego. Że nie chce mi się obrażać strażnika i wszczynać rozrób... Czekałem na wizyty księdza Lucjana i miałem ochotę na modlitwę, czego nie robiłem od dzieciństwa...

Przy stole panowała kompletna cisza. Oczy wszystkich skierowane były na Michała Juszczyka.

– Więzienie opuszczałem kompletnie odmieniony. W sercu miałem Boga. Czułem jego miłość. Pozwoliła mi przetrwać kilka lat w zamknięciu. Miałem też wsparcie księdza Lucjana. To on namówił mnie na pielgrzymowanie. Powiedział, że po dwunastu latach muszę mieć czas na przystosowanie się do życia poza kratami. W zeszłym roku wędrowałem do Asyżu. Zrobiłem pieszo ponad trzy tysiące kilometrów. W tym roku wędruję do Lourdes. Nocuję przy parafiach, bo tak najbezpieczniej. Poza tym mam blisko do kościoła. Pielgrzymuję dzięki dobrym ludziom i przede wszystkim Bogu. To on mnie prowadzi. Taka wędrówka nie jest prosta. Wielokrotnie miałem momenty zwątpienia. Kilka razy okradziono mnie i pobito, ale jakoś wychodziłem cało z opresji. Na mojej drodze Bóg stawia prawdziwe anioły. W Kołobrzegu dostałem od księdza wygodniejsze buty, bo poprzednie obcierały mi pięty do krwi. Jak mam nie być szczęśliwy? Mam co jeść, mam gdzie spać. A dzisiaj jem najpyszniejsze pierogi na świecie – dodał na zakończenie.

Wszyscy się roześmieli.

– Zaraz podam kolejną porcję – powiedziała zadowolona Matylda.

– Nie, dziękuję. – Michał odsunął od siebie pusty talerz. – W jedzeniu i picciu powinno być umiarkowanie. Każdy z nas może pielgrzymować. Bo słowo to oznacza nie tylko wędrówkę. W ramach pielgrzymowania można zmienić sposób myślenia. Niknie zaciętrzewienie, kurczy się ego, zaczynamy myśleć o innych. Próbujemy naprawić krzywdy, które kiedyś popełniliśmy. Przepraszamy za błędy... To znacznie trudniejsze niż wędrówka.

– Nie wszystkie krzywdy da się naprawić – stwierdził Ryszard. – Niektórych błędów nie jesteście w stanie wybaczyć sami sobie, a co dopiero mówić o wybaczeniu ich komuś.

Michał Juszczyk popatrzył na niego uważnie.

– Prawdziwa pielgrzymka liczy zaledwie czterdzieści centymetrów – powiedział cicho. – Tyle dzieli serce od rozumu. A teraz podziękuję za kolację. Muszę do namiotu, modlitwa wieczorna czeka.

Opuścił kuchnię. Reszta towarzystwa siedziała w ciszy, rozmyślając nad tym, co usłyszała.

**S**

Monika od razu rozpoznała wjeżdżający na parking samochód. Uśmiechnęła się pod nosem. Wczorajszy wieczór odszedł w zapomnienie na widok wysiadającej znajomej sylwetki. Choć od parkingu dzielił ją spory kawał, Roberta rozpoznała od razu. Dobrze, że nie brała jego słów na poważnie. To musiała być wyjątkowa chwila słabości. Nigdy przecież nie odezwałby się w taki sposób. Dzisiaj zapewne przyjechał ją przeprosić. Na szczęście, nie zmyła jeszcze makijażu po powrocie z pracy. Przebrała się również w sukienkę, którą miała poprzedniego wieczoru. Jakby coś przeczuwała!

Nim mężczyzna dojdzie do klatki schodowej, ona zdąży poprawić włosy w łazience. I umaluje usta. Zapali też dwie świece, aby stworzyć odpowiedni nastrój. Nie miała tylko nic do jedzenia. Najwyżej coś zamówi.

Chwilę później usłyszała dzwonek. Powolnym krokiem podeszła do drzwi. Na progu stał Robert.

– Witaj, Moniko. Przyjechałem, bo...

– Chciałeś przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie, prawda? Nic nie szkodzi, nie obrażam się tak łatwo – kobieta weszła mu w słowo, uśmiechając się. – Nie jestem mimozą jak Iwona. Ona płakała z byle powodu. Wejdiesz?

Robert pokręcił głową.

– Najpierw chciałbym pójść na górę wziąć szybki prysznic. Nie najlepiej się czuję taki nieświeży.

– Mężczyzna musi pachnieć samczo – powiedziała kokieteryjnie.

– Wspominałaś, że Iwona do ciebie dzwoniła – przypomniał.

Monika westchnęła. Tak dobrze się zapowiadało.

– Tak. Powiedziała, że chce mieć spokój i nabiera sił przed dalszym życiem. – Nie patrzyła mu w oczy, skupiając uwagę na paznokciach. Odprysł lakier na palcu wskazującym. Niedobrze. Po chwili jednak podniosła głowę. – Robert, ona od dziecka miała skłonność do stanów depresyjnych. Był czas, że babcia zamykała drzwi na noc, bo nie była pewna, czy nie wyskoczy do niej z nożem. Wiesz, jakie są wariatki wychowywane bez matek. A potem pojawiłeś się ty... Prawdziwy facet, który związał się z takim... takim czymś.

Monika demonstracyjnie prychnęła. Po chwili ciągnęła:

– Nie mogłam wprost ci powiedzieć, abyś uważał. Byłeś taki zakochany i nie widziałeś poza nią świata. A żyłeś jak na bombie z opóźnionym zapłonem. Już sytuacja sprzed dwóch lat powinna dać ci bardziej do myślenia, kiedy z dnia na dzień oddaliła się od ciebie z niewiadomego powodu. Przestała z tobą rozmawiać, spała osobno, skupiała się wyłącznie na córce. A ty potrzebujesz prawdziwej kobiety.

Robert nadal stał niewzruszenie w tym samym miejscu.

– Gdzie mam szukać tej prawdziwej kobiety? – Patrzył na nią uważnie.

Czekała na to pytanie.

– Nie musisz szukać, od początku jestem obok ciebie. Czekam, aż mnie zauważysz i odejdziesz od tej depresyjnej mimozy. Nigdy nie mogłam pojąć, co ty w niej widzisz. Taka szara mysz, ani urody, ani wyjątkowej inteligencji... Wielokrotnie próbowałam dać ci do zrozumienia, że stać cię na kogoś lepszego. Pamiętasz naszą wyprawę do kina? Wiesz, jak się do niej przygotowywałam? A ty nadal byłeś zauroczony Iwoną.

– Iwony już nie ma – powiedział Robert.

– Dlatego jesteśmy my. Już bez przeszkód. – Monika podeszła do mężczyzny i objęła go za szyję.

Wtedy ją zobaczyła. Stała oparta cichutko o ścianę, ledwo oddychająca, aby nikt nie spostrzegł jej obecności. Iwona.

– Dobry wieczór, Moniko – powiedziała, oszołomiona tym, co usłyszała.

– Co ty tu robisz? Co to ma znaczyć? – Zdumiona kuzynka wpatrywała się w Iwonę, w jej spojrzeniu widać było coraz większą złość.

– Chyba mamy sobie sporo do wyjaśnienia – powiedział Robert, popychając Monikę do środka mieszkania. Zaraz za nimi weszła Iwona i starannie zamknęła drzwi.

## S

- Wychodzisz? – Od poprzedniego wieczoru odzywali się do siebie zaledwie półsłówkami.
- Tak, będę biegać – odparła Dorota, zakładając sportowe buty.
- Teraz? Jest prawie ciemno!

Wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Piotr nie namyślał się długo. Jeżeli może ją przeprosić, to tylko w taki sposób. Błyskawicznie włożył swoje adidas i pobiegł za żoną.

Chciał jej kupić piękny bukiet w Kamieniu Pomorskim, ale wydało mu się to zbyt banalne. Napomknął o kolacji – wymówiła się. Jedyne, co doceni, to sport.

Piotr nie należał do biernych mężczyzn, ale nie uprawiał wyczynowo żadnego sportu. Ćwiczył od czasu do czasu na siłowni, raz na tydzień zjawiał się na basenie, ale to wszystko po to, aby utrzymać się w jakiejś takiej formie.

Dorota biegła truchtem. Początkowo był kilka metrów za nią, potem dystans nieco się wydłużył. Nie był przyzwyczajony do takiego ruchu. Sapał głośno, ale obiecał sobie, że nie odpuści.

Zbiegła na plażę. Tuż przy zjeżdżalni dołączyła do niej druga sylwetka. Nie wiedział, kto to. Może żona znalazła sobie towarzysza do joggingu? Wszak na niego nie mogła liczyć. Tym razem przekona ją, że i on coś potrafi. Obie postacie oddalały się coraz bardziej, widział jednak jeszcze zarysy ich sylwetek. Bieg po mokrym piasku nie należał do najprostszych. Dwa razy prawie upadł. Biegł jednak dalej. Po kilku minutach miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Nie mógł złapać tchu, dusiło go. W ostatniej chwili zauważył gałąź na swojej drodze. Za późno. Potknął się o nią jak długi i upadł, ryjąc twarzą w mokry piasek; dostał się wszędzie, do nosa i oczu, przykleił mu się do czoła. Jakiś czas trwało, zanim oczyścił się na tyle, aby biec dalej. Nie widział jednak przed sobą żadnych sylwetek.

Krótką chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić do pensjonatu. Odrzucił jednak tę myśl. Nie może teraz zrezygnować, choćby miał biec nocą do samego Łukęcina. W tamtym kierunku biegła Dorota z towarzyszem. A jeżeli nie? Może wbiegli już na górę innym wejściem i wracają lasem? Kurczę, chyba zrobił z siebie idiotę.

Zatrzymał się, aby pomyśleć. Wtedy od strony wydmy zauważył najpierw jeden płomyk, potem kolejny i następny. Może jest tam Dorota? Podbiegł w tym kierunku, zatrzymując się raptownie w pół drogi. Płomyki, które widział, pochodziły od małych, okrągłych świeczek ustawionych w kształcie serca. Pośrodku leżał koc, a na nim... jakaś para. Pomylił się! Chciał zawrócić, nie przerywając miłostnego spotkania. W ostatniej chwili dobiegł go zduszony krzyk.

– Zostaw mnie! Zostaw, bo zacznę krzyczeć!

Dorota!

– Cicho... I tak nikt cię tu nie usłyszy... A wiem, że tego chcesz. Kobiety już tak mają. Mówią nie, a myślą o szalonym seksie. Zobacz, jak tu romantycznie... Rozluźnisz się zaraz i spodoba ci się to, co będziemy robić...

Nie skończył mówić, bo Piotr błyskawicznym ruchem ściągnął go z Doroty. Płakała. Choć Jacek Pszczoła przewyższał go o głowę i wydawał się silniejszy, Piotr nie czuł strachu.

– Cholera, kim ty jesteś? – Sportowiec spojrzał groźnie. – Czemu wtrącasz się między wódkę a zakąskę? Nie twoja sprawa!

– Moja żona, moja sprawa! – Piotr zacisnął pięści.

Jacek raz jeszcze powiódł wzrokiem po nich obojgu i odbiegł, rezygnując z dalszej konwersacji.

Piotr przytulił zapłakaną Dorotę. Gdyby nie to, co działo się przed chwilą, otoczka byłaby całkiem, całkiem. Świecek ustawione w kształt serca, miękki koc, szumiące leniwie morze, od czasu do czasu krzyczący ptak. Cóż za wspaniały nastrój!

– Już dobrze, nie płacz – pogłaskał Dorotę po włosach. Zaczęła łkać w mężowską koszulę.

– Nie dałam mu żadnego pretekstu do takiego zachowania! To Jacek Pszczoła, znany sportowiec. Realizuje w Pobierowie jakiś program dla telewizji. Gdy umawialiśmy się na kolejne nocne bieganie, nie podejrzewałam nic złego.

– Dorotko! Już po wszystkim! – otarł jej łzy.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytała. – Śledziłeś mnie?

Pokręcił głową.

– Chciałem cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Zachowałem się bardzo głupio. Chciałem zmusić cię do czegoś, na co absolutnie nie miałaś ochoty, a ja powinienem to uszanować. Zamierzałem kupić ci kwiaty, ale to zbyt banalne. Pomyślałem więc, że przeproszę cię, biegnąc... Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

– Doskonale! – zarzuciła Piotrowi ręce na szyję. Znowu się uśmiechała.

– Zostałem trochę w tyle, bo biegliście dość szybko, a ja jestem bez formy... No a potem, sama wiesz. Chodźmy stąd. Im szybciej zapomnisz, tym lepiej.

– Nie mam zamiaru – wyszeptała i pocałowała męża namiętnie. Zaczęła rozpinać mu koszulę, sięgnęła do zamka spodni. – Skoro napracowałeś się i stworzyłeś taką atmosferę, trzeba to wykorzystać. Mamy koc, więc piasek nie będzie nam wchodził... wiesz, gdzie...

## S

Janina Jagusiakowa przekroczyła bramę cmentarza. Księżyc znajdował się za chmurami. Choć była to kolejna noc po pełni, nie za wiele było widać. Trochę poświaty rzucały przykościelne latarnie, ale one kończyły się przy alejce wiodącej na cmentarz. Dalej szło się na wycucie. Gdy księżyc przebił się przez chmury, zauważała kontury pomników. Gdzieś daleko błyskało nawet światełko zapalonego znicza. Do grobu męża szło się jednak w odwrotnym kierunku. Pamięta, jaka była niezadowolona, że chowają go tuż przy spadzie wzgórzka. Bała się, że teren zacznie pracować, pomnik będzie się przechylał i zapadał. Jednak do tej pory nie wydarzyło się nic złego. Poza tymi cholernymi wandalami!

Rysy na płycie nie były głębokie, ale Jagusiakowa doskonale je widziała. Ktoś się na niej mścił! I za co? Że zawsze wymaga od ludzi sprawiedliwości? Ktoś musi, skoro nawet ksiądz nie potrafi. Swoją drogą, ciekawe, gdzie on włóczy się po nocy? Okna plebanii były kompletnie ciemne, a wiedziała, że duchowny lubił wieczorami długo czytać.

Z proboszcza nie było żadnego pożytku. Mieszka obok i nie potrafi upilnować wandalą. Jagusiakowa nie miała najmniejszych wątpliwości, że co noc na cmentarz zakradał się jakiś niewdzięcznik rysujący ostrym narzędziem płytę nagrobną jej męża. Tej nocy będzie na niego czekała. I dowie się, komu się tak nie podoba, że bezcześci grób. Robi to w tak wyrachowany sposób, że rysy są ledwo widoczne! Ale nie dla Jagusiakowej!

Stała przy grobie męża, gdy księżyc znowu zasłoniły chmury. Ubrała się na ciemno, ale i tak będzie doskonale widoczna dla wandalą. Musi się ukryć. Krzaki są za daleko, po ciemku zresztą trudno do nich trafić. Zaraz, zaraz... A gdyby położyła się na spadku wzgórzka? To chyba najlepszy pomysł.

Jagusiakowa nie czekała, aż księżyc znowu wyjdzie. Po ciemku ruszyła w dół, krok za krokiem. Gdy chmury lekko się przeredziły, spojrzała w stronę grobu. Za daleko iść nie może, bo nie dojrzy sprawcy. Musi iść tyłem, aby wiedzieć, jak daleko odejść od miejsca pochówku. Poruszała się teraz znacznie wolniej. Jeszcze jeden krok i...

– Aaa! – krzyknęła głośno, tracąc równowagę i staczając się do jakiegoś dołu. Nie był głęboki, ale gdy się zatrzymała, poczuła szczypanie i pieczenie. Na policzku, na rękach, na każdej odsłoniętej części ciała. Nie była nawet pewna, czy z jej oczami wszystko w porządku, bo wszędzie panowały ciemności. Miała nadzieję, że tak.

– Pomocy! – zawołała raz, potem drugi. Próbowwała wstać, ale tak mocno bolała ją prawa noga, że była pewna, iż skrzyła kostkę. Do tego po nadgarstku lewej dłoni spływała bardzo szybko ciecz. Początkowo myślała, że upadła na jakąś butelkę wypełnioną płynem, ale ta ciecz była ciepła. Krew! Przecięła sobie czymś ostrym żyły na nadgarstku. Jagusiakowa powiodła prawą ręką wokół siebie, szukając czegoś, co pomogłoby zatamować krwawienie. Musi to zrobić jak najszybciej! Krew pulsuje bardzo mocno! Niestety, dookoła były same ostre fragmenty, które robiły kolejne rany.

Musi coś znaleźć... Musi... Nie może zamykać oczu! Jeszcze raz spróbowała zawołać, ale bezskutecznie.

– Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś... – szeptała słowa modlitwy. Bóg zaraz przyśle pomoc, musi się tylko modlić. Przecież jest pod kościołem. Nie może umrzeć w jakimś dole.

Powieki jednak same opadają... Nie ma siły po raz kolejny krzyczeć po pomoc. Próbuje, lecz z gardła wydobywa się tylko słaby dźwięk. Po chwili nie dociera do Jagusiakowej już

kompletnie nic.

Młody lisek wybiegł z lasu, przebiegł przez drogę i dziurą w płocie dostał się na teren cmentarza. Najpierw obwąchał śmietnik, a potem potruchtał do grobowca. Wąchał. Jeszcze kilka dni temu czuł tutaj lisiczkę. Wszedł na płytę, z nosem przy zimnym teraz kamieniu. Księżyc właśnie wyłonił się zza chmur. Płyta lekko połyskiwała. Pochodził po niej przez chwilę i zszedł, zwabiony innym zapachem. Nietrudno było go zlokalizować. Powoli zbliżył się do ogromnego dołu i krążył dookoła niego. Czuł krew, ale jakąś inną... Nie ryzykował zejścia, choć woń kusila go ogromnie. Jeszcze chwilę powęszył i pobiegł z powrotem do lasu.

## S



Weszła do namiotu w kompletnej ciszy. Michał także nie odezwał się ani słowem. Nie spał. Może przeczuwał, że będzie miał niespodziewanego gościa.

Całowali się niespiesznie, delektując dotykiem i bliskością drugiej osoby. Porozumienie dusz, które nie wymagało słów. Od czasu do czasu któreś głośniejsze westchnęło, dając upust wzbierającej rozkoszy. Po chwili jednak milkło, tulone i pieszczone dalej.

Tej nocy, niezwykle krótkiej, nie odsunęli się od siebie ani na moment. Dopiero zwiastujący poranek pierwszy trzask ptaka rozdzielił kochanków. Nie chciała, aby ktoś ich zobaczył. Za kilka godzin nie będzie nawet śladu po tej nocy. Niezwykłej, cudownej, pełnej fizycznej miłości...

Michał nie miał zamiaru wypuszczać jej z objęć. Chciał nadal sycić się tym ciałem, jakże odmiennym od ciał innych kobiet. Chciał dawać jej rozkosz, radość i szczęście. Chciał dawać samego siebie.

Dopiero gdy opuszczała namiot, zapytał:

– Jak masz na imię?

– Aldona.

S

Matylda nie zmrużyła tej nocy oka. Miała dużo spraw do przeanalizowania. Po pierwsze, nie wiedziała, co się dzieje między Dorotą a Piotrem. Nie zachowywali się tak jak zawsze. Miniony dzień był pełen wrażeń, owszem, ale zauważyła, że młode małżeństwo nie zamieniło ze sobą ani słowa. Podczas kolacji także siedzieli osobno. Musi ich oboje wezwać na poważną rozmowę.

Od syna i synowej powędrowała myślami do pana Ryszarda. Jakże pozory mogą mylić... Na podstawie kilku zasłyszanych zdań ułożyła w głowie historyjkę sprawiającą, że skóra cierpła. Jak niewiele trzeba, aby kogoś pomówić... Naturalnie, miała na uwadze dobro Antosia, ale gdzie podziała się jej wiara w ludzi?

Właśnie, jak może ufać, skoro trafiają się tacy osobnicy jak Trznadel? Dzisiaj ma przyjść po pieniądze, których nie zebrała. Jak może płacić szantażyście? Przecież sama doskonale wie, co robiła w domku Ewy Braun. Ba, ma na to świadków! Ale tamten ma zdjęcia, na których ona jest nago... Zachciało jej się odrobiny rozrywki w życiu! Teraz ponosi tego konsekwencje.

Matylda była pewna, że dotarła do miejsca, gdzie może pozwolić sobie na więcej spontaniczności. Małżeństwo z ojcem Piotra nie było najlepsze, ale trwała w nim jak prawdziwa żona, do końca. Teraz, kilka lat po zakończeniu poprzedniego etapu, zaczęła wreszcie skupiać się na sobie. Pensjonat i Pobierowo były jej miejscem na ziemi. Cieszył ją każdy dzień tutaj, każdy spotkany człowiek... Poza Trznadlem.

Normalnie machnęłaby na niego ręką, poganiając, gdzie pieprz rośnie. Nie tolerowała niezgodnych z prawem zachowań, sama będąc obywatelskim wzorem dla pozostałych mieszkańców. Tym razem jednak nie mogła sobie pozwolić na zbagatelizowanie sprawy. Musiała myśleć także o Władku...

Wiedziała, że ich związek jest tajemnicą poliszynela. Z ostrożnością podchodziła do nowego uczucia, rodzącego się powolutku, bez wybuchów emocji. W końcu czego można oczekiwać po dwójce pięćdziesięciolatków? Na pewno nie romantycznych zapewnień o miłości ani oficjalnego przyznania się do bycia parą. Matyldę cieszyło każde spotkanie z Władkiem, także na gruncie zawodowym. Choć musiał im wtedy wystarczyć uścisk ręki, to i tak byli szczęśliwi. Oboje pozostawili za sobą pakiet wspomnień. Teraz cieszyli się każdą wspólną chwilą.

To z Władkiem wyjeżdża do Wenecji. Wszystkim opowiada, że wybiera się tam z innymi sołtyskami. Sama nie wie, dlaczego nie mówi prawdy. Gdy go poznała, okazało się, że jest wdowcem. Była pierwszą kobietą, którą zainteresował się po śmierci żony. Mimo to nadal nie czuje się na tyle pewna, aby myśleć o nim jak o ukochanym mężczyźnie. Owszem, darzy go ogromnym uczuciem, ale lepiej, aby nie obnosili się z tym publicznie.

Płonne nadzieje.

Matylda wiedziała, że to pracownicy urzędu roznoszą plotki. Nie robili tego z premedytacją. Po prostu cieszyli się, że Władek kogoś ma. Urząd to takie siedlisko wszelkich informacji, podsłuchanych rozmów i zauważonych gestów.

Matylda i Władek spotykali się rzadko. Wizyty wójta u sołtyski były brane przeważnie za oficjalne spotkania. Cieszyło ich wtedy każde zamienione słowo oraz delikatny, niezauważony przez nikogo dotyk. Do czasu. Kilka miesięcy temu Władek zaczął naciskać, aby przestali robić z siebie taką tajemnicę. Chciał częściej spotykać się z Matyldą. Ba, mówił coś o przyszłym wspólnym zamieszkaniu. Po co psuł nastrój? Przecież było dobrze tak, jak do tej pory. Tworzyli parę, ale każde z nich zachowało prywatność.

Matylda nigdy nie przyznałaby tego głośno, ale zwyczajnie się bała. Kochała Władka, lecz gdyby miała go częściej przy sobie, zaangażowałaby się mocniej. A co, jeśli znowu zostanie skrzywdzona? Jeśli okaże się, że i ten związek jest pomyłką? Kolejne stracone lata, jak z Andrzejem? Po mężu został jej przynajmniej syn...

Wiedziała, że krzywdzi Władka takimi myślami. Przecież nie dał absolutnie żadnych podstaw do podejrzeń o nieszczerłość lub chęć zabawienia się jej uczuciami! Wręcz przeciwnie... Myśli tkwiły w niej jednak jak wbite pod skórę drzazgi. Postanowiła, że po śniadaniu zadzwoni do urzędu. Chciałaby go chociaż usłyszeć...

Była czwarta, za oknem robiło się jasno. Skrzypnęła furka. Matylda zerwała się z łóżka. Któż to mógł zjawiać się o tej porze? Po cichu stanęła przy oknie w taki sposób, aby nikt z zewnątrz jej nie zauważył.

Jakaś para biegła pod kocem i cicho się śmiała. Dorota i Piotrek! Zatrzymali się na chwilę przed domem i pocałowali. Matylda odetchnęła z ulgą. Nie wie, jakim cudem, ale jeden problem właśnie się rozwiązał.

## S

Brunonowi było smutno bez matki. Gdy tęsknił, nie mógł spać. Tak było i tej nocy. Przewracał się z boku na bok. Wykładał nogi na kołdrę, aby po chwili przykrywać się po samą szyję. Bez mamy było mu po prostu źle. Dwukrotnie wstawał, aby napić się mleka, ale to również nie sprowadziło snu. Gdy zaczęło świtać, było jeszcze gorzej...

Brunon nie namyślał się długo. Przebrał się w długie spodnie i bluzę, zawołał cicho psa i wyszedł z domu, niesłyszany przez ojca.

Chciał pójść na plażę, ale po chwili zrezygnował z tego pomysłu. Minęła go jakaś roześmiana para, przykryta kocem. Widać musi być tam zimno. Poszedł w przeciwnym kierunku. Najpierw opustoszałą Grunwaldzką. Śmieciarze pojawią się najwcześniej za godzinę. Nigdy nie spieszyło im się do obowiązków. Potem przeszedł ulicą przy dworcu autobusowym. Pusto wszędzie, nie stoją nawet taksówki. Spuścił psa ze smyczy. Zwierzę momentalnie poczuło wolność i pobiegło w stronę kościoła.

Brunon ledwo za nim nadązał. Droga wiodła pod górkę, więc dotarł na nią z wysiłkiem. Słońce już dawno wzeszło, przedzierając się jednak nieśmiało przez drzewa. Lekkie chmury po zachodniej stronie nieba zwiastowały zupełnie inny dzień niż poprzedni. Jakby coś od samego ranka wisiąło w powietrzu. Może po południu będzie burza...

Chłopak rozejrzał się za psem. Nie było go widać. Już miał zagwizdać, gdy usłyszał szczekanie. Poszedł w kierunku, z którego dolatywał dźwięk. Cmentarz! Kiedyś bał się tego miejsca. Przerazały go grobowce, pozamykani w nich ludzie... Mama wytłumaczyła mu, że powinien się bać raczej żywych. Umarli nikomu krzywdy już nie zrobią.

Przeszedł przez bramę, nawołując psa. Stał nad jakimś dołem i czekał. Może poczuł zwierzę? Brunon zbliżył się i z obawą zerknął do środka.

– Aaa! – krzyknął i odsunął się na bezpieczną odległość. Mama nie miała racji! Kłamała! Umarli są groźni! I rozkopują groby, chcąc wyjść! Tak jak ta kobieta! Na pewno ma twarz zjedzoną przez robaki, jak opowiadał kiedyś jeden z kolegów w szkole. Dobrze, że jej nie widać. Podobno wychodzą oczodołami.

Chłopak chwycił wrywającego się pieska na ręce i ruszył z powrotem. Pokusa ucieczki była tak silna, że wbiegł na drogę, nie zwracając na nic uwagi.

– Uważaj! – Jan Widacki w ostatniej chwili skręcił kierownicą roweru, co sprawiło, że obaj się przewrócili. – Kurczę, gdzie masz oczy? – zapytał pułkownik. Po chwili spojrzął na chłopaka z troską. – Nic ci się nie stało?

Brunon pokręcił przecząco głową, przerażony i blady jak ściana.

– Wszystko dobrze? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Pewnie dlatego, że wracasz z cmentarza. Co ty tu robisz tak wcześnie rano? Ja zazwyczaj o tej porze jeżdżę na rowerze, ale ty powinieneś jeszcze spać. – Widacki przyglądał się chłopakowi. – Powiesz, co się stało?

– Ona się rozkopała...

– Kto?

– Ta umarła. Mama mówiła, że ludzie, którzy zmarli, nie robią nic złego, a ta chce wyjść.

Pułkownik patrzył na Brunona jak na szaleńca.

– Wiesz co, najlepiej będzie, jak zaprowadzisz mnie do tego rozkopanego grobu.

Chłopak poszedł przodem. Po chwili byli na miejscu.

– Boże mój! – Widacki przeraził się z powodu tego, co zobaczył. – Toż to Jagusiakowa!

– To ona zmarła? – zainteresował się Brunon.

– Nie przypominam sobie. Trzeba sprawdzić, czy żyje. Wpadła do dołu wypełnionego połamanym szkłem i plastikiem. Pełno tutaj krwi. Masz telefon? Trzeba zadzwonić po pogotowie.

– Nie mam.

Popatrzyli po sobie bezradnie. Po chwili obaj skierowali głowy w stronę drogi. Pojawiła się na niej koparka. Jechała wężykiem, bujając łopatą mocno na boki. Po chwili zatrzymała się przed bramą. Wysiadł z niej chwiejący się na nogach mężczyzna, trzymający w ustach zgaszonego papierosa. Powiódł nieprzytomnym wzrokiem po cmentarzu. Momentalnie otrzeźwiał, widząc nad dołem dwóch osobników.

– To pana robota, prawda? – Widacki spojrział ze złością na robotnika. – Nie można było zakopać tego dołu od razu? Musiało dojść do nieszczęścia?

– Ale, proszę szanownego pana, o co się rozchodzi? – zaczął Franek.

– Ma pan komórkę? – zapytał starszy pan. Tamten przytaknął. Po chwili emerytowany pułkownik rozmawiał z dyspozytorem. – Halo? Tu Jan Widacki. Jestem na cmentarzu w Pobierowie. Do wykopanego dołu wpadła kobieta, ma siedemdziesiąt lat. Upadła na rozbite szkło. Nie mogę tam sam wejść i jej ruszyć. Nie wiem, jak długo leży. Nie wiem, czy żyje. Dobrze, poczekamy.

Franek patrzył struchlały. Dopiero zrozumiał, do czego doprowadził.

– Ale ja nie wiedziałem, że ktoś będzie się tu włóczył po nocy! Jak Boga kocham! – zaklinał się na wszystkie świętości.

Pułkownik machnął ręką.

– Ma pan szczęście, że ten młodzieniec tu przyszedł i ją zauważył.

Po kilku minutach usłyszeli karetkę. Sanitariusze i lekarz sprawnie przystąpili do działania.

– Puls prawie niewyczuwalny. Straciła bardzo dużo krwi. Wieziemy ją do Gryfic – poinformował lekarz, zamykając drzwi ambulansu.

– Czy ona umrze? – spytał cicho Brunon.

– Nie wiem. Podobno złego diabli nie biorą... – odparł Widacki.

## S

– Nie idzie pani dzisiaj do pracy? – zapytał Ryszard.

Zoja siedziała na tarasie i piła kawę.

– Dzisiaj idę wyjątkowo godzinę później – odparła.

Od wczorajszego wieczoru uważnie przyglądała się mężczyźnie. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo piętno tragedii wryło mu się na twarzy. Na jej zresztą także...

– Zapewne zabrzmi to dość głupio, ale ciągle odnoszę wrażenie, że gdzieś już panią widziałem. Dawno temu. I nie mogę sobie przypomnieć gdzie – plątał się Ryszard.

– Widzieliśmy się podczas wizji lokalnej – powiedziała cicho Zoja.

Czekała na reakcję, ale jej nie było. Przez głowę Ryszarda przemykały obrazy, które były tak dobrze ukryte w jego podświadomości, że prawie o nich zapomniał. Pojawiły się właśnie w tej chwili.

– Upłynęło kilka lat – westchnął. – Czy pani też starała się o tym zapomnieć?

– Raczej chciałam wymazać lata poprzedzające wypadek – szepnęła.

– Dało się?

– Nie – odparła i spojrzała na Ryszarda. Czekała na atak, który powinien teraz nastąpić. Ustalono w końcu, że to jej mąż był sprawcą wypadku. Chłopak nie musiał umrzeć. Miałyby teraz, jak policzyła, prawie trzydzieści lat. Najlepsze lata, których nie doczekał.

– Żona nigdy mi nie darowała, że zaszczepiałem synom zamiłowanie do sportów ekstremalnych. Miała rację, to był duży błąd. Gdyby nie fakt, że chciałem zrobić z nich prawdziwych mężczyzn, pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Uważasz, że to twoja wina? – zaskoczona Zoja automatycznie przeszła na „ty”. Fakt, że oboje uczestniczyli w tej samej tragedii, nieświadomie ich zbliżał.

Ryszard zastanawiał się chwilę.

– Jak by to określić...? Jeszcze do wczorajszego wieczoru byłem przekonany, że tak. Czułem się winny. Czułem, że żona uważa mnie za winnego. Adrian, mój drugi syn, także. Nigdy o nic mnie nie oskarżali, ale widziałem wszystko w ich oczach. Odsuwałem się od nich, zamykałem w swojej skorupie, aż wreszcie postanowiłem usunąć się na dobre. Żyłem z piętnem. Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

Zoja pokiwała głową. Ona przynajmniej straciła w wypadku swojego oprawcę. Jego śmierć była dla niej wybawieniem, choć nigdy nie przyznałaby się do tego publicznie. Jakie wyciągnęła wnioski? Przypomniała sobie Tadeusza Kaczorowskiego. Żadne...

– Odszedłem od żony, zniknąłem z życia drugiego syna. Ostatni raz widziałem Krystynę i Adriana na sprawie rozwodowej. Nawet do nich nie podszedłem. Krótko potem wyjechałem ze Szczecina.

– Nie miałeś nigdy ochoty do niego zadzwonić? – spytała Zoja.

Ryszard szybko otarł płynącą po policzku łzę.

– Wielokrotnie... Ale co mógłbym mu powiedzieć? Przepraszam, że nie masz już brata, z którym byłeś związany od życia płodowego?

– Nie musiałbyś wcale wspominać brata... Syn zapewne za tobą tęskni.

– Wiem! Ale taką karę sobie nałożyłem. Tak jak ten pielgrzym wczorajszego wieczoru. Idzie tyle kilometrów w bólach, w gorącu, w niewygodzie i sam. Nie narzeka i się nie żali. Zobacz, jest ósma, a on już dawno zwinął namiot i jest w drodze. Pokutuje.

– Czy odpowiada ci samotność jako pokuta? – Zoja spojrzała Ryszardowi prosto w oczy.

– Teraz już nie wiem... Tyle lat żyłem sam, a czuję identyczny żal jak tuż po śmierci Krystiana. Wydawało mi się, że taka kara będzie najlepsza.

– Straciłeś przez to rodzinę.

– Z żoną prędzej czy później byśmy się rozeszli – przyznał. – Nie układało nam się od dawna. Ale Adrian... Ostatni raz widziałem go, gdy brał udział w regatach na jeziorze Dąbie. Stałem na brzegu i przez lornetkę obserwowałem jego zmagania z wodą. Potem już nigdy tego nie zrobiłem. Nie miałem prawa.

– Wyrzuciłeś tym synowi krzywdę. Odszedłeś w momencie, kiedy najbardziej cię potrzebował. Stracił nie tylko brata, ale również ojca – powiedziała Zoja.

– Nie patrzyłem na to w ten sposób – przyznał. – Skupiłem się na tym, aby sobie zadawać cierpienie. Nie zastanawiałam się, czy jeszcze kogoś ranię. Dopiero wczoraj, gdy ten gość powiedział, że prawdziwa pielgrzymka ma czterdzieści centymetrów i wiedzie od rozumu do serca. Wtedy zrozumiałem, że moja pokuta odbywała się jedynie za pośrednictwem serca. Rozum nie brał w tym udziału.

– A teraz bierze?

– Teraz go słyszę. Odsunąłem żal na bok i spojrzałem na wszystko bez emocji. Po raz pierwszy od kilku lat.

– Co zobaczyłeś? – zapytała Zoja.

– Smutnego faceta, ciągle uciekającego przed wspomnieniami. Biorącego na swoje barki tyle, aby wieczorem paść do łóżka i nie myśleć. Żyjącego pozorami. Wiesz, że pokochałem Antosia? – zmienił nagle temat.

– Domyślam się. Zajmując się nim, wracasz do lat, kiedy byłeś szczęśliwy.

– Tak. – Z uznaniem spojrzał na Zoję. Wydawała się go doskonale rozumieć. – A ty jak przeżywałaś swoją żalobę?

Długo milczała.

– Nie przeżywałam – powiedziała wreszcie, wstając z miejsca. – Po śmierci męża dopiero zaczęłam żyć.

Nie pytał więcej, bo wyraz twarzy Zoi mówił więcej niż tysiąc słów.

– Muszę do pracy – rzuciła na zakończenie rozmowy.

– Musisz? Zapewne tak. Wydaje mi się, że wspominałaś o aptece w Szczecinie. Dodatkowo urlop wykorzystujesz na pracę w hotelu.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Powiedziałem coś złego? – zapytał, widząc jej wzrok.

– Właściwie nie... Użyłeś słowa „musisz” i w pierwszej chwili chciałam potwierdzić, że rzeczywiście muszę. Ale już nic nie muszę...

Patrzył na Zoję i nic nie rozumiał.

– Zrobiłam to samo co ty. Pielgrzymka od serca do rozumu. Pójdę do hotelu po raz ostatni.

Uśmiechnęła się i opuściła taras.

Był sobotni poranek, ale urząd w Rewalu funkcjonował. Nie w każdy weekend, latem nad morzem było jednak tak wielu turystów i spraw do załatwienia przez mieszkańców i najemców, że Władysław Matuszewski poprosił niektórych pracowników o przychodzenie na dwie godziny w soboty.

Milena Turowska cicho zapukała do gabinetu. Nie chciała przeszkadzać. Wiedziała, że wójt tego nie lubi. Przychodził zawsze godzinę przed rozpoczęciem urzędowania, aby spokojnie przejrzeć gazety, odpowiedzieć na maile i wypić kawę.

– Proszę! – dobiegło ją zza drzwi.

– Panie Władysławie, jest pewien petent, który czeka już dosyć długo.

– Tak wcześnie rano?

– Tak. Myślę, że powinien go pan przyjąć. – W głosie Mileny Turowskiej było coś takiego, że wójt skinieniem głowy potwierdził, aby poprosiła interesanta.

Ufał tej dziewczynie. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, lecz wykazywała się ogromną pracowitością. Ale cenił ją nie za to, a za okazywane serce. Zaczynała od stanowiska pracownicy biura ewidencji i dokumentów. Nie traktowano jej tam poważnie, jak każdej początkującej. Segregowała dokumenty, obsługiwała sprzęt biurowy, robiła kawę, Władysław Matuszewski nawet jej wtedy nie zauważał. Milena nie wiedziała o jego dziwnym nawyku, czyli przychodzeniu do pracy godzinę wcześniej. Pewnego ranka zjawiała się o siódmej w towarzystwie biednie wyglądającego mężczyzny.

– Wiem, że nie ma pan pieniędzy na autobus do Gryfic i wyrobienie zdjęcia dowodowego u fotografa. Proszę się ustawić na tle tej ścianki. Sama pstryknę panu fotkę i obrobię w komputerze. Będzie wyglądała jak zrobiona profesjonalnie. Proszę tylko nikomu nie mówić, że to byłem ja – powiedziała Milena. Nie zauważyła, że w drzwiach gabinetu stanął wójt.

– Co pani robi? – spytał.

Wystraszona dziewczyna drgnęła, przyłapana na gorącym uczynku.

– Zrobiła mi zdjęcie. Nie mam pieniędzy, a kończy mi się ważność dowodu osobistego. Powinienem wyrobić nowy – powiedział jej towarzysz.

Wójt poprosił ją wtedy do swojego gabinetu. Stała za spuszczoną głową, oczekując nagany, więc z trudem docierała do niej propozycja, aby objęła stanowisko sekretarki Matuszewskiego.

– Urzędnik powinien być dla ludzi, a pani jest tego najlepszym dowodem – rzucił na koniec.

Milena była wobec niego bardzo lojalna, błyskawicznie nabierając doświadczenia. Doskonale uzupełniali się z wójtem. Skoro powiedziała, że akurat tego petenta powinien przyjąć poza godzinami urzędowania, na pewno miała rację.

Gdy w drzwiach stanął Marek Trznadel, wójt uważnie mu się przyjrzał. Cyniczny uśmiezek, przebiegłe oczka, utykanie – szybko odnotował w myślach.

– Słucham pana – powiedział, wskazując krzesło.

– Ja właściwie w prywatnej sprawie.

– W urzędzie się takich nie załatwia.

– Pana prywatnej sprawie... – dodał Trznadel.

– Takich też tutaj nie załatwiam. – Władysław Matuszewski zaczął odczuwać irytację. Nie lubił zabawy w kotka i myszkę. – Proszę do sedna.

– W takim razie... – Przybyły mężczyzna wyciągnął z trzymanej na kolanach torby zdjęcia



i położył je na biurku. – Proszę zerknąć.

Rozpoznał ją od razu. Jego Matylda... Tu wychodziła z ruin willi Evy Braun, tu kąpała się... nago.

– Skąd ma pan te fotografie? – zapytał.

– Nieważne. Na tym pierwszym pana ukochaną widać w nocy, kiedy wandale zniszczyli resztki zabytkowego wnętrza domku. Na drugim... Cóż, sam pan widzi, co po godzinach urzędowania robi sołtyska.

– Nie robi nic, czego nie robiłyby inne kobiety – zaczął bronić Matyldę wójt.

Trznadel jednak mu przerwał:

– Nie mam ochoty na długotrwałe przemowy. Pierwsze zdjęcie może stać się doskonałym dowodem dla policji, która prowadzi dochodzenie w sprawie aktu wandalizmu. Drugie zdyskredytuje panią Matyldę w oczach mieszkańców Pobierowa, a tym samym pana jako jej partnera. Proszę nie zaprzeczać, że nie jesteście razem. Wszyscy o was wiedzą.

– Co pan proponuje? Założę się, że to szantaż. – Matuszewski popatrzył z pogardą na cwaniaczka.

– Oj tam, zaraz takie duże słowo... Może pan wykupić te zdjęcia i będzie po sprawie. Powiedzmy, każde po trzy tysiące złotych. W końcu taka ładna i zgrabna modelka, warto dać za nią każdą sumę. To zdjęcie nago będzie pan mógł powiększyć i powiesić sobie nad łóżkiem.

– Trznadel zarechotał obrzydliwie.

Tego wójta nie mógł już znieść.

– Proszę wyjść! Próbuje pan zastraszyć urzędnika państwowego! Powinienem właściwie zgłosić sprawę na policję. – Władysław chwycił za telefon.

– Może to i lepiej... – Trznadel wstał z ociąganiem. – Jeszcze dzisiaj rozniesie się po Pobierowie, że sołtyska Matylda jest podejrzana o wandalizm. Na własne życzenie będzie pan miał zepsutą opinię. A proponowałem inne rozwiązanie. Proszę to jeszcze raz przemyśleć. Zjawię się w poniedziałek. Mam nadzieję, że będzie pan czekał z pieniędzmi.

Zostawił osłupiałego wójta, wyjątkowo żwawo jak na utykającego zbiegając po schodach.

Władysław Matuszewski chwilę siedział w zadumie. Co za cwaniak! Myśli, że zarobi na szantażu? To źle trafił! A co, jeżeli był już u Matyldy, a ona, biedna, zastanawia się, co zrobić? Nigdy nie dopuściłaby, aby dobre imię wójta zostało w jakiś sposób szkalowane. Absolutnie nie wierzył w to, że była w jakiś sposób związana z incydentem w domku Evy Braun. Musi jednak uspokoić ukochaną.

Już wybierał numer do niej, gdy zmienił zdanie. Nie widzieli się dwa tygodnie. Tęsknił za Matyldą. Pojedzie do Pobierowa.

– Pani Mileno, wychodzę i już dzisiaj nie wrócę – rzucił do sekretarki i opuścił gabinet.

## S

– Miała pani naprawdę dużo szczęścia. Ratunek zjawiał się w ostatnim momencie. – Lekarz pochylił się nad Jagusiakową.

– Bóg mi dopomógł – rzuciła słabym głosem.

– Bóg? Wydawało mi się, że chłopak z autyzmem – stwierdził doktor. – Jeszcze godzina i wykrwawiłaby się pani. Teraz kilka dni pod kroplówką i na lekach. Chłopakowi należy się solidne podziękowanie. Podobnie jak temu panu, który wezwał karetkę. Była pani szczepiona na tężec?

– Tak – odparła pani Janina. – Któremu mężczyźnie?

– Jakiś były wojskowy. Ma przyjechać tu dzisiaj po południu.

Gdy wyszedł, Jagusiakowa na nowo zaczęła rozmyślać. Przypomniała sobie wydarzenia ubiegłej nocy. Wpadła do domu, popłynęła krew... Z opowieści pielęgniarki i lekarza wynikało, że miała przecięte żyły na nadgarstku.

– Krew lała się pani jak u tych samobójców, co sobie podcinają żyły – plastycznie opowiadała starsza siostra. – Niewielu ich zostaje odratowanych. A życie jest przecież takie piękne. Ludzie sami nie proszą się na ten świat, więc sami też nie mogą decydować, kiedy odejść.

– Ja wcale nie chciałam... – zaczęła Jagusiakowa, ale pielęgniarka jej przerwała:

– Co w takim razie robiła pani na cmentarzu? Normalnie w nocy się śpi.

I wyszła, zostawiając pacjentkę samą.

No, właśnie... Co tam robiła? Czy sprawa kilku rys na pomniku była na tyle istotna, aby ryzykować – jak się teraz okazuje – życie? Aby udowodnić komuś swoją rację? Nawet jeśli wczoraj zjawiał się tam wandal, nie zauważyła go. Po co to wszystko zrobiła?

Jagusiakowa zaczęła się śmiać. Coraz mocniej, coraz głośniej... Śmiała się z samej siebie, z własnej głupoty i nieostrożności. Pomyśleć, że znalazł ją chłopak, którego miała za wiejskiego głupka. Z jej ust wydobywał się śmiech, ale z oczu leciały łzy. Kapały na pomarszczone dłonie, złożone jak do modlitwy. Taki widok zastał Jan Widacki, który stanął właśnie w drzwiach pokoju. Początkowo myślał, że kobietę coś boli. Opatrunek na nadgarstku ręki był ogromny. Do drugiej dłoni podpięta była kroplówka. Wszystko robiło poważne wrażenie.

Odchrząknął. Pani Janina spojrzała na niego przez łzy.

– Dzień dobry – powiedział.

Skinęła głową.

– Mogę?

Po raz kolejny potwierdziła.

– Jak się pani czuje? Ręka boli mocno?

– Tak, ale dostaję środki przeciwbólowe.

Zapadła cisza.

– Może pani czegoś potrzebuje? Mógłbym przywieźć z Pobierowa...

Nie skończył, bo na korytarzu usłyszeli szybkie kroki. W drzwiach stanęła zasapana Anna Kosmala.

– Tu pani leży, pani Jagusiakowa. Brunon zadzwonił do mnie rano i opowiedział o wszystkim. Domyślałam się, że nie ma pani ze sobą niczego. Przyniosłam więc to, co mogłam pożyczyć od ciotki.

Zacząła wyciągać rzeczy z wypchanej torby, którą ze sobą przytargała.

– Proszę, tu jest świeży ręcznik, nigdy nienoszona koszula nocna, trochę kosmetyków, grzebień kupiłam w sklepie drogowym, więc niech się pani nie obawia. Jest też trochę czasopism i wafle ryżowe. Nie wiedziałam, czy ma pani jakieś zalecenia od lekarzy lub diety, dlatego kupiłam tylko wafle. Wiadomo, jakie jest jedzenie w szpitalu. Wieczorem będzie mogła pani sobie przekąsić, aby nabrać sił. A tutaj... – spojrzała na Jagusiakową i przerwała rozpakowywanie. – Zawołać lekarza? Źle się pani czuje? Boli panią coś? Dlaczego pani płacze?

Nie tyle płakała, co łkała... Przypomniała sobie, ile złego mówiła o Brunonie i co musiała wysłuchiwać jego matka. Teraz Anna Kosmała odwiedza ją w szpitalu i podaje serce na dłoni.

– Przepraszam – wyszeptała przez łzy pani Janina. – Bardzo panią przepraszam. Za wszystko, co złego zrobiłam. Wspaniale pani wychowała Brunona.

Anna Kosmała machnęła ręką, również wzruszona.

– Bardzo się o panią bał – powiedziała. – Gdy wrócę, uspokoję go. Muszę się zaraz zbierać, bo w soboty do Pobierowa jedzie tylko jeden autobus.

– Pojedziemy razem – zaproponował milczący do tej pory Widacki. – Jutro możemy wrócić tu znowu i odwiedzić panią Jagusiakową.

Starsza kobieta się uśmiechnęła.

– To nie problem? – spytała.

– Na pewno nie – jednocześnie powiedzieli oboje.

– Tylko mam prośbę... Koniecznie przywieźcie mi Brunona. Muszę mu osobiście podziękować.

## S

Dochodziło południe. Iwona przeciągnęła się i przetarła zaspane oczy. Przez chwilę rozglądała się, zaskoczona. No tak, jest w mieszkaniu w Szczecinie, obok niej leży Robert i przygląda się żonie z uśmiechem.

– Dzień dobry! Wypałaś się?

Zamruczała coś w odpowiedzi, wtulając się w niego. Przypomniała sobie ubiegły wieczór, który wiele ich obojga kosztował. Monika na wszystkie świętości przysięgała, że nie chciała zrobić niczego złego. Początkowo twierdziła, że została źle rozumiana. Potem mówiła, że to wszystko żart. Rzeczywiście, troszeczkę podkochiwała się kiedyś w Robercie, ale potem jej przeszło. I to chyba normalne zachowanie w rodzinie. Gdy oboje powtarzali, że jej nie wierzą, raptownie zmieniła front.

– To wszystko przez ciebie, przybłędo! – rzuciła w stronę Iwony ze złością. – Gdybyś nie wepchnęła się do mojej rodziny, wszystko byłoby po staremu. Musiałam dzielić się z tobą słodyczami, ubraniami, a przede wszystkim matką. Ciągłe powtarzała, że to ja jestem szczęściarą, bo ty nie masz nikogo, więc nagle trzeba ci dać gwiazdkę z nieba. Coś, co inni wypracowują latami, ty dostałaś ot, tak! Od razu!

– Dlatego zapragnęłaś zniszczyć moją rodzinę? – zapytała cicho Iwona.

– Wiedziałybyś wtedy, jak się czułam.

– Przecież niczego ani nikogo ci nie odebrałam...

– Ty dalej nic nie rozumiesz... Dopóki nie pojawiłaś się, byłam tylko ja. A potem wszyscy nagle zauważali szarą mysz. Cokolwiek zrobiłaś, było ważniejsze od tego, co zrobiłam ja. Twoje potrzeby były zaspokajane szybciej niż moje.

– Byłaś zwyczajnie zazdrosna! – krzyknął Robert. – O kogo? O sierotę, która nigdy nie miała normalnego domu? Iwonko, zabieramy się stąd!

Wyprowadził żonę z mieszkania Moniki, przy echu jej wyzwisk i żalów. Odetchnęli dopiero za drzwiami swojego mieszkania, trzy piętra wyżej.

Robert wstał pierwszy. Przygotował dla żony herbatę, sobie zrobił mocną kawę.

– Jak się czujesz? – spytał z troską, widząc, jak ostrożnie przełyka napój.

– O dziwo, dzisiaj nie mam nudności – uśmiechnęła się. Po chwili spoważniała. – Nie chcę tu dłużej mieszkać. Nie tak blisko Moniki. Boję się jej. Nie tego, że zrobi coś złego naszej rodzinie, ile tych wyzwisk i inwektyw. Zosia może je usłyszeć.

– To samo chodzi mi po głowie – przyznał Robert. – Będziemy musieli poważnie zastanowić się nad zmianami. Wiesz, dochody mamy teraz minimalne, a potrzebujemy większego mieszkania. Za pół roku urodzi się dziecko.

Iwona odruchowo położyła dłoń na płaskim jeszcze brzuchu.

– Jestem dziwnie spokojna – powiedziała. – Jakoś wierzę, że wszystko się ułoży.

Uśmiechnął się do żony. Miała za sobą smutne dzieciństwo, zawiodła się na Monice, a jednak nadal pozostała pełna wiary i życzliwości.

– Kocham cię – pocałował ją w policzek. – Zejdę na dół i zerknę do skrzynki pocztowej. Zapewne nagromadziło się w niej wiele reklamówek przez tych kilka dni.

Wzdrygnął się, przechodząc obok mieszkania Moniki. Usłyszał na drzwiach gwałtowny ruch, jakby nagle odskoczyła, gdy popatrzył prosto w wizjer. Przecież nie mógł jej zobaczyć, zerknął odruchowo na jej drzwi. Czy ona stale śledzi każdy ich ruch? Nie mogą tu dłużej mieszkać. To wariatka!

Wrócił do mieszkania z kupką makulatury. Przejrzał ją pobieżnie. Były to przede wszystkim oferty okolicznych sklepów i sieciówek. No i dwa duże listy. Już chciał odłożyć je na bok, gdy pomiędzy nich wypadła podłużna koperta.

– Pewnie rachunek – powiedział do Iwony.

Gdy ją podniósł, nie zerknął nawet na stempel w lewym górnym rogu. Po co? Zaraz i tak się dowie.

– „Szanowny Panie, zapraszamy na rozmowę kwalifikacyjną, która odbędzie się dnia 3 lipca w budynku...” – przeczytał zaskoczony Robert. – To pojutrze! W poniedziałek!

Weekend szybko zleci. Dzisiaj pojedą wymówić kawalerkę i przewiozą rzeczy Roberta z powrotem do ich mieszkania. W niedzielę wcześniej rano odwiezie Iwonę do Pobierowa i cały dzień spędzą razem z Zosią. Wieczorem wróci sam do Szczecina. A w poniedziałek rano wybierze się na rozmowę kwalifikacyjną. Żona miała rację, wszystko się jakoś ułoży.

## S

– Co ty tu robisz? – zaskoczona Matylda wpatrywała się we Władka, stojącego na progu pensjonatu z bukietem róż i dopiero co kupionymi poziomkami. Wiedział, że je uwielbia. – Jeszcze ktoś cię zobaczy.

– Wstydzisz się mnie? – zapytał, patrząc na nią uważnie.

– Co za głupoty opowiadasz? Oczywiście, że nie!

– Jestem dla ciebie ważny?

– Przecież wiesz...

– To mnie pocałuj – zażądał.

– Władku... – Chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Podszedł do niej i pocałował mocno i namiętnie. Matylda, zamiast zaprotestować, poddała się pieścizocie, zapominając o bożym świecie.

– Mamo? Moglibyście nas przepuścić? – Dorota i Piotr stali przy schodach, uśmiechając się. Wracając nad ranem z plaży, rozmawiali również o matce. Uważali, że nie powinna być sama. I nie była! To, co widzieli przed chwilą, sugerowało bliższą znajomość.

– Już, dzieci.

Matylda nie wiedziała, jak się zachować. Syn uścisnął dłoń Matuszewskiemu.

– Piotr jestem.

– Władek, przyjaciel twojej mamy.

– Bliski? – Piotr popatrzył na niego uważnie.

– Najbliższy – dodała niespodziewanie Matylda, łapiąc Władka za rękę. – Przepraszam, że nie wspominałam wam o tym wcześniej, ale...

– Mamo, wiemy, jaka jesteś – do rozmowy wtrąciła się Dorota. – Ładnie razem wyglądacie. I te kwiaty!

Wszyscy się roześmieli.

– Mamo, idziemy na plażę, a potem na szaszłyk. Nie szykuj dla nas obiadu – powiedział Piotr.

Matylda spojrzała zaskoczona.

– Ale chociaż dla Dorotki coś zrobię! Może lekką sałatkę? Przecież ona nie je nic innego.

– Dzisiaj na pewno zjem mięso. – Synowa mrugnęła okiem. – Właściwie nie chce mi się iść na plażę. Może wybierzemy się wszyscy na obiad?

Pozostali przyklasnęli pomysłowi, choć mina Matyldy wyrażała sceptycyzm. Nie była pewna, czy takie publiczne wyjście nie zaszkodzi Władkowi. Zauważył jej minę i chwycił za rękę, jakby chciał zapewnić, że nie ma się czego obawiać.

Kwadrans później siedzieli w szaszłykarni naprzeciw Hotelu Morski. Po tarasie, pomiędzy stolikami, krążyła Zoja. Zauważyła znajomą grupkę, uśmiechnęła się i pomachała im ręką.

Żartowali i śmiali się, czekając, aż skwierczące mięso osiągnie wymagany stopień upieczenia i chrupkości. Piotr uważnie przyglądał się Matuszewskiemu. Chciał wysondować, jak bardzo związany jest z matką. Nie było wątpliwości, że tych dwoje łączy uczucie, choć Matylda starała się za wszelką cenę robić wrażenie, jakby byli mniej zżyci. Krępowo ją, że Władek od czasu do czasu łapie ją za dłoń, aby pocałować z szacunkiem, głodzi po policzku, uśmiecha się uwodzicielsko. Nie przejmuje się chodzącymi dookoła ludźmi ani właścicielem szaszłykarni, który doskonale zna ich oboje. Zachowuje się, jakby to, co robi, było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Wreszcie i Matylda rozluźniła się i zaczęła uśmiechać.

Władek opowiadał właśnie jakąś anegdotę, gdy z hotelowego tarasu dobiegł krzyk Zoi:

– Łapać oszusta!

Na chodnik wybiegał właśnie jakiś chłopak z torbą przewieszoną przez ramię. Ludzie rozchodzili się na boki, aby go przepuścić, nikt jednak nie miał odwagi zatrzymać uciekiniera. Pierwsza ruszyła Dorota, zaraz za nią Piotr. Dobiegła do chłopaka i sprawnie przewróciła go na ziemię. Po chwili dołączył do niej mąż, krępując leżącemu ręce. Podnieśli go oboje i choć się wrywał, zaprowadzili na taras hotelu. Po chwili zjawiała się tam Matylda z Władkiem.

– Puszczajcie mnie! Nic nie zrobiłem! – krzyczał chłopak.

– Policja już wezwana – powiedziała zdyszana Zoja, która wybiegła z hotelowego biura. – Dziękuję, że go zatrzymaliście.

– Co się właściwie stało? – spytała Matylda.

– Kilka dni temu wśród naszych gości krążył niesłyszący chłopak. Stawiał na stolikach małe szklane słoniki z dołączoną kartką, że jest to zbiórka na organizację osób głuchoniemych. Część ludzi kupowała słoniki, a te, które nie zostały kupione, chłopak chował do torby. Miał na piersi plakietkę, że rzeczywiście należy do związku. Dzisiaj przyszedł kolejny chłopak. Zauważyłam go dopiero wtedy, gdy rozkładał słoniki na stolikach. Machnęłam ręką, bo byłam pewna, że jest kolegą tego sprzed kilku dni. Pewnie nadal bym tam myślała, gdyby nie jeden z klientów, który odruchowo zwrócił się do niego z pytaniem, ile kosztuje taki słonik. Chłopak z rozpędu odpowiedział! Nie był ani głuchy, ani niemy. Gdy chciałam wyjaśnić sprawę, zerwał się do ucieczki. Przecież to oszustwo.

Wszyscy pokiwali głowami, przyznając jej rację. Akurat pod hotel podjechał policyjny radiowóz. Funkcjonariusze przejęli chłopaka i wysłuchiwali całej historii.

– Proszę zobaczyć, jaką kartkę dołączył. „Słonik na szczęście” – przeczytała Zoja. – Czy ludzie naprawdę muszą zarabiać w taki sposób? Oszukiwaniem?

Matyldę coś tknęło.

– Proszę zapytać, czy to nie ojciec kazał mu tak zbierać pieniądze – powiedziała do policjanta.

– Właśnie z płaczem opowiada, że to вина jego taty. Skąd pani wiedziała? – spytał funkcjonariusz.

– Jak chłopak się nazywa?

– Trznadel, syn Marka...

Matylda odetchnęła głęboko. Co za rodzina! Jak nie szantażem, to chcą zarobić naciąganiem ludzi.

– Wiesz, ten cały Trznadel był dzisiaj u mnie w gabinecie – przyznał Władek, gdy wracali do pensjonatu.

Spojrzała na niego wystraszona.

– Co chciał?

– Proponował sprzedaż najpiękniejszych aktów świata. I choć pokusa była duża, nie zgodziłem się.

Matylda poczerwieniała i parsknęła śmiechem.

– Mój kochany wariat! Był u mnie kilka dni temu. Nie miałam nic wspólnego z aktem wandalizmu w domku Evy Braun, ale on posiadał dowód, że z niego wychodziłam. A potem ta

nocna kąpiel ze znajomymi...

– Skoro miałaś świadków, że nie zrobiłaś nic złego, to czego się obawiałaś? – Matuszewski popatrzył na nią uważnie.

Milczała.

– Bałaś się, że ujawnienie tych zdjęć mi zaszkodzi, prawda? – domyślił się. Raptem przystanął, obrócił Matyldę do siebie i nie zważając na zaciekawione spojrzenia ludzi idących chodnikiem, wziął twarz kobiety w dłonie, jakby chciał, aby dokładnie go wysłuchała i zrozumiała, co do niej mówi. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że jesteśmy partnerami? Nie musisz usuwać się w cień ani stać za mną. Masz być przy mnie!

I pocałował ją. Wokół rozległy się pełne aprobaty pomruki.

**S**



Buty dzisiaj wyjątkowo go cisnęły. Jakby nie pozwalały iść dalej, namawiały do zaprzestania wędrówki, kazały stanąć w miejscu, a jeszcze lepiej – zawrócić do Pobierowa. Nigdy nie przypuszczał, że jego serce zdrzży na czyjś widok. Te czasy miał za sobą... Tak przynajmniej myślał do ubiegłej nocy.

Zdążył schować się w namiocie, kiedy przyszła. Nie mówiła nic, nie pytała, nie prosiła... Zaczęła go całować i pobudzać, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Nie kochał się z nikim od wielu lat. Zaraz po wyjściu z więzienia rozpoczął pierwszą pielgrzymkę. Ta była drugą wyprawą w jego życiu. Nigdy nie obiecywał czystości, ale nie szukał też nikogo do fizycznego spełnienia. Już kiedyś przyrzekł sobie, że również w tej kwestii zda się na Boga. Co wieczór podczas wieczornej modlitwy dodawał: „Wszystko w Twoich rękach, Panie”.

To On przyprowadził mu do namiotu Aldonę. Co mogła widzieć interesującego w byłym kryminaliście w przepoconym ubraniu, obywającym się kilka dni bez prysznica, w brudnych butach i zaroście na twarzy? Nic! To musiała być wyłącznie boska interwencja.

Michał Juszczyk nie planował dalszego życia. Zdawał się na to, co przyniesie mu los. Nie miał pomysłu, co zrobi po powrocie z pielgrzymki. Pewnie będzie szukał pracy, mieszkania, może podejmie jakąś naukę. Jeszcze tego nie wiedział. W tej chwili miał w głowie tylko Aldonę. „Może mi przejdzie podczas dalszej wędrówki” – próbował uspokajać sam siebie. Na próżno. Wiedział, że nie przejdzie. Nie znał jej nazwiska, a Wrocław, w którym mieszkała, był ogromny... Poza tym, jakie ma prawo, by jej szukać? Może jest z kimś związana? Z drugiej strony, gdyby była, nie przyszłaby do niego w nocy. Co ma robić? Pokusa zawrócenia jest silniejsza niż kiedykolwiek dotąd! Nie cierpi jego ciało, to serce chce z powrotem...

Wtedy powziął decyzję. Nie będzie to tylko jego pielgrzymka. Pójdzie także w intencji Aldony. Jedną modlitwę odmówi za siebie, drugą za nią. Jedna świeczka w kościele za siebie, druga za tę niezwykłą kobietę, piękną mimo swojej ułomności. Zawierzy wszystko Bogu.

Wyprostował się i z modlitwą na ustach rażno poszedł dalej.

## S

– Córeczko, zrobiłaś cotygodniowe badania? – w głosie mamy słyszała autentyczną troskę. Zabroniła do siebie dzwonić. Naprawdę chciała udowodnić bliskim, że brak nogi nie oznaczał utraty całkowitej sprawności.

– Zrobiłam – powiedziała.

– I co, wszystko dobrze?

Zbyt długa cisza...

– Córeczko, coś nie tak? – matka zaniepokoiła się mocniej.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Mamo, poprosiłam lekarza, aby nie psuł mi urlopu, jeżeli wyniki będą odbiegać od normy – powiedziała Aldona.

Po drugiej stronie telefonu rozległo się westchnięcie.

– Córciu, może ty lepiej wracaj już z tego Pobierowa... Co cię tam wyгнаło? Tu przynajmniej miałam cię w pobliżu, a teraz jesteś daleko.

– I nie masz nade mną żadnej kontroli, prawda? – Aldona nieznacznie podniosła ton. – We Wrocławiu też radziłam sobie sama.

– Bo tak chciałaś i oboje z ojcem uszanowaliśmy twoją decyzję, choć byliśmy przeciwni. Nieważne zresztą. W tym Pobierowie nie ma nawet normalnego lekarza.

– Jest doktor medycyny rodzinnej. Nikogo innego przez tych kilka dni mi nie potrzeba – westchnęła.

– Córeczko, przecież chodzi o twoje dobro. Gdyby coś wydarzyło się tutaj, w dużym mieście, masz zapewnioną natychmiastową opiekę. A tam? We Wrocławiu jesteś bezpieczniejsza – próbowała tłumaczyć matka, ale Aldona jej przerwała:

– Mamo, bardziej dosadnie już nie mogę: jeżeli nowotwór ma powrócić, to tych kilka dni w Pobierowie nic nie zmieni. Wręcz przeciwnie, mogą być moją ostatnią pamiątką.

Pożałowała swoich słów, gdy usłyszała w telefonie stłumiony płacz matki.

– Nie przekonam cię... Dbaj o siebie i bierz leki.

– Mamo, wracam za trzy dni.

– Pójdiesz od razu do swojego lekarza?

– Tak, pójdę – obiecała Aldona i się rozłączyła.

Gdy tylko odłożyła telefon, od razu zapomniała o całej rozmowie. W jej głowie był tylko Michał Juszczak.

## S

Antoś przyglądał się Ryszardowi z uwagą. Po raz pierwszy widział go płaczącego. Zazwyczaj to mamie leciały łzy, jak ostatnio, gdy poplamiła ulubioną sukienkę. Ale chłopiec śmiał się z niej wtedy. Jak można płakać z powodu brudnego ubrania? On nie szlocha, gdy wraca do domu z ciemnymi plamami na spodenkach.

Ryszard także nigdy nie płakał.

– Smutny jesteś? – Chłopiec przysunął się do opiekuna. Mężczyzna objął go ręką i przytulił do siebie.

– Nie – powiedział. – To z radości.

– Kłamiesz! Wtedy ludzie się śmieją, a nie płaczą!

– Czasem zamiast uśmiechu lecą łzy, Antosiu. – Ryszard pociągnął nosem i otarł twarz chusteczką. – To co, idziemy na lody? Zosia nie chciała pójść z ciocią na szaszłyk, to może da się namówić na coś słodkiego?

– Jasne, że dam! – Umorusana dziewczynka stanęła przy nich na tarasie. Od rana zabawiała się w ogrodniczkę przesadzającą kwiaty w wyznaczonym przez Matyldę miejscu. Zajęta pracą, nie rozmyślała tak o rodzicach. Zresztą mieli przyjechać w niedzielę rano.

Kwadrans później siedzieli przy stolikach lodziarni. Dzieci pałaszowały zimny przysmak, a Ryszard rozmyślał o rozmowie, którą przeprowadził przed godziną. Krótkiej, ale wystarczającej, aby wytrącić go z równowagi na resztę dnia.

Był pewien, że numer, który zapamiętał przed laty, jest już nieaktualny. Na pewno pod tym adresem mieszka teraz ktoś inny. Wystraszył się, gdy usłyszał sygnał. Już miał przerwać połączenie, gdy odezwał się ktoś po drugiej stronie słuchawki.

– Adrian Nawrocki, słucham? – Ten lekko zdyszany głos rozpoznałby na końcu świata.

– Dzień dobry – odezwał się drżącym głosem.

– Tato? Tato, to ty? – Syn nie mógł uwierzyć, że po tylu latach słyszy ojca.

Ryszarda dobiegł jakiś inny dźwięk w słuchawce, lekka szamotanina, szept Adriana, że teraz nie można, bo rozmawia, ale to wszystko okazało się nieskuteczne. Po chwili w telefonie dało się słyszeć słodki głosik.

– Halo, tu Zuzia Nawrocka. Jestem już duża i chodzę do przedszkola. A ty kim jesteś?

– To twój dziadek – wtrącił się Adrian.

– Dziadek? Ten ze zdjęcia?

– Tak – potwierdził. – A teraz daj nam chwilę porozmawiać. Zaraz do ciebie przyjdę i pojedziemy na Arkonkę.

Ryszard usłyszał tupot oddalających się stópek. A więc ma wnuczkę...

– Tato, wielokrotnie próbowałem do ciebie dzwonić, ale polikwidowałeś stare numery. Wymeldowałeś się też z dawnego mieszkania. Jakbyś chciał zostawić całą przeszłość za sobą. I nas także.

– To nie tak – zaczął Ryszard, ale syn mu przerwał:

– Wiem. Obwiniłeś się i uważałeś, że nie jesteś godny patrzeć nam w oczy. Do wszystkiego doszedł jeszcze rozwód z mamą. Nikt nie był winny tej tragedii. Nawet policjant, który także zginął w wypadku. Wiele lat opiekuje się nami duszpasterz osób, które straciły bliskich w wypadkach. Szkoda, że ty nie mogłeś uczestniczyć w tych spotkaniach. Jednak skoro dzwonicz... Ale może jesteś chory i potrzebujesz pomocy? Może nie masz gdzie się podziąć? Może...

– Adrian – łzy leciały z oczu ojca – po prostu chciałem cię dzisiaj usłyszeć. To wszystko. Nie wiem, czy zrobimy kolejny krok, ale na razie jestem szczęśliwy, że mogłem zamienić z tobą kilka słów. I usłyszeć rezolutną wnuczkę. Na pewno piękna z niej dziewczynka.

– Odważna jak Krystian – po raz pierwszy w rozmowie padło imię zmarłego. – Niczego się nie boi.

Roześmieli się obaj. Każdy miał w głowie obraz Krystiana, zawadiackiego i uśmiechniętego.

– Odezwij się albo pozwól mi na to – powiedział Adrian na zakończenie.

– Postaram się być za miesiąc. Wiesz gdzie... – powiedział Ryszard i rozłączył się.

Rozmyślał o skończonej właśnie rozmowie. Niby nic, niby kilka zdań, ale jakże ważnych dla niego po tylu latach. Dawały mu nadzieję na resztę życia.

## S

– Pani Zoju, jest pani pewna? – Właścicielka hotelu spojrzała na kobietę. – Tak dobrze nam się współpracowało, choć domyślam się, że ciężko było wytrzymać tyle godzin na nogach.

– Nie zostawiam pani samej. Ta studentka, która była wczoraj pytać o pracę, wygląda na solidną dziewczynę.

– Tak, znam ją, jest z Pobierowa. Tylko na początku wydawało mi się, że bardzo zależy pani na pracy. Brała pani wszystkie dodatkowe godziny. – Właścicielka hotelu nie mogła nadziwić się, dlaczego w Zoi zaszła nagle taka zmiana.

– Każdego dnia dzieją się rzeczy, które nas wzbogacają. Powinnam wreszcie odpocząć. Niewiele urlopu już mi zostało.

Zoja pożegnała się i wróciła do pensjonatu. Do dzisiaj miała noclegi opłacone przez pracodawczynię. Z otrzymanej przed chwilą należności uiściła Matyldzie opłatę jeszcze za trzy dni. Potem musi wrócić do Szczecina i pozałatwiać sprawy do końca.

Ale dzisiaj będzie odpoczywać. Na tarasie pensjonatu było gwarno, lecz nie przeszkadzał jej hałas. Matylda przygotowywała podwieczorek dla wszystkich. Niby nic, zwykłe truskawki ze śmietaną, ale pachniały tak kusząco, że trudno było im się oprzeć. Nim Zoja się zorientowała, siedziała pośrodku towarzystwa i czuła się fantastycznie. Słuchano jej, pytano ją o opinię, nie lekceważono. Boże mój, jak niewiele trzeba do szczęścia.

## S

– Mamo, pomogę ci zmywać – Dorota stanęła w kuchni z ogromną misą po truskawkach.

Pracowały wspólnie, ramię w ramię. Synowa podawała mokre naczynia Matyldzie, która osuszała je ręcznikiem. Obie wyglądały przez kuchenne okno.

– Chyba dobrze się dogadują – powiedziała Dorota, patrząc na Piotra i Władka, zaśmiewających się z czegoś. Każdy z nich trzymał butelkę schłodzonego piwa.

– Mam nadzieję – westchnęła Matylda. Była zaskoczona i zażenowana tempem, w jakim wszystko potoczyło się tego dnia.

– Mamo, dlaczego go ukrywałaś? – Dorota spojrzała na teściową. – Przecież masz prawo do własnego życia, tym bardziej po tylu samotnych latach.

– To jest mała miejscowość. Po sezonie Pobierowo jest wioską z tysiącem mieszkańców. Obawiałam się, że będziemy ciągle na językach. Jesienią są wybory, Władek na pewno będzie startował po raz kolejny. Ludzie jak to ludzie, potrafią wyciągnąć każdy brud i odbiegające od normy zachowanie, aby komuś zaszkodzić. Może na przykład nie podobać się im, że ma konkubinę, a nie żonę.

Dorota machnęła ręką.

– Eee tam, ludzie nie są już tacy zaściankowi. To nie jest już tak wstydlive, jak jeszcze przed dwudziestu laty.

– Gdy chce się uderzyć psa, zawsze znajdzie się kij. Konkurentem do stanowiska wójta będzie młody przebojowiec. Ludzie szybko zapominają, co Władek zrobił dla gminy. Zresztą, sama widzisz różnicę pomiędzy tym, co jest dzisiaj, a tym, co było choćby dwa lata temu. Właśnie, w ubiegłe lato was tutaj nie było. To wtedy trwały intensywne prace na pobierowskim dworcu.

Dorota niemal przyznała się, dlaczego poprzedni urlop spędzili we Wrocławiu, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Po co roztrząsać coś, co było? Zrobiła duży błąd, przyjmując tak słowa lekarza. Z drugiej strony, zadbała o siebie, przygotowała organizm do... Tak, teraz poczuła to mocno, patrząc przez okno na Piotra. Chce dziecka. Chce dać szczęście i ukochanemu mężczyźnie, i jego matce, a przede wszystkim sobie.

– Matyldo, weźmiemy po jeszcze jednym piwie, dobrze? – W drzwiach kuchni stanął uśmiechnięty Władek.

– Jasne. Jest w lodówce – powiedziała. – Najwyżej zostawisz samochód, a ja odwiozę cię do domu. Nie możesz prowadzić po dwóch piwach.

– Wcale nie zamierzałem prowadzić. Dzisiaj zostaję tutaj. – Mrugnął okiem do Doroty. Odwróciła głowę, aby się nie roześmiać. – Chyba że mnie wyrzucasz?

– Naturalnie, że nie! – zachnęła się sołtyska. – Zaraz przygotuję ci pokój.

– Nie musisz, śpię dzisiaj w twoim łóżku. – Wziął piwa, pocałował poczerwieniałą nagle Matyldę i wyszedł, nucąc pod nosem jakąś melodię.

Dorota podeszła do teściowej i uściskała ją.

– Ech, mamo, masz takiego fajnego faceta. Wyluzuj trochę! I przygotuj na noc ładną koszulkę.

Uciekła, zanim roześmiana Matylda rzuciła w jej stronę kuchennym ręcznikiem.

Brunon niepewnie stanął w drzwiach. Dopiero lekkim popchnięciem matka pomogła mu dostać się do środka.

– Dzień dobry – powiedział, uważnie przyglądając się Jagusiakowej. Chciał sprawdzić, czy na pewno jest żywa. Ciągłe miał przed oczami widok z cmentarza, gdzie starsza pani leżała zakrwawiona.

– Witaj, mój chłopcze – pani Janina odezwała się w tak łagodny sposób, że w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że to jej głos. Przecież zwykle miała inny: wszystkowiedzący, oszczerczy i kategoryczny.

– Mama kazała mi dać pani kwiaty – powiedział, powoli zbliżając się do łóżka. – Proszę.

Położył wiązanek piwonii na pościeli. Momentalnie odpadło od niej kilka płatków. – Widzisz! – zirytowany Brunon zwrócił się do matki, a jego ręce niebezpiecznie zaczęły krążyć wokół twarzy. – Nie nadaję się do kwiatów! Nie umiem!

– Spokojnie, synku. – Matka objęła go delikatnie w pól. Dotyk sprawił, że chłopak powoli się uspokajał. – Usiądź na krześle.

Brunon wykonał polecenie.

– Szpital tak na niego działa – wyjaśniła Anna Kosmala. – Nie lubi ludzi w białych fartuchach ani tego specyficznego zapachu.

– Ja także nie – Jagusiakowa zwróciła się bezpośrednio do chłopaka. – Nie lubię tego miejsca, choć wiem, że nikt nie zrobi mi tutaj nic złego. Wręcz przeciwnie. Lekarze mnie uratowali. Ale życie zawdzięczam tobie. Gdybyś nie znalazł mnie na tym cmentarzu, to już pewnie naprawdę bym tam leżała.

– W grobie? – zainteresował się Brunon.

– Tak.

– Ale już pani leżała. I jak tam jest? – temat okazał się wciągający.

– Cóż... Ciasno – roześmiała się starsza kobieta.

– To po co wykopała sobie pani taki mały?

Teraz roześmieli się wszyscy. Także Widacki, który właśnie wszedł z koszykiem wypełnionym świeżymi owocami.

– Dzień dobry – rzucił od drzwi. – Rozmawiałem jeszcze chwilę z lekarzem. Jeżeli nic się nie wydarzy, to w środę będzie pani mogła wrócić do domu.

Jagusiakowa rozpromieniła się, ale po chwili uśmiech na jej twarzy zgasł.

– Nawet nie wiem, o której mam jakikolwiek autobus do Pobierowa – wyszeptła.

– Tego dnia też muszę być w Gryficach – powiedział Widacki. – Zabiorę wtedy panią do domu.

Pani Janina spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedziała. – Jest pan dobrym człowiekiem.

Poczerwieniał. Nie był dobry, bo właśnie skłamał. Nie miał nic do załatwienia w mieście w następnym tygodniu. Nigdy jednak nie zgodziłby się, aby Jagusiakowa wracała komunikacją zbiorową po takim wypadku.

– No to co z tym grobem? Po co go pani wykopała? – upomniał się o odpowiedź Brunon.

– Wykopał go Franek, ten mężczyzna w koparce. Pamiętasz go? – wyjaśnił chłopcu pan Jan.

– Wczoraj wieczorem wybrałem się w tej sprawie do Matyldy, naszej sołtyski. Akurat był u niej wójt. Obiecał zająć się tą sprawą i pociągnąć do odpowiedzialności bezmyślnego

Franka.

– To pani pilnowała tego dołu? – drążył dalej Brunon.

– Nie, po prostu wpadłam do niego. Nie był oznaczony, a ja szłam po ciemku – powiedziała pani Janina.

– Co pani robiła nocą na cmentarzu? – zapytała tym razem Anna Kosmała.

– Wiem, że w tej sytuacji głupio zabrzmiał, ale... polowałam na wandalę, który zarysowuje pomnik mojego męża – powiedziała. – Rysy nie są głębokie, ale chciałam sprawdzić, kto się na mnie mści.

– Na pani? – zdumiała się mama Brunona. – Rysy są na wszystkich pomnikach! Podczas księżycowych nocy z lasu wychodzą liski i bawią się odbiciami światła na nagrobkach. Większość pomników ma takie delikatne zarysowania od ich pazurków.

– Nie wiedziałam, nikt mi nie powiedział... – zaczęła Jagusiakowa, przybierając lekko oskarżycielski ton.

– Moja mama też nie lubiła z panią rozmawiać – powiedział Brunon. – Zawsze mówiła, że pani wyrządza ludziom przykrość.

– Synku... – Anna Kosmała momentalnie poczerwieniała.

– Proszę... – Jagusiakowa podniosła rękę. Ton głosu miała już łagodny, ale smutny. – On ma rację. Mam nadzieję, że będę miała szansę wszystko naprawić. Nie raz jeszcze na wierzch wyjdą moje męczące cechy, ale będę się starała, żeby zdarzało się to jak najrzadziej. Co tam dobrego przynieśliście w koszyku? Chyba czas na drugie śniadanie. Zaraz wszyscy je zjemy. Wiecie, jaka ta szpitalna kuchnia paskudna? A salowej to dzisiaj jeszcze nie widziałam... No ale miałam nie narzekać. Bierzmy się do jedzenia.

## S



Iwona i Robert zrobili Zosi ogromną niespodziankę, przyjeżdżając do Pobierowa wcześniej rano. Cały dzień spędzili na plaży. Niedaleko nich bawił się Ryszard z Antosiem, dziewczynka miała więc towarzyszy do budowania zamków z piasku. Co chwilę zerkała jednak w stronę rodziców, jakby upewniała się, że wszystko w porządku, że są z nią, rozmawiają i się przytulają.

Iwona była jak odmieniona. Uśmiech nie schodził jej z twarzy i wydawała się zdrowsza niż kilka dni temu. Drugi poranek minął bez dolegliwości ciężowych, nabrała więc ochoty na gofra z dużą ilością owoców i bitej śmietany. Zostawili Ryszarda z chłopcem na plaży, bo ta dwójka nie miała jeszcze ochoty przerywać zabawy. Sami poszli do pobliskiej kawiarenki, chroniąc się pod parasolem przed palącym niedzielnym słońcem.

– Tatusiu, naprawdę musisz dzisiaj wyjechać? – spytała zawiedziona Zosia.

– Tak – odparł Robert. – Jutro mam rozmowę w sprawie pracy i powinienem pojawić się na niej wypoczęty.

– Będę trzymać za ciebie kciuki – powiedziała dziewczynka. Wyjaśnili jej, że tatuś nie pracuje już tam, gdzie do tej pory.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – odezwała się Iwona, gdy córeczka odeszła popatrzeć na straganowe ozdoby.

Zaskoczony Robert spojrzął na żonę.

– Chcę pójść na tę rozmowę.

– Nie o tym mówię. Mam na myśli twój powrót do mieszkania.

– Kochanie, Monika już nie jest groźna – roześmiał się. – Wie, że nie wierzymy w ani jedno jej słowo. Myślisz, że rzuci się na mnie na klatce schodowej i zaciągnie siłą do mieszkania? Kochanie, będzie jej wstyd! Po tym wszystkim, co zrobiła, nie pokaże się nam na oczy.

Iwona nie była tego taka pewna. Monika była uparta. Zazwyczaj osiągała to, co postanowiła. Pamiętała, jak w złości rzucała wszystkim, co popadnie, aż przechodziła jej furia. Nieważne, czy chodziło o nieudaną randkę, czy też o złą ocenę w szkole. Iwona usuwała się wtedy w cień i czekała, aż kuzynce wróci dobry lub przynajmniej normalny nastrój. Pamiętała, jak wtedy obawiała się tych wahań nastroju.

– Zresztą dzisiaj wrócę tak późno, że nawet się nie zorientuje, że przyjechałem.

Wracali niespiesznie do pensjonatu, delektując się swoją bliskością. Po chwili Iwona i Zosia machały odjeżdżającemu Robertowi na pożegnanie.

## S

Zoja czuła się dziwnie, jakby jej czegoś brakowało. Była przyzwyczajona do dnia wypełnionego obowiązkami, nawet podczas urlopu. A teraz leżała beztrosko na plaży i wystawiała twarz do słońca. Telefon komórkowy zostawiła w pensjonacie. Był wyłączony od kilku dni. Kaczorowski wydzwaniał co chwilę, a ostatnie, na co miała ochotę, to rozmowa z nim.

Takiego Tadeusza nie znała. Nie przebierał w słowach nagrywanych na automatycznej sekretarce. Obrażał ją, aby w następnym nagraniu zapewniać o wyjątkowej miłości. Gdy nie reagowała na żadne wiadomości, zaczął nagrywać się wyłącznie ordynarnie.

Miała wyjątkowego farta z kluczami od mieszkania. Praktycznie od zawsze jeden dorobiony egzemplarz miała u siebie Ulka, jej koleżanka z apteki. To ją poprosiła o zlecenie błyskawicznej wymiany zamka, gdy w telefonie zamiast Kaczorowskiego odezwała się jakaś kobieta.

Zastanawiała się, ile jeszcze by zniosła, gdyby nie tamten telefon. Przecież zachowanie Tadeusza było takie samo od początku, choć dopiero teraz to widziała. Nigdy nie była dla niego kimś ważnym. Doskonale sprawdzała się jako opiekunka i fanka dawnego poety, którego sława już przeminęła. Nie ma nic bardziej budującego niż wpatrzona w artystę kobieta. Wpatrzona, bo nawet nie zakochana. Zoja była pewna, że nie darzyła Tadeusza miłością. Cieszyła się, że jest mu potrzebna. Po co właściwie był jej ten Tadeusz? Przecież tyle lat doskonale radziła sobie sama, choć wielokrotnie czuła się samotna. Zachciało jej się na nowo związku i masz ci los! Nie dość, że po raz kolejny ktoś zawiódł jej zaufanie, to była to jeszcze finansowa klapa. Miała nadzieję, że po powrocie do Szczecina zastanie mieszkanie w takim stanie, w jakim je zostawiła...

## S

Ksiądz Zygmunt z uwagą przyglądał się zasypanej dziurze. Wystarczy, że na jeden dzień wyjedzie, a dzieją się niestworzone rzeczy. Przecież Jagusiakowa mogła stracić życie. Jeszcze raz potępieńczo spojrzął na Franka. Ten stał z pochyloną głową, bojąc się spojrzeć wielebnemu w oczy.

– Niech mi się to nigdy więcej nie powtórzy! – pogroził palcem proboszcz.

Franek opuścił głowę jeszcze niżej. Od wójta dostanie naganę, ale to i tak najlepsze, co mogło mu się przytrafić po całej tej historii. Mógł przecież stracić pracę. Czekał na dalsze słowa księdza Zygmunta, ale ten odchodził już w stronę plebanii. Przed drzwiami stał Widacki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział.

– Na wieki wieków – odparł proboszcz. Lubił emerytowanego pułkownika.

– Prosił ksiądz o nowe wieści w sprawie Jagusiakowej. W środę zostanie wypisana do domu.

– Może trzeba zorganizować jej jakiś powrót? – zastanawiał się proboszcz. – Poproszę mojego ogrodnika, może on pojedzie.

– Nie musi, ja odbiorę panią Janinę. – Jan Widacki nie patrzył księdzu w oczy. – I tak muszę po coś pojechać do Gryfic.

Ksiądz nic nie powiedział, uniósł tylko brwi w wyrazie lekkiego zaskoczenia. Kto by przypuszczał...? Dzieją się rzeczy na tej ziemi, o których nie śniło się filozofom.

– Swoją drogą, może warto Jagusiakową wciągnąć w kółko parafialne? – nieoczekiwanie dodał pułkownik. – Wydaje mi się, że towarzystwo dobrze jej zrobi.

– Jest pan pewien? Wszyscy wiemy, jaka jest pani Janina... – zaczął proboszcz.

– Gdy wysyłano mnie w rejony, w których toczyły się regularne walki, najgorszym momentem było leżenie plackiem w okopie. Nad głową świszczały bomby i huki wystrzałów, ale człowiek o tym nie myślał. Miałem wtedy nadzieję, że jeśli cokolwiek mi się stanie, zostanę odnaleziony w tym okopie. Tam człowiek czuje się... jak w grobie. Dlatego rozumiem, co mogła czuć w momencie, gdy wpadła do tego dołu. Strach, dodatkowo potęgowany przez noc i miejsce. Wydaje mi się, że dawnej Jagusiakowej już nie będzie. Warto dać szansę tej nowej. Na pewno nie zmieni się całkowicie, niejednokrotnie wyjdą na wierzch jej wady, ale będzie ich coraz mniej.

Ksiądz namyślał się chwilę.

– Zaproponuję jej udział w pielgrzymce parafialnej do Lichenia. Jedziemy już czternastego sierpnia.

– Bardzo dobry pomysł.

Po chwili pożegnali się i każdy wrócił do swoich obowiązków.

## S

Odebrała telefon dopiero po ósmym dzwonku. W słuchawce usłyszała męski głos:

– Pani Moniko, tu Stanisław Zalewski, detektyw.

– Słucham.

– Byliśmy umówieni na wczorajszy wieczór – przypomniał. – Nie pojawiła się pani.

– Już po sprawie. – Wzruszyła ramionami, choć nie mógł zobaczyć tego gestu. – Ten pan mnie więcej nie interesuje.

– No tak, ale ja straciłem czas na zbieranie informacji. Każda godzina mojej pracy kosztuje.

– I coś pan ustalili? – zdenerwowała się nagle. – Że znowu jest przykładnym mężusiem? Że wrócił na łono pieprzonej rodziny? Że znowu śpi w jednym łóżku z tą swoją świętobliwą Iwonką?

Potwierdziło się to, co przypuszczał od początku: klientka go okłamywała. Nie kazała śledzić męża, a ukochanego. A teraz zachowuje się, jakby ktoś wyrządził jej największą krzywdę w życiu. Nos byłego policjanta podpowiadał mu, że najgroźniejsza jest zawiedziona kobieta.

– Proszę do mnie więcej nie dzwonić! – Monika warknęła na zakończenie i się rozłączyła.

Stanisław Zalewski analizował wszystko przez chwilę. W szkole policyjnej miał wspaniałego wykładowcę, psychologa zajmującego się sprawcami przestępstw. To on kładł szczególny nacisk na głos potencjalnego sprawcy. Tłumaczył, że wiele można przewidzieć po zaledwie kilku zdaniach. Jak dziś pamiętał słowa nauczyciela:

– Zawierzcie swojej intuicji. Jeżeli coś was zaniepokoiło dłużej niż sekundę, obserwujcie.

Detektyw Zalewski nie zastanawiał się dłużej. Wziął leżące na biurku kluczyki i zszedł do stojącego na parkingu samochodu. Było dopiero po ósmej, ale poobserwuje sobie panią Monikę.

## S

– Co robimy dzisiaj? – spytał Piotr, patrząc na leżącą obok żonę. Kolejna fantastyczna noc za nimi, wypełniona bliskością i przytulaniem. – Pobiegasz?

– A będziesz mi towarzyszył? – odpowiedziała pytaniem.

Zawahał się.

– Tak, ale potem zjemy jakieś dobre śniadanie.

– Chyba w jakiejś knajpce, bo twoja mama powinna się dzisiaj dobrze wyspać. – Mrugnęła do męża i poszła do łazienki.

Pół godziny później biegli po plaży.

– Chyba po powrocie do Wrocławia zacznę więcej ćwiczyć – sapał zdyszany Piotr.

– Przyda ci się kondycja, jeżeli mamy mieć dziecko – powiedziała nieoczekiwanie. – Nie wyobrażam sobie, abyś nie dał rady biegać za maluszkiem.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co powiedziała. Zatrzymał Dorotę i obrócił do siebie.

– Naprawdę chcesz mieć małego, słodkiego, pachnącego dzidziusia? – spytał.

– Z takim facetem jak ty mogę mieć nawet ich stadko – odparła z pełnym przekonaniem.

– Za dwa dni wracamy. W domu pokażę ci, na co mnie stać.

Po chwili całowali się jak szaleni, nie zwracając uwagi na innych amatorów porannego biegania. Nie zauważyli także Jacka Pszczoły, biegnącego w towarzystwie blondynki, której atrakcyjność przyćmił nieco wiek.

## S

Robert budził się powoli. Wyspał się, a teraz spokojnie zje śniadanie i przygotowuje dokumenty do rozmowy kwalifikacyjnej. Wczoraj wrócił na tyle późno, aby Monika go nie dostrzegła. Przez chwilę myślał ze złością, że oboje wpadają w jakąś psychozę. Ile mogą się ukrywać przed kuzynką żony? Przecież to Monice powinno być wstyd za jej zachowanie.

Pół godziny później, ogolony i odświeżony, wychodził z mieszkania. Ze zdenerwowania upuścił klucze, które z głośnym brzękiem upadły na kamienną podłogę. Podniósł je szybko i zamknął drzwi. Po schodach schodził cichutko, prawie na palcach, nie próbując nawet zerkać w stronę drzwi Moniki. To był błąd... W momencie, gdy miał je mijać, otworzyły się na oścież. Kuzynka Iwony przyskoczyła do Roberta, łapiąc go za jedną rękę, a drugą rysując czymś ostrym po teczce z dokumentami. Ze zdumieniem odkrył, że Monika trzyma w dłoni długi nóż.

– Czyś ty zwariowała?

Pierwszy raz widział ją w takim stanie. Miała potargane włosy, przekrwione źrenice, jej oczy rzucały obłądne, niebezpieczne błyski... Wyglądała, jakby wpadła w szal. Po raz kolejny tak szybko mignęła nożem, że dopiero gdy poczuł pieczenie na policzku, dotarło do niego, że został zraniony. W tej kobiecie było tyle niespodziewanej siły, że nie miał szans na jakąkolwiek obronę.

– Nie chciałeś mnie, nie będziesz miał nikogo! Nie jestem przybłądą, aby gardzić moimi uczuciami! Wystarczająco dużo czasu poświęciłam, abys zrozumiał, kto jest twoim przeznaczeniem! Jak śmiesz mną pomiatać? Nie pozwolę się odepchnąć!

– Starczy!

Robert próbował uniknąć kolejnych ciosów, ale bezskutecznie. Po chwili poczuł pieczenie na prawej dłoni, na szyi...

– Stać! Policja! – dobiegło go niespodziewanie zza pleców.

Nim się zorientował, Monika została obezwładniana przez funkcjonariuszy. Nie szło im z nią łatwo. Wierzgała, kopała i zarzucała ich inwektywami.

– Dobrze się pan czuje? – Stanisław Zalewski uważnie przyglądał się Robertowi. – Zaraz wezwę karetkę. Tak myślałem, że będę dzisiaj tutaj potrzebny.

– Kim pan jest?

– Później będzie czas na wyjaśnienia. Miał pan dużo szczęścia, że akurat moi znajomi mieli dzisiaj służbę. Zaraz się panem zajmą i spiszą zeznania. Ja swoje złożę później.

– Która godzina? – spytał z przestraszeniem Robert.

– Dziewiąta.

– Później złożę zeznania! Mam rozmowę kwalifikacyjną, już jestem spóźniony.

– Przecież ma pan rany wymagające opatrzenia i szycia. – Zalewski spojrział na niego uważnie. – Trzeba o to zadbać.

Robert spojrział na niego błagalnym wzrokiem.

– Ta rozmowa to dla mnie sprawa życia i śmierci.

– Staszku, drugi patrol przyjechał – dobiegł ich głos funkcjonariusza.

– Poczekaj, niech nie wysiadają z radiowozu – polecił Zalewski. – Niech ruszą z tym panem na sygnale i zawiozą go pod adres, który poda. Nie zabawi tam długo.

Po chwili Robert siedział w pędzącym radiowozie i mknął w stronę Bramy Portowej.

S

– Panie wójt, co zrobimy z tym Trznadlem? – W gabinecie zjawił się posterunkowy Jaworski. – Przecież temu gadowi nie można puścić sprawy płazem. W grę wchodzi szantaż, próba zastraszenia oraz namawianie do oszustwa. No i akt wandalizmu. To jest kilka paragrafów... Jednak część z nich niezmiennie będzie wiązać się z pana nazwiskiem.

Matuszewski zastanawiał się przez chwilę. Trznadel oddał zdjęcia, ale nie okazał zbytniej skruchy. Taki człowiek wykorzysta każdą inną możliwość, aby naciągnąć ludzi i nie skalać się pracą.

– Mam dla niego propozycję nie do odrzucenia. – Pomysł wpadł Władkowi do głowy nagle.

– Gdzie trzymacie tego osobnika?

– Jest u nas, na komisariacie. Dzisiaj składał zeznania.

– Możesz go tutaj przyprowadzić?

Jaworski przytaknął. Budynek policji mieścił się tuż obok Urzędu Gminy. Po dziesięciu minutach był z Trznadlem z powrotem.

– Panie posterunkowy, co grozi temu człowiekowi? – spytał groźnie wójt.

– Cóż, jeżeli podsumujemy wszystkie winy, do prokuratury pójdzie kilka wniosków. Szantaż, zdemolowanie obiektu o historycznej wartości, namawianie dziecka do żebractwa i oszustwa, niezgłoszone nigdzie zbiórki pieniędzy po domach... Sprawca pokryje na pewno koszty sądowe i...

– O, nie! – jęknął Trznadel z przestachem. – Panie wójt, nie da się tego załatwić w inny sposób? Może jakieś godziny odpracuję na rzecz gminy?

Matuszewski udawał, że zastanawia się nad wszystkim. Chodził po gabinecie, marszczył brwi.

– Dobrze – rzekł wreszcie. – Jutro stawi się pan przy publicznym szalecie przy ulicy Mickiewicza w Pobierowie, tuż przy głównym zejściu na plażę. Będzie tam czekał pracownik tutejszego urzędu, który wyda panu papier toaletowy, a wieczorem rozliczy z utargu. Będzie pan tak odpracowywać winy przez miesiąc. Nie daj Boże, abyśmy przyłapali pana na kolejnej próbie wyłudzenia pieniędzy czy żebraniu. Wtedy od razu zajmie się panem prokurator.

Wystraszony i upokorzony Trznadel zgodził się na wszystko i czym prędzej opuścił gabinet wójta.

## S



Poprzedniego dnia wszyscy się rozjechali. Najpierw Dorota z Piotrem, zabierając ze sobą Aldonę. Nie musiała tłuc się pociągiem, skoro wszyscy jechali do jednego miasta. Torbę z ubraniami Piotr zostawił u matki.

– Wezmę ją w przyszłym roku – powiedział. – Albo porozkładaj rzeczy w szafie, nie będę musiał nic brać na następny urlop.

Aldona miała całe tylne siedzenie wyłącznie dla siebie. Mogła ułożyć wygodnie nogę z protezą.

Dwie godziny później Matylda odprowadzała na dworzec autobusowy Zoję, Ryszarda i Antosia. Będzie tęsknić szczególnie za tym smykiem. Obiecał wrócić do niej w przyszłym roku. Zoja i Ryszard zjawili się w pensjonacie jako obcy sobie ludzie, a wyjeżdżali całkiem zżyci – odnotowała sołtyska.

– Robert się odzywał? – spytała Matylda, gdy wróciła do pensjonatu.

– Tak, przyjedzie dzisiaj wieczorem – uśmiechnęła się Iwona. – Mówił, że musi jeszcze podjechać do lekarza. Prawdopodobnie robi już badania do nowej pracy, w jakim innym celu musiałby pójść do doktora? Tak się cieszę, że dostał tę posadę. Zacznie pierwszego sierpnia, więc możemy tych kilka dni spędzić tutaj razem.

– I ja się cieszę, że nie zostawiam was samych – przyznała ciotka. – Odpoczywajcie przez ten czas, bawcie się i nabierajcie sił. Szczególnie ty, bo przed tobą trudne miesiące.

– Teraz, gdy wiem, że Robert będzie znowu pracował na stanowisku, które jest zgodne z jego kwalifikacjami, nic nie wydaje mi się trudne. Zostaw tę kuchenkę, Matyldo i idź się pakować. Wyjeżdżacie wcześniej rano. Ja zajmę się czyszczeniem.

Godzinę później skupioną na wybieraniu odpowiednich ubrań ciotkę dobiegł krzyk Iwony:

– Matko Boska, jak ty wyglądasz? Co ci się stało?

Zbiegła szybko na dół. W kuchni stał Robert, a Iwona dotykała długiej rany na jego policzku.

– Nie chciałem cię niepokoić przez telefon – zaczął opowiadać. – Miałem jednak małe spotkanie z Moniką.

Opowiedział, co się stało; wszystko to było jakby wzięte rodem z filmu sensacyjnego.

– Została aresztowana na trzy miesiące – podsumował opowieść. – Napadła nie tylko na mnie, ale także na funkcjonariusza. Dobrze, że ten detektyw zjawił się w samą porę.

Iwona popatrzyła ze strachem na męża. Jeszcze raz przejechała mu delikatnie palcem po policzku.

– Całe życie mamy przed nią uciekać? – spytała. – Ona jest niebezpieczna.

– Wydaje mi się, że takie przypadki kwalifikują się do obserwacji psychiatrycznej – dodała Matylda. – Mam nadzieję, że tak będzie i tutaj. Kochani, uciekam spać. Władek przyjeżdża po mnie raniutko, pożegnaj się z wami już dzisiaj. Zosieńkę uściskam za chwilę. Dobrze, że ogląda film i nie słyszy całej tej historii.

– Bawcie się dobrze! Nie rozmyślaj, tylko odpoczywaj. Jak sama powtarzasz, najważniejsze jest zaufanie do najbliższych. – Iwona przytuliła Matyldę.

– Wzoruję się na najlepszych! – Ciotka uściskała ich oboje.

# Epilog

*Miesiąc później...*

To był deszczowy dzień, jakby adekwatny do rocznicy. 14 dnia sierpnia, jak co roku, zapalała świeczkę na grobie męża. Nigdy jednak nie przyjeżdżała na miejsce wypadku. Po raz pierwszy upamiętniała jego śmierć właśnie tutaj. Zrobiła to na prośbę Ryszarda. To on chciał, aby wybrali się razem do Dąbia. Od powrotu z Pobierowa byli w stałym kontakcie. Mężczyzna codziennie dzwonił do Zoi i pytał, jak spędza dzień, jak się czuje, co robi. Nie proponował spotkań, kawy na mieście czy wspólnego wyjścia. Po prostu się o nią troszczył. Przyzwyczała się do codziennych rozmów, choć były to jedynie słowa. A może aż? Nie rozmyślała, co będzie za miesiąc, rok czy kilka lat. Cieszyła się tym, co jest teraz.

Gdy zadzwonił i spytał, czy wybierze się z nim na miejsce wypadku, początkowo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Liczę na ciebie, Zoju – dodał cicho Ryszard. Nie wahała się więcej.

Stali, ociekając deszczem i wpatrując się w dwa niewielkie, drewniane krzyże. Nie rozmawiali, każde jednak było myślami przy 14 sierpnia sprzed kilku lat.

– Tato? – usłyszeli męski młody głos za plecami. – To naprawdę ty?

Podobieństwo było aż nadto wyraźne. Adrian wyglądał jak odmłodzony Ryszard. Podszedł do ojca i zamknął mężczyznę w uścisku. Obaj łkali. Zoja odruchowo zaczęła się wycofywać, chcąc zostawić mężczyzn samych, lecz w ostatniej chwili poczuła, że Ryszard łapie ją za rękę.

– Zostań – poprosił.

Pierwszy gest... Kiedyś zastanawiała się nad kolejnym, teraz jednak wystarczało jej to, co otrzymała w danej chwili. Niby nic, zwykły dotyk, a napełniał ją ogromnym szczęściem. Uścisnęła mocniej dłoń Ryszarda, dając mu do zrozumienia, że jest i będzie...

S

Aldona stała zaniepokojona w gabinecie lekarza.

– Nie, nie usiądę! Jak mogę spokojnie siedzieć, kiedy w ciągu tygodnia kazał mi pan powtórzyć badania? Nie jestem głupia. Wiem, co to oznacza. Już podczas urlopu wyniki krwi nie wyszły zbyt ciekawie, a teraz pan każe powtarzać najważniejsze badanie. Rak powrócił, prawda? – Już nie ukrywała łez.

– Pani Aldono, proszę się uspokoić – powiedział doktor dziwnym tonem. – Owszem, kazałem powtórzyć badanie. Jednak nie dlatego, że znaleźliśmy kolejne ognisko nowotworu...

– A dlaczego? – Kobieta spojrzała na niego jeszcze bardziej podejrzliwie. – Choruję na coś innego?

– Nie, jednak w wynikach jest coś mocno zastanawiającego.

– Co?

– Jak by to powiedzieć... Ten rodzaj mięsaka, taka ilość chemii wlanej w organizm, tyle leków, to wszystko było widoczne w badaniach. Uszkodzenia wątroby, parametry... Wszystko wskazywało, że kiedyś toczyła pani walkę z nowotworem. Teraz mogę przyznać, że przed pani urlopem wydawało mi się, że jest coś niepokojącego w węzłach chłonnych. Nie chciałem jednak psuć pani nastroju. Gdy patrzę na wyniki sprzed kilku dni... Nawet nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Najlepiej prostymi słowami! – zirytowała się Aldona.

Doktor nabrał powietrza.

– Ma pani takie wyniki, jakby nigdy nie chorowała. Wątroba nie jest nawet osłabiona! Parametry są idealne. Gdybym widział panią po raz pierwszy, nie uwierzyłbym, że kiedykolwiek pani chorowała. Świadczy o tym tylko proteza. Dlatego zleciłem powtórzenie badania, bo takie rzeczy są z punktu widzenia medycyny niemożliwe. Podkreślam: niemożliwe! Nie wiem, jak wytłumaczyć fakt, że inna placówka medyczna przebadła panią i mamy identyczne wyniki. Myślałem, że nawalił nam sprzęt lub coś się stało z systemem komputerowym. Jednak nie, ze sprzętem wszystko w najlepszym porządku.

– To mam się cieszyć, panie doktorze? – Aldona spojrzała na niego niedowierzająco.

– Tak! Gdybym nie był lekarzem, rozpatrywałbym to w kategoriach cudu. Pani była na wakacjach w Pobierowie, a nie w jakimś Lourdes, prawda? Zlecę badania jeszcze jednej placówce, ale nie sądzę, aby ich wyniki różniły się od tych, które mam przed sobą. Pani Aldono, jest pani zupełnie zdrowa, choć nie potrafię wytłumaczyć, jak to mogło nastąpić!

Wychodziła z gabinetu jak na skrzydłach, jakby zaraz miała pofrunąć! Cud, Lourdes... Pielgrzymka! Roześmiała się w głos. To wszystko za jego sprawą...

S

– Jesteś pewna? – oboje wpatrywali się w leżące jeden obok drugiego trzy testy ciążowe. Każdy z nich pokazywał ten sam wynik. – Czy to oznacza, że powiększy się nam rodzina?

Dorota przewróciła oczami. Jacy mężczyźni bywają dziecinni! Czarno na białym jest napisane, że dwie kreski oznaczają ciążę, ale Piotr szukał jeszcze potwierdzenia u żony.

– Jeszcze w tym tygodniu wybiorę się do lekarza – powiedziała.

Wpatrywał się w nią uważnie. Z delikatnym uśmiechem gładziła się po płaskim brzuchu, jakby już tej zbitce komórek chciała pokazać, że jest mamą. Poprzednim razem też tak robiła...

– Wiem, o czym myślisz – zwróciła się Dorota do męża. – Mam w głowie to samo. Co będzie, jak znowu poronię? Może lepiej myśleć, że to nie dziecko, ale zygota? Będzie łatwiej? Nie sądzę. Wiesz, Piotruś, ja chcę choć przez jakiś czas myśleć, że jestem mamą. Może teraz donoszę ciążę i rzeczywiście nią zostanę? Ale jeżeli nie, to chcę mieć w pamięci chociaż te chwile, kiedy byłam mamą. Rozumiesz mnie? Teraz chcę się cieszyć drobnymi radościami, z nadzieją, że przyjdą jeszcze te duże.

Przytuliła się do Piotra, ocierając mu łzy z policzka.

– Liczę w tym także na ciebie – wyszeptała.

## S

Kaczorowski już od rana wyczekiwał na otwarcie Przyjacielskiej. Męczył go kac gigant, który wyleczyć mogło jedynie piwo. Nie takie kupione w sklepie, na które i tak nie miałby pieniędzy. Marzył mu się złocisty napój prosto z kufła, ze wspaniałą pianką. Takie mógł dostać na kredyt tylko w tej knajpie.

– Spóźnił się pan – rzucił do barmana, który otwierał właśnie lokal.

Tamten popatrzył na niego z niechęcią.

– Od dzisiaj wpuszczamy klientów z pieniędzmi – rzucił do poety. – Jeżeli chce się pić, trzeba za to zapłacić.

– Już ty się nie martw – Tadeusz zwrócił się do chłopaka, rozeźlony jego zuchwałością. Próbował go wyminąć w przejściu, ale barman rozstawił nogi.

– Najpierw chcę zobaczyć pieniądze – powiedział twardo. – Dopiero potem wpuszczam.

– Ty gnoju! Czy wiesz, do kogo się zwracasz?

– Do pijaka, który w dodatku nie pije za swoje. Wypieprzaj lub wracaj z pieniędzmi!

– Przyjacielska schodzi na psy! Zatrudniają byle kogo, nie szanują klientów! – grzmiał Kaczorowski, idąc Deptakiem Bogusława.

Zaraz, dokąd w ogóle pójdzie? Pić mu się chce jak cholera. Jak się nazywała dziewczyna, którą poznał tydzień temu, ta, co pracuje w markecie? Miała całkiem niezłą buźkę, choć piła Jabłkowe mocne na deptakowej ławce. Lena? Lidka? Nieważne! Mieszka tu gdzieś niedaleko. Najwyższa pora na odwiedzin.

## S

Opuszczali sąd w minorowych nastrojach. Z jednej strony, czuli ulgę, że rozprawa już za nimi.

– Monika N. przez dwanaście miesięcy będzie znajdować się pod opieką psychiatry w ośrodku zamkniętym – zdecydowała pani sędzia. – Po tym czasie sprawa wróci na wokandę.

– Mamy rok spokoju – wyszeptała Iwona po wszystkim. – Tylko tyle i aż tyle. A co, jeżeli sąd ją wypuści?

– Wiesz, że nie ma takiej możliwości – powiedział uspokajająco Robert. – Podczas śledztwa wyszły na jaw pewne sprawy. Twoja ciotka doskonale ukrywała fakt, że Monika leczyła się psychiatrycznie. Cierpiała na chorobę afektywną, ale nie chciała jej leczyć. Gdy zabrakło opieki matki, psychika dała o sobie znać podwójnie.

– Ale co będzie za jakiś czas? – spytała Iwona. – A jak...?

– Cii... – Mąż położył palec na jej ustach. – Cieszymy się tym, co mamy w tej chwili: świętym spokojem i zdrowiem. Dostałem pracę, oczekujemy drugiego dziecka, jesteśmy dumni z Zosi. A przede wszystkim mamy siebie. I mam nadzieję, że żadne z nas nie zwątpi w to drugie.

Wyszli z budynku sądu przytuleni.

## S

- I jak się czujesz jako pani Matuszewska? – Władysław z uśmiechem popatrzył na żonę.
- Jeszcze nie wiem. Nadal jestem zaskoczona – przyznała, z radością zerkając na obrączkę błyszczącą na palcu. Po chwili spojrzała na niego zadziornie. – A gdybym się nie zgodziła? Spojrzał na nią stropiony.
- Nie przewidywałem odmowy.
- Powiedział to tak zaskoczonym głosem, że oboje się roześmieli.
- Powinnam chyba zadzwonić do Piotra – dodała Matylda.
- Mrugnął do niej.
- Teraz, gdy akt ślubu jest uprawomocniony polskim prawem, już możesz. Tylko zwał winę na mnie.
- Kwadrans później przysła do niego z zaczerwienionymi policzkami.
- Ukartowaliście to wspólnie! Za moimi plecami! – Przytuliła się do Władka.
- Kogo w końcu miałem poprosić o twoją rękę, jak nie naszego syna? Jestem starej daty, tradycji musiało stać się zadość.
- Popatrzyła na niego z uczuciem.
- Nigdy nie sądziłam, że będę to kiedykolwiek powtarzać, ale Kocham cię.

## S

– Proszę księdza, dojedziemy do Lichenia trzy godziny później, niż planowaliśmy, ale na główne nabożeństwo zdążymy. – Widacki dusił się ze śmiechu, choć spóźnienie nie było powodem do radości.

– Autobus wam się popsuł? – Proboszcz przyjechał do sanktuarium dzień wcześniej i czekał na swoją parafialną grupę.

– Nie, ale wyjechaliśmy po szóstej, zamiast o trzeciej. Już wszystko dobrze, tylko wolałem uprzedzić. – Pułkownik się rozłączył.

Na wyjazd zgłosiło się wielu parafian. Punkt trzecia wszyscy stawili się na dworcu. Wśród nich królowała Jagusiakowa. Kierowca trochę się spóźniał, więc umilali sobie czas rozmową.

– Ten samochód przejeżdża tu już drugi raz – zauważył Brunon, który wraz z mamą także wybrał się do Lichenia.

Rzeczywiście, biały opel z puszczoną na full głośną muzyką, i to mimo nocnej ciszy, przejechał przez dworzec. Po chwili zrobił to po raz kolejny.

– Pomyśleć, że kiedyś taka rzecz kompletnie wytrąciłaby mnie z równowagi – powiedziała Jagusiakowa. – A tu proszę, nic mi nie przeszkadza. O, jeszcze nam machają. Jacy sympatyczni!

– To nie ręce – sprostował Brunon. – Tylko środkowe palce.

– A co to za różnica? – spytała zaskoczona pani Janina.

Chłopak nachylił się jej do ucha i wyjaśnił. Momentalnie ściągnęła brwi.

– Ruszamy! – zakomenderowała. – Obrażają tu katolików! Łapiemy się za ręce i stajemy w poprzek drogi. Słyszę dudnienie, samochód zaraz wyjedzie zza zakrętu.

Rzeczywiście, kierowca w ostatniej chwili hamował, unikając zderzenia z ludzkim łańcuchem, który błyskawicznie otoczył pojazd, nie dopuszczając do jego ucieczki. Dwóch młodych chłopaków początkowo się awanturowało, strasząc pielgrzymów, ale szybko zostali wyciągnięci z auta.

– Nie wolno nikogo obrażać! – grzmiała Jagusiakowa. – Albo wzywamy policję, albo odmawiacie tutaj trzy różańce.

Kierowca autobusu, który wreszcie podjechał, patrzył zdumiony, jak grupa parafian otacza dwóch klęczących młodych chłopaków i modli się razem z nimi. Wyruszyli, gdy słońce było wysoko na niebie.

## S



To był ostatni z zaznaczonych na kartce ośrodków onkologicznych we Wrocławiu. Dobrze, że nie wyrzucił kartki z telefonem Matyldy. Zawsze podczas pielgrzymki brał numery, aby ludzie mieli gdzie potwierdzać jego słowa. Ledwo wrócił z Lourdes, od razu zadzwonił do Matyldy. Nie miała adresu Aldony. Przekazała mu jednak to, co wiedziała o dziewczynie.

Michał chodził od jednego miejsca do drugiego i wypytywał o Aldonę. W żadnym z do tej pory odwiedzonych szpitali nikt nie chciał udzielać mu informacji. Wyglądał jak lump, jak zarośnięty, śmierdzący ulicznik. Dopiero co wrócił z Francji, zabierając się z autobusem wiernych z Wrocławia. Nie odwiedził nawet rodziców. Od razu zaczął szukać Aldony. Przez ostatnie tygodnie tkwiła mu bez przerwy w głowie. Myślał o niej, modlił się i... ogromnie tęsknił.

Stał przed budynkiem, zastanawiając się, czy w ogóle do niego wejść. Z ostatniego został wyrzucony przez ochroniarza, nim wyłuszczył prośbę, z którą przyszedł. Pewnie tak samo będzie tutaj. Zaryzykuje. Michał pchnął drzwi i wszedł do środka. W recepcji nie było nikogo. Szybko odnalazł windę. Na tablicy znalazł informację, że onkologia jest na czwartym piętrze. Wcisnął przycisk. Winda utknęła na jakimś piętrze i ani drgnęła. Gdy wreszcie ruszyła, Michał usłyszał głosy przy recepcji. „Boże mój, niech szybko zjedzie, zanim mnie zauważą” – modlił się w duchu. Drzwi otworzyły się w ostatnim momencie. Chciał szybko wskoczyć do środka, gdy z windy niespodziewanie wypadła na niego inna osoba.

Oboje stanęli jak wryci, wpatrując się jedno w drugie.

Aldona!

Znalazł ją.

Znalazł szczęście.